

Wyspa Tłumaczy

Zbiór drugi:

Inaczej





Wyspa Tłumaczy

Zbiór drugi:

# Inaczej

pod redakcją Marty Crickmar

Gdańsk 2019





# Słowo wstępu

Już po raz drugi pragniemy zabrać naszych czytelników g d z i e i n d z i e j. Niniejszy zbiór tekstów w tłumaczeniu studentów i absolwentów gdańskiej translatoryki, tak jak i ten poprzedni, powstał w ramach projektu Wyspa Tłumaczy i jest owocem współpracy z Edinburgh International Book Festival, na którego zamówienie zawarte tu teksty zostały oryginalnie napisane.

Czujemy się zaszczytzeni, że znakomici autorzy – David Almond, Amy Bloom, Frank Cottrell Boyce, Jason Donald, Julia Donaldson, Anne Donovan, Roddy Doyle, Michel Faber, Anne Fine, Vivian French, Alasdair Gray, Jen Hadfield, James Hopkin, Kirstin Innes, Jackie Kay, Elizabeth Laird, Joan Lingard, Denise Mina, Michael Morpurgo, Garth Nix, Gillian Philip, Allan Radcliffe, James Robertson, Andy Stanton, Jenny Valentine, David Vann, Alan Warner, Louise Welsh i Yiyun Li – zainteresowali się naszym projektem i wyrazili zgodę na zamieszczenie przekładów ich twórczości w niniejszym e-booku.

Stworzone przez nich opowieści osadzone zostały w różnych światach – zarówno będących odzwierciedleniem rzeczywistości, jak i zupełnie fikcyjnych, zmyślonych, fantastycznych. Bohaterów prezentowanych tu historii odnajdziemy na skąpanych słońcem, egzotycznych plażach, na mroźnych wyspach zamieszkałych przez lamparty morskie czy też w gęstych lasach, dających schronienie etiopskim wilkom. Obejrzymy ich oczami przyłówek Horn, Japonię, Chiny, Meksyk, Serbię, Francję, Włochy, Stany Zjednoczone czy też... Yorkshire. Zabiorą nas w ekscytujące, barwne, ciekawe miejsca, ale zajrzemy też do regionów dotkniętych tragedią, doświadczonych przez wojnę.

Poznamy protagonistów zamkniętych w szpitalnej sali, którzy o podróżach mogą tylko marzyć. A także takich, którzy utknęli na lotnisku i tam zawierają nowe znajomości. Jak również tych, których zmęczyło życie w drodze i nie

chcą już nigdzie się ruszać – ani samochodem, ani samolotem, ani nawet latającym szkolnym autobusem, pełnym rzutkich kosmitek.

Trudno w krótkim wstępie podsumować wszystkie wątki obecne w dwudziestu dziewięciu tekstach, które znalazły się na elektronicznych stronach niniejszego zbioru. To, co je łączy, to niewątpliwie talent i wyobraźnia ich autorów. Cieszymy się, że udało nam się opisać przez nich *g d z i e i n - d z i e j* opowiedzieć również *i n a c z e j*, czyli po polsku, i mamy nadzieję, że proponowana przez nas podróż dostarczy czytelnikom wielu wrażeń.

Zapraszamy do lektury drugiego tomu *Wyspy Tłumaczy!*

*Marta Crickmar*

Inaczej

*Papierowa łódka, papierowy ptak* Davida Almonda to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*paper boat paper bird* by David Almond is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

David Almond

# Papierowa łódka, papierowy ptak

przełożyła Agnieszka Zabrocka

Kioto. Ki-o-to! Kio-to! Czuje się tutaj tak dziwnie u siebie. Jest sobą, Miną, ale ma wrażenie, jakby gdzieś była jeszcze inna Mina, która tylko czeka, aby ją tu odkryć lub stworzyć.

– Tak to jest z podróżami – mówi jej mama. – Świat staje się zupełnie innym miejscem, a ty – zupełnie innym człowiekiem.

Tego ranka wybierają się do Świątyni Złotego Pawilonu. Jadą zatłoczonym autobusem. Mina stoi ściśnięta w przejściu. Jej mama jest z przodu, wypatruje właściwego przystanku. Co chwilę odwraca się i wygląda jej w tłumie. Mina macha do niej: nie martw się! Patrz! Jestem tutaj!

Obok Miny siedzi jakaś kobieta. Zdaje się, że jest całkiem sama. Spokojnie składa kwadratową kartkę papieru: róg do rogu, brzeg do brzegu. Zagina ją, odgina, gładzi i szczypie, nadając jej kształt. Porusza przy tym ustami, jakby bezgłośnie śpiewała do rytmu, jaki wyznaczają jej palce. Wkrótce trzyma w nich małą łódkę. Kładzie ją na otwartej dłoni i delikatnie porusza ręką w przód i w tył, w górę i w dół. Sprawia wrażenie, jakby była zupełnie gdzie indziej. Łódka porusza się, jak gdyby płynęła po falach, jakby ni stąd, ni zowąd w autobusie pojawiło się jezioro.

Kobieta dostrzega zainteresowanie Miny. Uśmiecha się i pochyla głowę.

– Konichiwa – mówi.

Mina uśmiecha się do niej i również kiwa głową.



– Konichiwa.

Jej wargi, język i krtań poruszają się obco i wdzięcznie, formując to śliczne słowo. Powtarza, żeby znowu poczuć je w ustach i usłyszeć jego czysty dźwięk.

– Ko-ni-chi-wa.

Dłonie kobiety sterują łódką w stronę Miny.

*Proszę, weź, mówią jej oczy.*

Mina bierze łódkę i stawia ją sobie na dłoni.

– Arigato – mówi. – A-ri-ga-to.

*Płyn, podpowiada jej wzrok kobiety.*

Mina puszcza łódkę w ruch poprzez wąskie przesmyki wokół siebie; przestrzeń otwiera się, fale wzbierają.

Kobieta śmieje się i klaszcze bezgłośnie. Bierze kolejną kartkę – składa, zagina, gładzi i szczypie. Co chwilę przystaje, upewnia się, że Mina widzi każde zgięcie, każdy najmniejszy ruch. *Patrz, zdaje się mówić, tak się to robi.* Mina śledzi wzrokiem jej dłonie, a tłum wokół niej rozpływa się. Nie ma już Kioto. Nie ma autobusu. Mina rozmyśla, jakby to było być kartką w dłoniach tej kobiety, zaginać się, odginać i składać w papierową podobiznę siebie.

Być może kobieta zna jej myśli, bo patrzy Minie głęboko w oczy i uśmiecha się, jak gdyby wiedziała wszystko.

Kartka w jej dłoniach zamienia się w małego ptaka o ostrym dziobie i ostrych skrzydłach. Kobieta trzyma go między palcami, szybuje nim wokół siebie. Podlatuje do Miny.

*Weź go, mówi oczami. Leć.*

– Arigato – mówi Mina.

Przyjmuje ptaka i czuje, jak wibrują w nim ruchy palców kobiety. Mina trzyma go w dłoni, a wokół niej roztacza się otwarta przestrzeń i bezmiar wód.

Autobus zatrzymuje się z westchnieniem. Kobieta wzrusza ramionami, uśmiecha się i wstaje.

– Sayonara – mówi i podaje Minie kilka kartek papieru.

– Sa-yo-na-ra – odpowiada Mina. – A-ri-ga-to.

Kobieta przeciska się do drzwi i wychodzi w tłum.

Mina wygląda na ulicę przez własne odbicie w szybie. Widzi kobietę, gubi ją z oczu i znów odnajduje, ale tłum na zewnątrz zacieśnia się, autobus rusza i kobieta znika.

Mina ostrożnie składa łódkę i ptaka na płasko i wsuwa je do szkicownika razem z kartkami papieru.

Autobus jedzie dalej przez ruchliwe ulice, przez cały ich zgiełk, mija wieżowce, hotele, stragany z kwiatami, błyski świateł, kolarzy, gejsze, bary z sushi, punków, kina, pomniki, grupy turystów, fast foody, latarnie, salony pachinko, kapliczki, znaki drogowe, ciężarówki, autobusy, samochody, tłumy ludzi.

Mina widzi, jakie to wszystko piękne. Wiele z tych rzeczy rozpoznaje, ale tyle z nich jest tak obcych! Autobus mknie naprzód, kołyszając się, a ludzie w środku kołyszają się wokół niej. Powietrze przesiąkło zapachem sosu sojowego i ryby, który unosi się z ubrań i oddechów podróżnych. To takie ekscytujące, być tutaj, w Kioto! Mina przypomina sobie, jak z hukiem wzbijała się w chmury, zostawiając Anglię daleko w dole. Wspomina lot nad oceanem, góry, kraje i miasta, które mijały z mamą, przemierzając niebo. Teraz dom jest po drugiej stronie Ziemi, a ona jest w Japonii. Po raz pierwszy ujrzała ją o wschodzie słońca, setki mil w górze. Oto ona, kraina, która zdawała się unosić na falach.

– Ja-po-nia – szepcze Mina. – Ki-o-to!

Wyczuwa każdy obłoczek oddechu wychodzący z jej ust. Wyobraża sobie Ziemię, kręcącą się w kółko i w kółko przez nieskończony wszechświat. Czuje, jak rozciągają się w niej ogromne puste przestrzenie.

– Mina – woła mama. – Mina, jesteście!

Morze ciał rozstępuje się, robiąc dla niej przejście.

– Tu jestem – mówi.

Powoli idą ścieżką w stronę ogrodów świątynnych.

– Trzymaj się blisko – mówi mama. – Nie zgub się.

Mina pokazuje jej papierowe podarki. Płynie łódką i szybuje ptakiem.

Kupują bilety. Jest na nich nazwa tego miejsca, jego zdjęcie i nieczytelny, lecz piękny tekst pod spodem.

Kiedy przechodzą przez bramę, żwir delikatnie chrzęści im pod nogami. Są tu skały, sosny, wąskie dróżki, kamienne latarnie, dalej jezioro i złota świątynia, a za nią drzewa, niskie pagórki, odległe góry i niebo.

– Ta świątynia nazywa się Kinkaku-ji – mówi mama.

– Kin-ka-ku-ji – powtarza Mina.

– Znajdują się tu prochy Buddy. W 1950 roku została spalona przez nie-równoważonego mnicha, ale potem ją odbudowano. Traktuje się ją wciąż jako to samo miejsce, mimo tego, że jest całkiem nowa.

Mama wzdycha. Ta niesłychana myśl i niesłychane piękno tego miejsca sprawiają, że wybucha śmiechem:

– Być może ma to znaczyć, że nic nigdy nie odchodzi na zawsze, że wszystko kiedyś powróci.

– Może – mówi Mina.

Przez chwilę, jak co dnia, myśli o tacie, który też odszedł. Spodobałoby mu się tutaj. Potem wraca myślami do świątyni.

Budynek odbija się w jeziorze. Wygląda, jakby pływał na drugiej świątyni. Cały świat i niebo w górze wydają się unosić na świecie i niebie pod nimi. Mina patrzy w toń, a stamtąd zerka na nią druga Mina.

– Konichiwa – szepcze Mina.

– Ko-ni-chi-wa – odpowiada ta druga, poruszając tylko ustami.

Teraz z jeziora patrzy na nią mama i macha do niej. Mina dostrzega, jakie są do siebie podobne, jak odbijają się w sobie nawzajem.

– Konichiwa – mówią.

Chichoczą i przytulają się w ogrodzie u góry i w tym drugim w dole.

Mama idzie pospacerować. Mina siada na kamieniu koło jeziora i przygląda się odwiedzającym. Niedaleko niej kucają mężczyzna z chłopcem, wpatrując się w wodę, jakby czegoś zawzięcie szukali. Wielu innych ludzi robi to samo, jak gdyby szklista woda ich przyciągała. Kiedy mężczyzna i chłopiec wstają, chłopiec udaje, że ma zamiar dać nurka. Mężczyzna przytrzymuje go i obaj się śmieją, cicho i trochę smutno. Potem idą dalej.

Kiedy ją mijają, Mina krzyżuje spojrzenia z chłopcem.

– Konichiwa – szepcze, ale on jest zatopiony w myślach.

Mina rysuje świątynię. Rysując, powtarza jej nazwę – Kinkaku-ji – i zapisuje ją, tak że obraz, słowo, dźwięk i ruch stanowią jedność.

Potem pisze notkę o tym, co zdarzyło się w autobusie:

*Zatłoczony autobus w Kioto. Kobieta składająca papier. Z jej rąk wylatują ptaki.*

Bierze jedną z podarowanych jej kartek i pisze na niej wiadomość:

*Mam na imię Mina. Ten, kto to znajdzie, zostanie moim przyjacielem na zawsze.*

Składa papier brzeg do brzegu, róg do rogu. Robi z niego łódkę. Nie tak dobrą jak ta, którą zrobiła kobieta, ale prawie. Potem bierze kolejną kartkę i znów ją składa.

Na tej pisze po prostu: *Mina*.

Robi z niej ptaka – też niezbyt ładnego, ale da się rozpoznać.

Rozgląda się wkoło, mruga i znowu patrzy. Wyobraża sobie, że cały świat jest zrobiony z papieru: papierowa świątynia, papierowe drzewa, papierowe kamienie, papierowi ludzie, wszystko równiutko poskładane i pozaginane w kształty. Uśmiecha się na tę myśl.

Potem wkłada ptaka do łódki i wstaje.

Przez ogród płyną strumyki. Mina kłęka przy jednym z nich, ostrożnie kładzie łódkę na wodzie i puszcza.

– Sayonara – szepcze, kiedy łódka z ptakiem unoszą się w dal pomiędzy skały i sosny. – Sa-yo-na-ra – aż całkiem nie znikną jej z oczu.

Rozlega się głos mamy:

– Mina! Gdzie jesteś?

Mina śpieszy z powrotem nad jezioro. Macha ręką.

– Tutaj! – woła.

– Tutaj! – woła bezgłośnie ze świata w dole.

Wieczorem jedzą sushi, sashimi i cieniutkie plasterki czegoś, czego prawie nie czuć, z wyjątkiem tego, jak wyostrza smak na języku. Wracają w tłumie ludzi, mijając oślepiające neony barów i centrów handlowych. Zatrzymały się w niewielkim drewnianym domku w wąskiej uliczce niedaleko centrum. Są w nim małe, puste pokoiki, przygaszone światła, jasne przesuwane drzwi i maty tatami na podłodze. Jest łazienka z głęboką kamienną wanną, maszyną do kruszenia lodu i otworami w ścianie, z których wylatuje para.

W pokoju Miny na niewielkim ołtarzyku siedzi mały kamienny Budda, otoczony kwitnącymi gałązkami wiśni i uchwykami na kadzidło. Mina zapala kadzidełko, w powietrze ulatuje wonny dym. Składa na ołtarzyku swojego ptaka i łódkę i kładzie się na leżącym wprost na podłodze materacu. Mama

śpiewa w pokoju obok. Za ścianą szumi miasto. Przez okno wpada światło księżycy. Oświetla Minę i malowany parawan stojący obok. Na jego trzech skrzydłach parawanu widać kamienne latarnie i dolinę wypełnioną chmurami; poszarpane, odległe szczyty gór; sylwetki długonogich, długodziobych, długoszyich żurawi na tle porannego nieba. Wydają się lecieć stąd do innego świata, a może raczej na odwrót.

Mina zasypia i śni o ptaku i łódce, które poniósł strumień. Śni, że jest kobietą składającą papier. Składa go, zagina, gładzi i szczypie. Trzyma swoje dzieło na otwartej dłoni: spójrz, tak się to robi. Głęboko we śnie Mina składa ciemnowłosego, ciemnookiego chłopca.

Ten uśmiecha się. Mina odpowiada uśmiechem.

– Konichiwa – mówi mu.

Jej usta, język i oddech składają się w zgrabne, płynne kształty i dźwięki.

– Ko-ni-chi-wa.

A potem wpada w cichą, głęboką, ciemną toń jeziora, która otacza nas wszystkich.

Wczesnym rankiem następnego dnia, na obrzeżach Kioto, w jeziorze Biwa kąpie się chłopiec. Płynie równo przez lśniąca taflę, bierze głęboki wdech i nurkuje, i jeszcze raz, i znowu. Uwielbia pływać w głębinie, gdy nad głową ma światło, pod sobą – ciemność, a wszędzie wokół – migoczące srebrzyście ryby. Uwielbia z rozpryskiem wynurzać się na powierzchnię i zgrabnym łukiem znów dawać nura głęboko w dół.

Tego ranka nie ma zbyt wiele czasu. Ojciec już go zawołał.

– Miyako! Miyako!

Chłopiec wychodzi z wody i kuca na brzegu. Bierze dwa kijki i zaczyna uderzać jednym o drugi.

Stuk! Stuk! Stuk!

Czarno-srebrne ryby zbierają się wokół, zaciekawione dźwiękiem.

Stuk! Stuk! Stuk!

– Konichiwa – szepcze chłopiec.

Rzuca im okruszki chleba i patrzy, jak poruszają ustami, otwierając je i zamykając raz po raz.

– O O O – mówią bezgłośnie ryby. – O O O.



– Sayonara – mówi Miyako.

Odwraca się już, ale nagle zauważa na wodzie małą łódkę z papieru. Nachyla się i wyciąga ją. W środku jest papierowy ptaszek.

– Miyako! – woła ojciec. – Musimy iść!

Chłopiec wstaje i dostrzega go na wąskiej plaży obok ich ręczników.

– Miyako, gdzie jesteś?

– Tutaj, tato!

Idzie do ojca, wyciera się i wkłada ubranie. Potem obaj wsiadają do samochodu i wyruszają do Kioto.

Po drodze Miyako przygląda się łódcy i ptaszкови.

Ojciec rzuca na nie okiem.

– Origami – mówi. – I to kiepskie.

– I mokre – dodaje Miyako, kiedy łódka rozpada mu się w palcach. Rozkłada ją i dostrzega kleksy rozmazanych słów. Zna angielski ze szkoły, ale większość liter wsiąkła w papier i nie da się ich odczytać. Jest w stanie rozszyfrować tylko „imię”, „Mina” i „zawsze”.

W ptaszku również znajduje wiadomość.

– Tu też Mina – odczytuje.

Składa ptaszka z powrotem i szybuje nim wokół siebie.

– Ostrożnie – mówi tata. – Nie machaj mi przed oczami.

Ulice są zatłoczone, jezdnie zakorkowane, samochody posuwają się wolno. Ojciec co rusz patrzy na zegarek.

– Spóźnimy się – mówi. – Pomyśli, że o niej zapomnieliśmy.

– Na pewno nie – odpowiada Miyako.

Zastanawia się, kto napisał te wiadomości. Może ktoś z Anglii. I pewnie dziewczynka. Szybuje ptakiem przed sobą i zdaje mu się, że wyczuwa w nim wibracje palców, które go złożyły. Rozmyśla o tej dziewczynce i zaczyna ją widzieć w wyobraźni.

Nie wiedzą tego, rzecz jasna, ale zbliżając się do centrum Kioto, powoli mijają Minę i jej mamę, stojące przed malutką świątynią wciśniętą pomiędzy sklep obuwniczy a bank. Właśnie uderzyły w dzwon, który wisi pod jej dachem. Teraz śmieją się z papierowych losów, które podają im ich szczęśliwe cyfry. Mina wrzuca monetę do kamiennego stawu ze złotymi rybkami. Miyako przygląda się jej, wciąż szybując ptakiem dokoła. W jej ruchach,

w jej ukłonie, jest coś znajomego. Nagle Mina odwraca się i widzi chłopca bawiącego się papierowym ptaszkiem w samochodzie.

Na chwilę traci oddech, a zaraz potem uśmiecha się. Samochód rusza dalej zatłoczoną ulicą.

– W s z y s c y je robią – mówi Mina.

Wkrótce tata Miyako zjeżdża na wielki parking podziemny, ciągnący się spiralą w dół. Dopiero na poziomie szóstym udaje im się znaleźć miejsce. Potem śpieszą do ruchomych schodów, które wiją się zygzakiem przez ogromne centrum handlowe ku niebu.

Sakura siedzi przy stole w kafejce na otwartym powietrzu. Ma przed sobą dzbanek z kawą, dwie filiżanki i szklankę lemoniady. Wstaje i skłania się z uśmiechem. Tata Miyako przeprosza wylewnie, ale ona bierze go za rękę i zapewnia, że nic nie szkodzi, w porządku.

– Dzień dobry, Miyako – mówi. – Pływałeś dzisiaj?

– Tak.

Sakura wskazuje na lemoniadę.

– To dla ciebie – mówi.

Dziękuję jej. Wciąż czują się niezręcznie w swoim towarzystwie. Sakura rozmawia z jego tatą i oboje śmieją się z jakiegoś tajemniczego przedstawienia, które razem widzieli, a Miyako znów zaczyna bawić się papierowym ptaszkiem.

Rozkłada go i pisze swoje imię obok imienia Miny. Składa ptaszka z powrotem, po cichu wstaje od stołu i podchodzi do balustrady. Ogląda się za siebie. Sakura jest w porządku. Jego tata znowu się śmieje. Miyako wie, że nadchodzą zmiany.

Patrzy w dół na piękne Kioto: ulice pełne ludzi, wieżowce, błyskające światła, ogrody. Widzi stąd świątynię Kinkaku-ji. Jest nawet pewien, że dostrzega jej odbicie w wodzie.

Wysuwa ptaszka ponad balustradę i ruchem nadgarstka podrywa go do lotu.

Mina wesoło idzie z mamą pod rękę. Tak jak zwykle, wyobraża sobie, że jej tata też z nimi idzie. Mama kupiła pejzaż z górą Fudzi wynurzającą się spośród mgły. Mina kupiła sobie mangę – dwie wersje tej samej historii w jednym tomiku. Wersja angielska zaczyna się od lewej strony, japońska od prawej. Obie kończą się i spotykają w środku.

Mina i jej mama uwielbiają te tłumy, sklepy, autobusy, jedzenie i świątynie. Uwielbiają ciszę i spokój w sercu tego wszystkiego. To ich ostatni dzień tutaj. Jutro jadą pociągiem do Hiroszimy. Czują jednak, że nawet kiedy stąd odjadą, nadal tu będą.

Mina zerka w górę – i nagle dostrzega tam ptaszka, który kołysze się, opada, wiruje, leci – samotnego małego ptaszka wśród przestworzy, pośród tej wielkiej, nieskończonej przestrzeni, która rozciąga się aż po odległą Anglię, aż po najdalszą z gwiazd.

Mina unosi rękę i czubkami palców muska czubki papierowych skrzydeł i dziobka. Składa ręce wokół ptaszka, rozkłada je i podsuwa mamie, żeby też spojrzała.

– Nie może być – mówi mama.

A jednak. Mina rozkłada ptaszka i widzi swoje imię, a obok nowe, piękne słowo, którego nie jest w stanie odczytać.

Spoglądają w górę, w pustkę. Nie ma nic, co można by rzec.

Idą dalej przez niezrozumiałe Kioto.

Miyako wraz z ojcem i Sakurą zjeżdżają zygzakującymi schodami. Sakura zaproponowała, żeby wybrali się do Kinkaku-ji, ale tata się roześmiał: no nie, znowu tam? Zamiast tego idą teraz do McDonald's i do kina. Miyako wie, że robią to dla niego. W porządku. Zaczyna się przy niej czuć swobodniej. Zaczyna ją nawet lubić i cieszyć się szczęściem taty.

Idą przez morze ludzi. Stają przy wielkim przejściu dla pieszych, czekając na zmianę świateł. Mina i jej mama stoją po drugiej stronie.

Światła zmieniają się i dwie ludzkie fale zderzają się ze sobą w zatłoczonym mieście pod bezchmurnym niebem.

Mina i Miyako krzyżują spojrzenia. Zatrzymują się, zatrzymując przy tym dorosłych, którzy idą z nimi.

– Konichiwa! – mówi Miyako.

– Ko-ni-chi-wa! – odpowiada Mina.

*Drogą numer sześć w stronę oceanu* Amy Bloom to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Take Route Six to the Ocean* by Amy Bloom is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Amy Bloom

# Drogą numer sześć w stronę oceanu

przełożyła Sonja Block

Provincetown to małe miasteczko położone na mierzei w Massachusetts. Z jednej strony znajduje się port, a z drugiej wydmy i ocean. Thoreau napisał, że jest to „zamglony skrawek ziemi rozciągnięty na oceanie, za ledwie odbicie mierzei we mgle”. W ciągu stu pięćdziesięciu lat niewiele się tutaj zmieniło z punktu widzenia geografii. Pielgrzymi odwiedzili kiedyś to miejsce (na krótko – spędzili zimę w Provincetown i wyruszyli dalej do Plymouth). Portugalscy rybacy wraz z rodzinami osiedlili się w miasteczku, odkąd ponad sto lat temu zakończono polowania na wieloryby, a rozpoczęto połowy ryb, i nadal tam mieszkają, choć połowy nie są już zbyt obfite. (Można jednak obserwować wieloryby lub wynająć kogoś, żeby zorganizował jednodniowe łowienie ryb i złapać lufara lub skalnika prążkowanego, uważając przy tym na piękne foki i irytujących pijaków na motorówkach). Malarze, poeci i pisarze przybywali tutaj i zostawali na dłużej, od Roberta Motherwella i Normana Mailera, aż po ludzi przyklejających swoje rymowanki na tyłach pizzerii lub malujących na kartonie, bo nie stać ich na płótna. Homoseksualni artyści przyjechali tutaj wraz ze swoim heteroseksualnym rodzeństwem, a gdy artyści geje utorowali drogę swym zmiennym, seksownym sposobem bycia, ich śladem przybyli homoseksualni księgowi, hydraulicy, biznesmeni, nauczyciele, kelnerzy i elektrycy. Oni też zostali na dobre. Wszyscy ci przystojni, umięśnieni faceci, ubrani niczym przerośnięte niemowlęta,



przechadzające się dostojnie męskie lesbijki, dwie mamy i dwóch ojców z dwójką dzieci, cioty owinięte w boa, rozwyrzzone nastolatki – cała ta hałstra zalewa Commercial Street, wielobarwnym tłumem wijąc się wokół niemieckich turystów i tradycyjnych rodzin z Idaho, z których wszyscy chcą zrobić sobie zdjęcie z sobowtórem Cher na skuterze.

W P-town nie da się kupić zwykłych spodni ani prostej koszuli na guziki. Można za to dostać:

Pyszne ostrygi (można nawet kupić wiadro i pojechać na płycizny w Wellfleet i wykopać sobie własne).

Wielki obraz olejny na całą ścianę, przedstawiający mężczyznę o olbrzymich zielonych oczach autorstwa lokalnego artysty zainspirowanego *Leonidasem pod Termopilami* Jacques'a-Louisa Davida.

Hamak upleciony w kolorach tęczy.

Witraż robiony na zamówienie w stylu Franka Lloyda Wrighta lub Andy'ego Warhola.

Japoński imbryk przerobiony na wazon.

Cukierki o smaku karmelowego sernika i wody morskiej.

Antyczną komodę z chińskiej prowincji Gansu, z około 1850 roku.

Sole do kąpieli z trawą cytrynową.

Wspaniały godzinny masaż wykonany przez transseksualnego kulturystę.

Żurawinowo-orzechową krówkę.

Wysadzany diamentami wibrator.

Lody jagodowo-bananowe i dopasowaną do nich letnią sukienkę w niebieskie paski.

Słomkową fedorę z czarną i czerwoną wstążką (mężczyźni będą wyglądać olśniewająco, kobiety beztrzesko).

T-shirt z napisem „La Vie Boheme” (można też dostać koszulkę z napisem „Znajdujesz się teraz w Gejlandii”).

Wymyślny i uroczy (lub odpowiednio męski) tatuaż z henny, który potrzyma dwa tygodnie i pozwoli ludziom w średnim wieku poczuć, że trochę skorzystali z życia.

Domowe brownie, dolar za kawałek, sprzedawane przez dwie dziewczynki na rogu ulicy przed ich domem.

Kiedy dorastałam, rodzice zabrali mnie na wakacje dokładnie trzy razy. Za pierwszym razem na farmę kurczaków mojego wujka Izzy'ego w New Jersey. Dziobnął mnie kurczak i musiałam nosić ciepłe, wilgotnawe jajka do kuchni. Po zrobieniu jajecznicy, moja ciotka wyszła na dwór i zabiła kurczaka na obiad. Przez cały dzień nosiła zakrwawiony fartuch. Na drugie wakacje wynajęliśmy domek na wybrzeżu w New Jersey. Nie było kanalizacji, klimatyzacji ani zasłon. Dostałam wysypki, która została mi na wiele tygodni. Za trzecim razem pojechaliliśmy do Portoryko, miałam trzynaście lat, moja siostra miała osiemnaście i już pierwszego dnia zniknęliśmy na osiem godzin, bo wybrałyśmy się na przejażdżkę z parą przystojnych i podejrzanych typów. Kiedy wróciłyśmy, otoczyła nas portorykańska policja i zabrała do domu. Na tym skończyły się rodzinne wyjazdy.

Bardzo chciałam dać moim dzieciom wakacje, jakich nigdy nie miałam (fajna atmosfera, zróżnicowane towarzystwo, księgarnie i łaźienki) i za nic nie chciałam stać się jedną z tych nieszczęśliwych kwok, które zaganiają jęczące dzieci w miejsca, które ich nie interesują, co skończyłoby się upuszczonym na ziemię lodem dla nich i problemem z alkoholem dla mnie.

Provincetown jest naszym miejscem, rajem dla nich i rajem dla mnie. Jedziemy wąską drogą numer sześć i już widzimy wydmy i niebo, eleganczko falujące po prawej. Krajobraz nie ujawnia swojej prawdziwej natury – powolnego, destrukcyjnego procesu erozji. To miejsce wygląda jak świat, zanim ludzie zdążyli go oszpecić. Po lewej widzimy małe nadmorskie domki, w których na szczęście nie mieszkamy. Znajdują się blisko wydm, ale droga numer sześć prowadzi tuż przed i za nimi. Zajeżdżamy do miasta i kierujemy się na wschód. Zatrzymujemy się przy supermarkecie, w którym wszyscy robią zakupy (drag queen, znani projektanci, tatuażyści, burmistrz Provincetown) i w otoczeniu babć ubranych w obrazoburcze T-shirty, adoptowanych chińskich bobasów i przejezdnych nastolatków z Europy, ubranych jak w St. Tropez, kupujemy wakacyjne jedzenie. Płatki śniadaniowe i masło orzechowe. Jedno dla bezglutenowców, drugie dla nietolerujących laktozy. Dietetyczna cola i jagody dla wszystkich. Do tego nadmuchiwana tratwa, której napompowanie zajmie godzinę.

Czasem mieszkaliśmy w miejscowych zajazdach (poczynając od tych niezwykle ozdobnych, pełnych adamaszku i brokatu, a kończąc na podniszczonych, z niedopasowanymi poduszkami i zepsutymi szafkami). Jednak odkąd nasi ulubieni właściciele sprzedali The Commons, by otworzyć hotel na Florydzie, a mała niebieska sypialnia na strychu nie była już dostępna dla mojej córki, zdecydowaliśmy się zacząć wynajmować dom.

Plaża od strony zatoki rozciąga się wzdłuż długiego ramienia ziemi do Provincetown, które niczym pięść leży na samym końcu mierzei, w drugą stronę ciągnie się w kierunku bardziej uprzejmego i porządnego Wellfleet. (Nie ma tam sklepów z tandetną biżuterią i wielkimi okularami słonecznymi, kłapek ozdobionych sztucznymi klejnotami ani spinek do włosów w kształcie nagich kobiet). W czasie odpływu można iść w stronę morza niemal pół mili i tak właśnie spacerujemy. Moje córki wykonują sztuczki w wodzie, które dopracowywały w tej zatoce przez dwadzieścia lat – stanie na rękach i młynki – i pokazują je swojej siostrzenicy, która w wieku dwóch lat podchodzi do tego z fascynacją i ostrożnością zarazem. Wszyscy idziemy Commercial Street po pizzę i lody w Spiritusie. Wchodzimy do Używanych Książek Toma (najwyżej cztery osoby na raz – sklepik jest niewielki). Wracamy na plażę i spędzamy tam kolejne doskonałe godziny. Brazylijska para, mocno opalona i lśniąca w białych ubraniach, spaceruje obok nas z małym białym bolończykiem, a potem wraca do swojego muślinowego namiotu. Dwie starsze panie przynoszą swój zestaw na popołudnie – mrożoną herbatę, dwie kryształowe szklanki i tacę z pokrojoną cytryną. Rodzina składająca się z dwójki blond rodziców i czwórki brązowych dzieci, puszcza latawce. Starzec w sarongu i hełmie korkowym przechodzi obok nas z wykrywaczem metalu. Słońce zachodzi nad wodą jak szeroki, czerwony hibiskus, a wszyscy przystają, przyglądając się jak zakwita i opada.

– Alleluja – mówi starzec.







*Shenandoah* Franka Cottrella Boyce'a to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Shenandoah* by Frank Cottrell Boyce is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Frank Cottrell Boyce

# Shenandoah

przełożyła Monika Daca

Spisujemy to wszystko razem z Mamą, bo nie chcemy, żeby ktoś wpadł w jakieś tarapaty. Gdy to przeczytacie, nas już tu nie będzie. Znikniemy. Ale nie martwcie się. Same się zniknęłyśmy.

Przede wszystkim nikt w ogóle nie zauważył, że tutaj byliśmy. Taki przykład: lubię jeździć tym samym autobusem, co Mama, a ponieważ jej zmiana zaczyna się o siódmej trzydzieści, to zawsze jestem w szkole pierwsza. Jeszcze zanim otworzą stołówkę. Nawet zanim Pani Teague przyjeżdża do szkoły, czyli o siódmej czterdzieści pięć. Ona sama nigdy mnie nie zauważa, jak siedzę na murku koło wejścia, bo zawsze rozmawia przez telefon. Ale w ostatni poniedziałek nie przyszedłam do szkoły jako pierwsza. W ostatni poniedziałek był tam już duży stary bus z zagranicznymi tablicami i milionem wgnieceń w nadwoziu, jakby złapał go deszcz asteroidów. Stał zaparkowany w poprzek dwóch miejsc parkingowych. Jedno z nich należało do pani Teague. Kiedy to zobaczyła, schowała telefon do kieszeni i wlepiła wzrok w kierowcę. Ale pani za kierownicą spała i to gapienie się wcale jej nie obudziło.

Wtedy Pani Teague po raz pierwszy mnie zauważyła.

– Co to ma być? – spytała.

Właśnie się zastanawiałam nad tym, co to ma być, więc powiedziałam:

– Może wymiana francuska?

Wymiana francuska jest wtedy, gdy uczniowie ze szkoły we Francji przyjeżdżają i mieszkają przez jakiś czas u nas, a potem my wracamy z nimi i mieszkamy trochę we Francji.

– W terminarzu nie ma nic o żadnej wymianie. Skąd jesteś?

– Stąd.

– Nie, nie, nie. Z jakiego. Kraju. Pochodzisz? Do jakiej. Szkoły. Chodzisz? Nie ma nic w terminarzu.

– Do tej szkoły. Chodzę do tej szkoły.

– Nie, nie rozumiesz. A ja niestety nie znam francuskiego. Och, *quelle dommage*. Pani Grady zna francuski. Jest nauczycielką francuskiego.

– Wiem – powiedziałam. – Pani Grady jest moją nauczycielką francuskiego.

– Zaraz powinna przyjść. Ona wszystko ustali. Serdecznie. Witamy. W naszej. Szkole.

– Dziękuję.

Przez to, że Pani Teague myślała, że jestem razem z dziećmi z Francji, wydawało mi się, że powinnam poczekać przy busiku, zamiast iść na stołówkę. Po chwili francuskie dzieci wysiadły z busika, przeciągnęły się, rozprostowały nogi, potruchtały chwilę w miejscu i uśmiechnęły się do mnie. Ani trochę nie wyglądały na Francuzki. Może i to była długa podróż, ale dziewczynki były naprawdę bardzo rozczochrane, wszystkie miały na sobie coś w stylu jasnoniebieskich dresów i taszczyły potężne plecaki. Potem pojawiła się Pani Grady. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpaść ze stresu. Było jej taaaak przykro, taaaak przykro, bo najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. Dziewczynek z Francji spodziewano się dopiero w czerwcu.

Wszystkie dziewczynki wlepiły w nią wzrok, a następnie wlepiły wzrok we mnie, jakby oczekiwały, że będę ich tłumaczką. Potem jedna z nich powiedziała „czerwcu” i wszystkie powiedziały „czerwcu”, a potem powtórzyły to jeszcze parę razy i Pani Grady odrzekła:

– *Oui, oui, mais pas de problème. Vous êtes toujours bienvenus a notre école.* Francuzki znowu się w nią wpatrzyły, a ich spojrzenie było całkowicie puste.

– O rany – powiedziała Pani Grady. – Może to przez mój akcent.

Potem spojrzała na mnie i powiedziała:

– Proszę. Chodźcie. Ze mną. Do. Mojej. Klasy.

– Zawsze chodzę do pani klasy. Jestem w pani klasie. Jestem Shania.

– Tak, tak. Moja klasa. Chodźcie. Tędy. *Suivez-vous.*

Dzieciom z Francji chyba spodobała się lekcja francuskiego. Za każdym razem, gdy Pani Grady prosiła nas, żebyśmy powtórzyli coś po francusku, powtarzały. Powtarzały w kółko. Cały poranek. Niezależnie od tego, na jakiej

byliśmy lekcji. I w większości powtarzały jednym głosem. Na geografii Pan Norman odwrócił się, by napisać słowo „soliflukcja” na tablicy, a wszystkie Francuzki powiedziały *Bonjooooouuur*. Pan Norman był tak zaskoczony, że aż upuścił marker i odpowiedział *Bonjour*. One mu na to *Bonjooooouuur*, a on im w odpowiedzi *Bonjour* i wyglądało na to, że potrwa to cały ranek. Ale zaraz zadzwonił dzwonek na przerwę i wszyscy wybiegli na korytarz.

Wszyscy oprócz dziewczynek z Francji, które stały i uśmiechały się do mnie. Najwidoczniej byłam teraz za nie odpowiedzialna.

Zaczynałam podejrzewać, że nie są z Francji. Może gdybym zabrała je do biblioteki i pokazała atlas czy coś, to one pokazałyby mi skąd pochodzą.

– Chodźmy do biblioteki – powiedziałam.

– *Bonjooooouuur*.

Pokazałam im Francję w atlasie, ale Francja niezbyt je zainteresowała. Podobnie jak Niemcy. I Europa. I północna półkula. Jedyne, co przyciągało ich uwagę, to indeks. Błądziły palcami po kolumnach spisanych malutkim drukiem nazw geograficznych, mówiąc co jakiś czas rzeczy w stylu „Addis Ababa”, „Mińsk” i „Shenandoah”. Potem rozproszyła je Olivia grająca w „Labyrinth” na jednym z komputerów. Ustawiły się wokół niej i patrzyły przez chwilę, jak mały grecki żołnierz biegnie, odbija się od ścian, przewraca się i ucieka przed Minoturem. W końcu Minotaur go dopadł, a dziewczynki wybuchnęły płaczem. I nie był to bynajmniej delikatny, cichy szloch z małymi łezkami płynącymi po policzkach. To był potężny, zawodzący ryk z wielkimi łzami i ciekącymi smarkami. Próbowałam im wyjaśnić, że nic takiego się nie stało – Olivia miała jeszcze dziewięć żyć.

– Spójrzcie – powiedziałam. – Żołnierz już żyje. Jest z powrotem na początku.

Z jakiegoś powodu to sprawiło, że zaczęły lamentować jeszcze głośniej. Podeszła do nas pani bibliotekarka i próbowała je zganić, ale pośród wycia i łkania nie było jej słyhać, posłała więc po Panią Grady. Pani Grady powiedziała, że to nie jej sprawa, bo dzieci nie są z Francji. W tym momencie jedna z dziewczynek spojrzała w ekran i wykrzyknęła: *Au revoir!*, po czym wszystkie krzyknęły *Au revoir!*

– Mówią po francusku – powiedziała bibliotekarka.

– Ale gdy mówię do nich po francusku, nie rozumieją.

– To pewnie przez twój akcent.

Pani Grady spojrzała na mnie i spytała:

– *Quelle est le problème?*

– Nie jestem Francuzką, psze pani – odpowiedziałam.

– O, widzisz – powiedziała. – Mówiłam ci. Nie są Francuzkami. Nie są Francuzkami, więc ja za nie nie odpowiadam. A teraz wybacz, mam koszykówkę.

W końcu przyszała Pani Teague i powiedziała, że najlepiej by było, gdybyśmy zjadły wczesny lunch.

Normalny lunch wygląda tak: stoi się w kolejce, patrzy się, co jest w dużych metalowych brytfannach, potem daje się pani kucharce talerz i ona nakłada to, co się chce. Ale „Francuzki” zrobiły to zupełnie inaczej. Ustawiły się w kolejce i próbowały wszystkiego po trochu. Gdy kucharka starała się je powstrzymać, mówiły „Shenandoah” albo „Białoruś”. Potem zabrały tacę z frytkami do stolika i jadły je garściami. Następnie otworzyły swoje plecaki, wyjęły śpiwory, położyły się w kącie stołówki i poszły spać. Głośno chrapały.

– Co tu się wyprawia? – krzyknęła najważniejsza pani kucharka.

– Są z Europy – odpowiedziała Pani Teague. – Muszą mieć sjęstę. To część ich kultury. Cisza, cisza! Francuzki śpią.

Chwilę później zauważyłam, że zostawiły na stoliku gruby plik banknotów „jako napiwek”. Dwieście funtów. Pani Teague spostrzegła mnie i powiedziała:

– Zazwyczaj podczas takich wymian uczniowie z zagranicy popołudniami zwiedzają miasto.

– Chce pani, żebym gdzieś z nimi wyszła po południu?

– Tak, i to bardzo.

No więc o. Wiedziałam, że jak pójde do busika, gdy się obudzą, to pójda za mną. I faktycznie tak zrobiły. Pomyślałam, że miło byłoby odebrać Mamę z pracy (kończy koło drugiej) i podwieźć ją do domu albo nawet pojechać na jakąś wycieczkę. Chciałabym powiedzieć, że byłam trochę zdziwiona, gdy jedna z dziewczynek usiadła na fotelu kierowcy i odpaliła silnik, ale wtedy już nic nie mogło mnie zdziwić. Wskazałam jej drogę do Szpitala Dziecięcego i dotarliśmy tam akurat w chwili, gdy Mama dochodziła do swojego przystanku.

– Bardzo miło was poznać – powiedziała, wchodząc do busika. – Skąd jesteście?

Odpowiedzi były różne – od Mińska przez Addis Ababa do Shenandoah.

– Och, Shenandoah, tak tęsknię za twym widokiem... – zanuciła Mama.

– Uwielbiam tę piosenkę. Chociaż nie za bardzo wiem, o czym opowiada.

Ta Shenandoah to rzeka czy dziewczyna? I czy on jedzie do domu, czy właśnie wyjeżdża?

Zanuciła jeszcze kawałek:

– Odległa tak, moja pofalowana rzeko! Och Shenandoah, moje serce jest z tobą... – W tym momencie musiała przestać, bo wszystkie dziewczynki znowu wybuchnęły płaczem.

– Są bardzo wrażliwe, nie? – wyszeptała Mama. – Skąd pochodzą?

– To Francuzki – odpowiedziałam.

– Nie wyglądają na Francuzki. Są zbyt rozczochrane.

– W sumie nie mogę rozgryźć, skąd pochodzą.

– Ja na pewno mogę – powiedziała Mama. – W Szpitalu Dziecięcym poznałam ludzi chyba ze wszystkim krajów pod słońcem.

Przysłuchiwała się ich rozmowom i spisała jakieś dziwne słowo.

– Mam je zabrać w ciekawe miejsce, pokazać im naszą kulturę... Ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Park safari, rzecz jasna! – powiedziała Mama. To była świetna odpowiedź, bo zawsze chcieliśmy tam jechać, ale do tego trzeba mieć samochód, a my nie mamy. No i dlatego, że tam jest drogo, a my nie mamy bardzo dużo pieniędzy. Ale przede wszystkim dlatego, że park safari jest pełny wielkich pasących się wokół zwierząt, które często robią kupy, a okazało się, że dzieci z Francji uważają robienie kupy za najśmieszniejszą rzecz na ziemi. Za każdym razem, gdy jakiś bawół czy gazela podnosiły ogon, dziewczynki wytykały zwierzę palcami, śmiały się i krzyczały: „Mińsk! Mińsk! Ha ha ha ha ha!”

Park safari był świetny. Małpki wspięły się na nasz samochód i oderwały wycieraczkę z przedniej szyby, co było bardzo śmieszne. Jedyne, co mi się nie podobało, to lwy. Lwy zebrały się wokoło samochodu, miały potężne głowy i ciężkie łapy, i oczy zupełnie bez wyrazu, jakby były zrobione ze szkła i nic nie widziały. Byłam w nie tak zapatrzona, że z początku nie zauważyłam, jak „Francuzki” wygramoliły się z busika i podeszły do lwów. Zobaczyłam, jak rozchodzą się w różnych kierunkach z rozłożonymi ramionami, wydając z siebie dziwne odgłosy, jakiś zawodzący skowyt i jazgot. Nie mogłam na to patrzeć. Nie chciałam widzieć, jak lwy rozszarpują je na strzępy. Schowałam twarz w dłoniach. Słyszałam ryki lwów, a potem śmiech dziewczynek. To chyba znaczyło, że któryś lew zrobił kupę. Potem pojechaliśmy dalej. W sa-

mochodzie nie było żadnych oderwanych kończyn ani głów, więc spotkanie z lwami najwidoczniej jakimś cudem uszło im na sucho.

Zazwyczaj podczas wymiany każdy uczeń z Francji mieszka u jednej angielskiej rodziny. Ale teraz nikt niczego nie zorganizował. Może wszystkie dziewczynki miały spać u nas? Nie, jednak nie. Zatrzymały się pod naszym domem, a gdy wysiadłyśmy i się obróciłyśmy, już ich nie było.

– Widocznie mają inne plany noclegowe. Szkoda, byłyby tu bardzo mile widziane – powiedziała Mama. – Wyglądają na takie wesołe. Spisałam mnóstwo słów, których używają. Jutro popytam w szpitalu, może ktoś je rozpozna. Stawiam, że są z Finlandii. Albo z Węgier. Fiński nie jest spokrewniony z innymi językami europejskimi.

Następnego ranka dowiedziałam się, jakie były te ich „inne plany”.

Gdy wstałam, Mama siedziała przy stole z telefonem w jednej dłoni i listą słówek w drugiej.

– Chodźmy już – powiedziałam.

– Nigdzie nie idę – odpowiedziała Mama, patrząc prosto przed siebie.

– Czemu?

Popchnęła leżącą na stole komórkę w moją stronę. Wylali ją. SMS-em.

– Pracowałam tam dwadzieścia trzy lata. Nawet moje nazwisko przekreścili. Nie chciałam jej tak zostawić.

– Może dziewczynki z Finlandii znowu będą chciały gdzieś jechać – powiedziałam. – Przyjedziemy koło obiadu. Wymyśl dla nas jakieś fajne miejsce.

Jeśli martwiliście się o to, czy Francuzki, Finki czy Kim-tam-one-są zmarzły w nocy, to niepotrzebnie. Zbudowały sobie z gałęzi potężny szałas z dachem pokrytym liśćmi. Wyglądał niesamowicie. Jak wielkie indiańskie schronienie z bali. Na początku wszyscy byli nim zachwyceni. Potem ktoś zauważył, że ze szkolnego podwórka zniknęły wszystkie drzewa.

– Kto miałby ukraść dziesięć brzoź i kępę klonów? – spytała Olivia, po czym spojrzała na schronienie i powiedziała: – A. No tak.

Dziewczynki, które były naszymi gośćmi, wycięły wszystkie drzewa z okolicy szkoły i zrobiły ognisko z tych, których nie użyły do zbudowania szałasu.

– *Bonjour!* – powiedziały na mój widok.

Pani Teague była rozwścieczona.

– To jest obszar pod ochroną – powiedziała. – Nie można tu ścinać drzew bez pozwolenia wydanego przez radę miejską...

– Pozwolenie, właśnie – odparła z uśmiechem największa z dziewczynek.

– Prosimy o pozwolenie na przeprowadzenie apelu dziś rano. Chcemy wam wszystkim opowiedzieć, kim jesteśmy i czego się tu nauczyliśmy.

– Och – powiedziała Pani Teague. – Mówicie po angielsku. Nie wiedziałam.

– Nie pytała pani – odpowiedziała Etta.

Podeszłam do niej i spytałam:

– Jak nauczyłaś się angielskiego?

– Podchwyciłam trochę tu i ówdzie. Wystarczy słuchać – odpowiedziała Etta. – Na apelu stań z tyłu sali, przy wyjściu.

– Czemu?

– Serio, nie gadaj tyle. Po prostu słuchaj.

Cały apel był o Słuchaniu. Etta powiedziała, że odkąd przyjechała do szkoły, widziała mnóstwo ludzi, którzy cały czas gadali, gadali i gadali.

– Ludzie – wyjaśniła – mówią nawet do swoich psów!

Inne Finki czy Francuzki, czy Kim-one-tam-są śmiały się długo i głośno.

– To nic nie da! – powiedziała Etta. – My słuchamy. To dlatego tak dużo się uczymy. Tak dużo o was wszystkich. Dziękuję. Wy też powinniście słuchać. Wczoraj na przykład widziałyśmy w parku safari pewne stworzenie i posłuchałyśmy go. Teraz jest tutaj, żebyście i wy mogli go posłuchać...

W tym momencie dwie Finki czy Francuzki, czy Kim-one-tam-są weszły na scenę, skowycząc, zawodząc i prowadząc lwa. Lew być może ryczał. Nie jestem pewna. Jak większość ludzi, nie zostałam w sali, by go posłuchać. Praktycznie teleportowałam się do busa.

– Dokąd dzisiaj? – spytała Etta.

– Możemy pojechać po moją Mamę?

Pojechałyśmy. Nadal siedziała tam, gdzie ją zostawiłam, nadal trzymała telefon.

– Może dziś też pojedziemy do parku safari? – spytała Mama. – Może tym razem ja bym się pobawiła z lwami.

– Nie, to raczej zły pomysł. Myślę, że powinniśmy jechać w jakieś ciche i spokojne miejsce. Na przykład do galerii sztuki.

Galeria sztuki była cicha i spokojna, dopóki nie dotarły tam Finki czy Francuzki, czy Kim-one-tam-są. Gdy tylko zobaczyły obraz *Śmierć Nelsona*, znowu zaczęły łkać, zawodzić i szlochać. Płakały tak dużo, że prawie utonęły we własnych łzach. *Egzekucja Lady Jane Grey* była jeszcze gorsza. Pokazywały palcami topór nad szyją Lady Jane i krzyczały tak głośno, że można by pomyśleć, że namalowany kat rozmyśli się i zmieni bieg historii. Mama oczywiście wiedziała, co robić. Zabrała je do części ze sztuką współczesną, gdzie siedziały i uśmiechały się do dużego płótna pokrytego żółtymi plamami.

– Kosztuje dwadzieścia milionów funtów – powiedziała Mama.

– Warte swojej ceny – odparła Etta.

Następnego dnia chciały przeprowadzić kolejny apel. Pani Teague nie bardzo chciała wpuścić je na teren szkoły. Żeby poradzić sobie z lwem, trzeba było wezwać dwa helikoptery i cały oddział policyjnych snajperów. W dodatku nieważne, co mówiła Pani Teague, policja cały czas myślała, że to jej wina.

– Chyba już czas, żebyście wróciły do domu – powiedziała.

– Dziś nie mamy ze sobą lwa – powiedziała Etta.

Pani Teague spojrzała na plecak Etty, jakby gdzieś w środku mógł być lew.

– Mamy dla pani prezent.

Pani Teague najwidoczniej przypomniała sobie ogromny napiwek, bo się zgodziła. Apel był o byciu spokojnym i myśleniu tylko o złych rzeczach.

– Nie myślcie tylko o złych rzeczach! – krzyczała Etta. – Przestańcie! To sprawia, że jesteście źli. Macie paskudztwa na plakatach – wampiry i takie tam – i mroczne płyty. Przestańcie! Słuchajcie dobrych rzeczy...

Wszystkie zaczęły śpiewać „Shenandoah”. „O, Shenandoah, tęsknię za twym głosem... Odległa tak, pofalowana rzeko...”

Śpiewały przepięknie i brzmiało to bardzo smutno. Mama miała rację – nie było wiadomo, czy Shenandoah to rzeka, czy dziewczyna. Ale było wiadomo, o co chodzi. A chodzi o to, że ten, kto śpiewa, jest daleko od domu i bardzo za domem tęskni. Gdy dziewczynki ze łzami w oczach nuciły te słowa, znaczyły one: „daleko, utknęliśmy daleko od miejsca, które kochamy”. Napisałam do mamy, żeby szybko przyjechała do szkoły.

„O, Shenandoah, tęsknię za twym głosem. Utknąłem daleko, na drugim brzegu szerokiej Missouri...” Gdy skończyły śpiewać, ciarki przeszły wszystkim po plecach.



– Co więcej – powiedziała Etta – musicie patrzeć na ładne rzeczy.

Wręczyła Pani Teague żółte plamy warte dwadzieścia milionów, po czym stała i z uśmiechem wpatrywała się w obraz przez bardzo, bardzo długi czas, a Francuzki czy Finki, czy Kim-one-tam-są wyszły na zewnątrz.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała Etta do Mamy i dała jej gruby plik banknotów.

– Mówisz po angielsku! – powiedziała Mama.

– *Un peu* – odrzekła Etta.

– Skąd pochodzicie? – spytała Mama. – Czemu na to nie wpadłam?!

– Z takiego jednego miejsca. Nie słyszałyście o nim.

– Ale widzisz – powiedziała Mama – skoro to wymiana, to teraz powinniście wziąć kogoś do siebie.

– Wskakujcie – powiedziała Etta. Wskoczyłyśmy.

– To może trochę potrwać – uśmiechnęła się Etta.

Gdy silnik się rozgrzewał, napisaliśmy tę notatkę. Faktycznie trochę to trwało. Lekko się zdziwiłyśmy, gdy cały busik przechylił się do tyłu i stanął na tylnych kołach. Jeszcze bardziej się zdziwiłyśmy, gdy wszystkie dostałyśmy maski tlenowe – na przejażdżkę busikiem?! Na boisku stoi wielki tłum, patrzą na nas. Przekażemy komuś tę notatkę, a potem znikniemy. Nie wiemy, dokąd jedziemy, ale gdy będziecie to czytać... my będziemy pyłem.

*UWAGA – za agencją prasową Reutersa: Pani S. Teague, dyrektorka szkoły, która wcześniej była zamieszana w zajście z lwem na szkolnym boisku, została dziś zatrzymana pod zarzutem kradzieży arcydzieła sztuki współczesnej, którego wartość szacuje się na 20 milionów funtów. Jej tłumaczenia, jakoby winne były „jakieś francuskie dzieci, które wskoczyły do minivana, a potem rozpląnęły się w powietrzu”, zostały początkowo odrzucone przez policjantów przybyłych na miejsce zdarzenia. Jednak w sprawie pojawił się dowód w postaci materiału filmowego zarejestrowanego telefonem komórkowym, na którym widać minibusa startującego z boiska, wznoszącego się w powietrze i ostatecznie wlatującego w stratosferę „niczym jakiś statek kosmiczny”.*

*Puerto Galera* Jasona Donalda to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Puerto Galera* by Jason Donald is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Jason Donald

# Puerto Galera

przełożyła Magdalena Ossowska

W barze U Rudiego można było dostać najtańszego san miguela na plaży w Sabang. Ich smażony ryż był całkiem przyzwoity, a barmanka bardziej energiczna niż prezenterki telewizji dziecięcej. Tak jak w każdym barze na wybrzeżu, U Rudiego też puszczano dużo Marleya, ale od czasu do czasu przygrywał również Clapton, Stonesi czy Hendrix. Bar i stoliki zrobiono z wyrzuconych przez morze, polakierowanych kawałków drewna, a pochły dach na tyłach lokalu podparto zardzewiałym rusztowaniem. Koło północy tamta strefa uchodziła za parkiet. Dziewczyny wirowały wokół słupków rusztowania, a panowie szurali sandałami. W barze mojego hotelu zatrudniono śpiewaka, który dźgał rozcapierzonymi palcami w klawisze keyboardu. Większość wieczorów spędzałem więc U Rudiego.

Usiadłem na stołku przy barze i przyglądałem się zdjęciom przybitym zszywaczem nad kasą. Kilka ujęć z minionych imprez, miejscowe dziewczyny pozujące na kolanach turystów. Zbliżenia na grupki krzyczących, podchmielonych wczasowiczów – wyszczerzone zęby i spalone słońcem policzki.

Barmanka wyjrzała z kuchni i momentalnie znalazła się za ladą.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czego pan sobie życzy? – Wyglądała na zbyt młodą, by pracować za barem.

– Witam ponownie – odpowiedziałem, zdejmując okulary przeciwsłoneczne z głowy i kładąc je na barze. – Wiesz co? Wezmę to samo, co wczoraj.

– San miguela i smażony ryż z kurczakiem?

– Pamiętasz.

Kiedy się uśmiechnęła, jej dołeczki przemieniły się w delikatnie zarysowane rowki. Chciałem się w nie wessać. Odwróciła się do lodówki po piwo, a następnie krzyknęła po filipińsku w stronę kuchni, co zamówiłem. Odkrzyknęła jej kobieta z kuchni. Mnóstwo miejscowych dziewczyn wcale nie było dziewczynami. Można to było stwierdzić po ich kanciastych, kościstych ramionach, umięśnionych cyckach w kształcie połówki jabłka, upchniętych pod ciasnymi topami oraz wąskich biodrach. Widziałem nawet faceta, któremu przez makijaż przebijał zarost. Ale ta barmanka była odpowiednio opakowana, gotowa, by ją rozpakować. Postawiła moje piwo na ladzie i powiedziała:

- Przepraszam, nie mamy już kurczaka. Może być ryż z wieprzowiną?
- Może być wieprzowina – odpowiedziałem, utrzymując kontakt wzrokowy.

Błysnęła swoimi dołeczkami i zniknęła w kuchni. Wziąłem łyk piwa i odwróciłem się w stronę nadlatującej znad oceanu bryzy. Bar się zapełniał. Goście pili Mindoro Slings, oglądając zachód słońca. Niektórzy leniwie dłubali w swoim makaronie. Przysadzisty mężczyzna podniósł rękę i pstryknął palcami. Wskazał na swój stolik. Barmanka pospieszyła w jego stronę z dwoma kolejnymi drinkami. Delikatnie postawiła obydwie szklanki na stoliku, a on spoglądał na plażę. Kiedy dziewczyna wracała w stronę baru, obrzucił wzrokiem jej tyłek, a następnie włożył sobie do ucha mały palec i nim pogrzebał. Wyglądał mi na Niemca. Coś w grzbiecie nosa i linii brwi nadawało mu niemieckiego wyglądu. Szacowałem, że ma około sześćdziesiątki, mimo zielonej surferskiej kamizelki i końskiego ogona. Obok niego siedziała ładna dziewczyna z nieobecny wyrazem twarzy. Jej buzia była blada od kremu do opalania, a reszta ciała ciemna jak łupinka kokosa. Siedzieli sami przy sześćoosobowym stole, blisko siebie, nie rozmawiając. Jego różowe ramię zwisało na oparciu jej krzesła. Głaskał ją po odsłoniętych ramionach i szyi, jego szerokie palce błędziły po jej uchu, gardle, kąciku ust. Ona jedynie sączyła drinka. Siedziała bez ruchu, wpatrując się w linię horyzontu. Patrzyła, jak łódki po kolei wypływają z portu. Mogłem się jedynie domyślać jej wieku, na pewno gdzieś pomiędzy trzynastym a dwudziestym trzecim rokiem życia. Wiek Filipinek trudno jest określić. Możliwe, że miała dwadzieścia lat. Ale założę się, że po ciemku czuło się, jakby miała trzynaście.

Przyszedł mój ryż. Podziękowałem barmance, unosząc butelkę. Podczas jedzenia przeglądałem mój podręcznik nurkowania PADI, powtarzałem

czwarty rozdział na jutrzejszy egzamin. Próbowałem zapamiętać objawy narkozy azotowej oraz napadów bólowych w chorobach dekompresyjnych, a także zrozumieć tabelki wyliczające czas dekompresji pomiędzy kolejnymi zejściami pod wodę. Kiedy już się najadłem, odstawiłem talerz na bok i zapaliłem papierosa. Na paczce widniał napis „NADZIEJA, Papierosy Luksusowe!”. Zawsze uśmiechałem się na ten widok. Ten kraj był zdumiewający.

Barmanka zapytała, czy chcę kolejnego san miguela. Jutro z samego rana miałem nurkować, ale i tak poprosiłem o następne piwo.

Zza baru usłyszałem dźwięk taksówki.

– Czy to gwarek? – zapytałem barmanki.

– Tak, proszę pana. Należał do kierowcy. Naśladuje dźwięki ulicy. – Ptaszek skakał po żerdzi w malutkiej klatce, a jego czarne skrzydła błyskały na niebiesko.

– Co jeszcze potrafi?

– Mnóstwo rzeczy – odpowiedziała i zaczęła mówić: „halo, halo, halo” głosem jak z kreskówki.

Ptak przekrzywił łeppek, ale się nie odezwał. Sącyłem piwo.

– Będziesz musiała rozmawiać ze mną – powiedziałem, uśmiechając się.

– Może nawet odpowiem. – Rzuciła okiem na moje usta i też się uśmiechnęła, uwydatniając głębokie dołeczki. Zarumieniła się i odgarnęła kosmyk czarnych, błyszczących włosów za ucho. Poczułem w kroczu, że to na mnie zadziało.

– Jest pan tu na wakacjach?

– Tak, można tak to nazwać.

– Na jak długo?

– Na trochę. – Zaciągnąłem się papierosem. – Robię kurs na nurka.

– Lubi pan nurkować?

– Podobają mi się rafy koralowe i malutkie rybki. Ale jeszcze się nie przyzwyczailem do głębin.

Spojrzała na mnie.

Nagle zapragnąłem powiedzieć jej, że czasami, przykryty falami, tracę z oczu dno oceanu. Głęboki błękit rozciąga się we wszystkich kierunkach. Każdy mój oddech staje się szybszy i płytszy. Rozglądam się na prawo i lewo, szukając jakiegoś punktu odniesienia, ale z każdej strony widać tylko

nieprzeniknioną nicość. I mimo surowych ostrzeżeń instruktora trzepoczę płetwami, by wydostać się na powierzchnię. Zamiast tego mówię jej:

– Nie przepadam za rybami, które są większe od psów. Wiesz, o co mi chodzi?

Oparła oba łokcie o bar.

– Ostatni raz pływałam, gdy byłam małą dziewczynką.

– Naprawdę? Myślałem, że wszyscy tu płyną.

– Nie mam czasu. Codziennie pracuję.

– Dzień w dzień?

– Tak. Chcę zarobić, polecieć do Ameryki, ale mnie nie stać.

– A tutaj ci się nie podoba?

Spojrzała na swoje paznokcie, przygryzła wargę.

– Całe życie chcę stąd wyjechać.

– Naprawdę? – Wypuściłem dym bokiem ust, żeby nie dmuchnąć jej w twarz. – A mnie się tu bardzo podoba. Mówię poważnie. Nie wiesz, jakie masz szczęście, że mieszkasz w tak pięknym miejscu.

Muzyka przestała grać i usłyszałem, jak odtwarzacz brzęczy i klika, wybierając nową płytę. Dokończyłem papierosa i zgasłem go.

– To ile jestem winien za obiad?

Sięgnęła po swój notatnik, podliczyła sumę na kalkulatorze, wyrwała kartkę i położyła ją przede mną. Wyjąłem klucz do pokoju i portfel i położyłem je na barze. Do kluczy przyczepiona była zielona skórzana przywieszka z numerem pokoju i logo hotelu. Otworzyłem portfel, wyjąłem trzy tysiące pesos i położyłem banknoty na ręcznie wypisanym rachunku.

– To za jedzenie, a reszta to napiwek. Żeby pomóc ci wyjechać do Ameryki. Jej oczy otworzyły się ze zdumienia.

– To za dużo. Nie może pan mi tyle dać.

– Ale chcę. – Podniosłem dłonie, pokazując, że nie przyjmę odmowy.

– Pochodzi pan z Ameryki?

– Nie. Nigdy tam nie byłem.

– To z jakiego kraju pan pochodzi?

Tym razem to ja musiałem odwrócić wzrok. Drapałem etykietę na piwie, myśląc, jak to ubrać w słowa.

– Dużo podróżowałem, ale mój kraj jest najpiękniejszy ze wszystkich. Lepszy od Ameryki.

Jednocześnie uśmiechnęła się i zmarszczyła twarz.

– Nie wierzysz mi, co?

Po dziewczęcemu przekręciła głowę na bok.

– Jeśli mi nie wierzysz, mogę pokazać ci zdjęcia i filmy na laptopie. Może wpadniesz po pracy i sama zdecydujesz?

Przejechała zębami po zwilżonej wardze, patrząc na numer mojego pokoju, a następnie na mój portfel. Obserwowałem, jak zastanawia się, co odpowiedzieć, rozważając do czego to doprowadzi. Podniosła trzy tysiące i schowała je w kieszeni džinsów.

– Kończę bardzo późno – odpowiedziała, a po dołeczkach nie było już śladu.

– Nie szkodzi. Mało śpiam.

Wzięła tacę z rogu baru, a ja przyglądałem się, jak lawiruje między stolikami, zbierając puste naczynia.

Niemiec wychylił swojego drinka do dna, a plasterek ananasa wypluł na podłogę. Odchylił głowę w tył i ziewnął w powietrze. Jego dziewczyna nawet się nie poruszyła. Nachylił się i pocałował ją w szyję. Ciężkim ramieniem oplatał jej ramiona i łaskotał piersi. Nikt nie zwracał na to uwagi. Dotykanie przerodziło się w obmacywanie. Odwróciła się i zalotnie ugryzła go w ucho, a następnie uwolniła z jego uścisku. Rubasznie się zaśmiała i dała jej klapsa w pupę, gdy wstawała od stolika. Poszła pewnym krokiem w stronę damskiej toalety, ani razu nie oglądając się za siebie. Kiedy odwracałem się do baru, spojrzenia moje i Niemca przelotnie się skrzyżowały. Najnormalniej w świecie sięgnąłem po swoje piwo i skierowałem wzrok w stronę zatoki. Słońce już zaszło. Kolor nieba zlewał się z kolorem oceanu, linia horyzontu powoli znikła. Odwróciłem się w końcu w stronę baru i wróciłem do czytania podręcznika. Wróciła barmanka i przepłukała kilka szklanek. Jimi Hendrix grał *Red House*. Gwarek trąbił na kierowców o ptasich mózdkach. Miałem jeszcze pół piwa.

Niemiec znalazł się tuż przy moim lewym ramieniu i powiedział:

– Daj mi Powolne Komfortowe Sponiewieranie – roześmiał się na głos ze swojego żartu.

Barmanka lekko się pochyliła i zaczęła przygotowywać drinka. Niemiec położył obydwie dłonie na barze, jakby chciał go zatrzymać albo nim poruszyć.

– Ty – zwrócił się do mnie. – Jesteś Anglikiem, tak? – Na jego twarzy widniało mnóstwo blizn po przebytych dawno temu trądziku, choć większość

z nich była przykryta krótką brodą przyciętą w schludną linię od ucha do brody, imitującą żuchwę.

– Kompletnie nie trafiłeś.

– RPA? – Niemiec rozsiadł się na stołku przy barze. – Wciąż nie pozbyłeś się akcentu – powiedział. Podniósł moje okulary i przejrzał się w czarnych szklach.

– Ty też nie pozbyłeś się swojego niemieckiego akcentu.

– Myślisz, że jestem Niemcem? – prychnął i pokręcił głową.

Barmanka postawiła przed nim drinka. Mocno odchylił głowę, aż strzeliło mu w karku.

– Dobry kraj, RPA. Byłem tam w interesach w 1978 roku, w Rustenburgu. Znasz to miasto?

– Znam.

Złożył zauszuki moich oaklejsów i przewiesił je sobie przez kamizelkę.

– Ale teraz wszystko diabli wzięli, tak? Bo pozwoliliście, by wasz kraj przejęli... jak to wasi ludzie mówią? Kafirowie?

Barmanka zniknęła w kuchni.

– Niektórzy mogliby to tak ująć.

– Niektórzy tak to ujmują.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na moje okulary zawieszane na jego kamizelce.

– Cóż, to i tak nie ma znaczenia – powiedział tamten. – I tak świat się już skończył. – Wyjął ze swojego drinka papierową parasolkę, plasterek owocu i słomkę i rzucił je na bar. Napił się bezpośrednio ze szklanki i obtarł usta nadgarstkiem.

– Ludzie przyjeżdżają na tę wyspę, Puerto Galere, tylko z dwóch powodów – powiedział. – Po coś, czego nie mają w domu, albo żeby uciec przed czymś, co mają w domu. A ty którym typem jesteś, panie RPA?

Wziąłem łyk piwa i pomyślałem, że może po prostu wyjdę. To byłoby mądre posunięcie.

– Może i jednym, i drugim, co?

– Przyjechałem tu tylko dla sportów wodnych.

– Sportów wodnych? Ha! – Uderzył dłonią w bar. – Tak, ja też. Bardzo lubię tego typu zajęcia.



Odsunął swojego drinka i odwrócił się na stołku, by na mnie spojrzeć. Skinął głową na podręcznik nurkowania.

– Masz egzamin?

– Tak, kurs PADI. O p e n W a t e r.

– Ach, tylko O p e n W a t e r. Więc dla ciebie to wszystko jest nowe – pochylił się w moją stronę. – Pan RPA jest prawiczkim, jeśli chodzi o nurkowanie – powiedział, chrapliwie się zaśmiewając.

– Coś ci pokażę – powiedział. Wyjął z kieszeni małe blaszane pudełko i położył je z namaszczeniem na barze.

– Wypływasz łódką, zakładasz specjalny ekwipunek i wskakujesz do wody. I spodziewasz się dobrej zabawy, tak? Widzisz wiele pięknych rzeczy. Jeśli chcesz, możesz robić zdjęcia, ale n i e w o l n o dotykać. Bardzo tego przestrzegają. Mówią ci, że podwodne żyjątka są bardzo delikatne. Czasem wystarczy jeden dotyk i pach, umierają. Ale żeby dobrze coś poznać, trzeba tego dotknąć, poczuć życie w dłoniach, tak?

Gwarek wydał z siebie zaskakująco gardłowy dźwięk naśladujący zmianę biegu. Niemiec wyszczerzył zęby i potarł brodę, a następnie dosunął swój stołek bliżej mojego.

– Otwórz pudełko – powiedział.

– Co tam jest?

– Otwórz i sam zobacz.

Zdjąłem pokrywkę. Maleńki podłużny koralowiec na kawałku bawełny.

– Z każdego wyjazdu przywożę sobie coś drobnego jako pamiątkę. Wyjmij – powiedział. – To nie koralowiec. Masz w dłoni karłowatego konika morskiego. Te brodawki na skórze służą za kamuflaż. Kształtem i kolorem bardzo przypominają gorgonie. – Wyschnięte zwłoki na mojej dłoni ważyły tyle co nic. Podwinięty ogonek, oczy jak czarne kropki.

Podeszła jego dziewczyna. Wsunęła się między nas, objęła go obiema rękami w pasie, a policzek położyła na jego ramieniu, teatralnie pokazując, że jest śpiąca. Nawet na mnie nie spojrzała.

– Jestem zmęczona, Mannie, chodźmy już.

– Za chwilę, mój pysznutki kawałeczku ciasta, za chwilę, najpierw muszę skończyć z tym facetem. Lubi się na ciebie gapić. Co z tym zrobimy?

Przyjrzała mi się spod czarnych rzęs i zielonego cienia do oczu.

– Nic. Zostaw go. Nic nie zrobił.

Ostrożnie odłożyłem konika morskiego do jego trumienki i zamierzałem wstać. Mannie położył mi dłoń na karku i zmusił do pozostania na miejscu.

– Zabieraj ode mnie swoje cholerne łapska – powiedziałem. Trzęsły mi się palce. Jeszcze mocniej ścisnąłem butelkę z piwem. Obserwował mnie, nie mrugnawszy nawet okiem.

– Wiem, co myślisz. Że ta butelka ci pomoże? – Jego twarz była szeroka i blada na tle ciemnego wieczoru. – Wyluzuj, panie RPA, tylko rozmawiamy. Nie musi do niczego dojść, nie tutaj w barze, przy wszystkich tych ślicznokach. Ale musisz wybrać: albo rozmawiamy, albo wprawiasz butelkę w ruch.

Wyprostowałem się i zdjąłem dłonie z butelki.

– Rozmawialiśmy o patrzeniu i dotykaniu, tak?

Kiwnąłem głową.

– I wspólnie uzgodniliśmy, że patrzenie nie wystarczy. Więc jeśli patrzysz na moją żonę to chcesz też na niej położyć swoje łapy, tak?

Ślina napłynęła mi do ust. Mimo że usta Niemca się poruszały, to twarz pozbawiona była emocji.

– Tak, chcesz tego. Chcesz zedrzyć jej przez głowę koszulę i ścisnąć jej małe cycuszki. Chcesz wepchnąć jej rękę do dzinsów.

– Mannie, chodź. Daj mu spokój – powiedziała dziewczyna. Pogłaskała go po piersi swoją małą dłońią.

Mannie nie spuszczał ze mnie wzroku. Nadal mówił.

– Chcesz ściągnąć jej majteczki, zgiąć ją w pół i ugryźć w pupę. Chcesz ją mieć pod sobą, chcesz wpleść palce w jej gładkie włosy i w nią wejść. Tak? Tak, chcesz tego – szeptał.

Dziewczyna próbowała nas rozdzielić

– Mannie, *bitte!*

Odepchnął ją na bok, a jego twarz prawie zetknęła się z moją.

– Powiedz, że tego chcesz. Kiedy nikt nie patrzy, lubisz sobie podotykać. Powiedz to. Albo użyj butelki.

– Jak sobie życzysz... myślę, że tak.

– I dobrze myślisz. Nie jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz.

Dziewczyna coraz mocniej próbowała się między nas wcisnąć.

– Mannie, chodźmy już. Kochanie, jestem zmęczona. Zabierz mnie do łóżka, skarbie, proszę. – Objęła jego twarz, stanęła na palcach i go pocałowała. Odwzajemnił się jej głębokim, powolnym pocałunkiem, po czym znów ją odsunął. Otworzył zauszniki moich okularów i założył je sobie na głowę. Dziewczyna kierowała go już do wyjścia, ale on ponownie się nade mną nachylił, chwycił blaszane pudełko i powiedział:

– Jeśli cię tu jeszcze zobaczę, to też wylądujesz w takim pudełku.

Wyszli razem z baru. Ich sylwetki rozmazywały się w ciemności. Był dwa razy szerszy od niej.

Chwyciłem piwo obiema rękami, żeby pohamować roztrzęsienie. Pojawiła się barmanka. Milczała, póki na nią nie spojrzałem.

– Jeszcze jednego san miguela?

Mój portfel i klucz leżały na barze, numerem pokoju do góry. Chwyciłem je i wyszedłem wyjściem po drugiej stronie lokalu, prowadzącym na plażę. Chwiejnym krokiem kierowałem się po nierównym piasku w stronę hotelu. Powietrze było gęste od mgły, a pod stopami chrzęściły mi muszelki, kiedy brnąłem przez ciemność. Musiałem się dzisiaj wymeldować. Ten bydlak nie mógł wiedzieć, gdzie jestem ani jak można mnie znaleźć. Spieniona fala nadciągnęła nad brzeg i nagle stałem po kolana w zimnej pianie. Trwało to chwilę, zaraz nastąpił odpływ. Ziarenko po ziarenku osuwał się grunt pod moimi stopami. Kiedy podniosłem nogę, spadł mi kłapek. Wypłynął na powierzchnię i kilkakrotnie się obrócił, zanim porwało go morze. Rzuciłem się za nim w pogoń, chlapiąc wokoło wodą. Brodziłem przez lśniące czarne morze, zanurzony aż po uda, po krocze, goniąc za kłapkami znajdującym się zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie.

*Nie Szkocja* Anne Donovan to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Not Scotland* by Anne Donovan is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Anne Donovan

# Nie Szkocja

przełożył Jacek Okrój

Gorąc dopada cię, gdy tylko wystawisz nogę z samolotu. Również blask: na niebie zaledwie strzępki chmur.

– To jest życie – powiedział John.

– Ciężko uwierzyć, że to wrzesień. – Ściągnąłem z siebie kurtkę. – Jest jak w środku lata.

Sądziłem, że będzie tak jak u nas jesienią: jasno, ale z chłodnym powiewem. Czegóż takiego się jednak nie spodziewałem.

Na lotnisku był jeden wielki kocioł, wszyscy sprawdzali rozkłady, miotając się dookoła i paplając jak najęci. Nie miałem zielonego pojęcia, co mówią. Zwykle na wakacje jeździliśmy do Hiszpanii i potrafiliśmy już rozpoznać pojedyncze słowa, ale włoski był dla mnie jednym wielkim bełkotem.

– Chodźcie, chodźcie. – Bobby objął prowadzenie. – Sergio czeka na parkingu. Obyśmy się rozpoznali... Wieki już go nie widziałem.

– Miejmy zatem nadzieję, że nie zrobił sobie liftingu.

Sergio siedział w wielkim, czarnym mercedesie, zaparkowanym na środku podwójnej żółtej linii. Słuchał radia w pozycji na zimny łokieć. Miał na sobie nieskazitelnie białą koszulę i bajerancki zegarek. Patrząc na niego, czułem się jeszcze bardziej nieświeży i sfatygowany po wielogodzinnej podróży.

Gdy nas zauważył, wyskoczył z auta. Był dosyć niewysokim, krzepkim kołesiem: ciemna opalenizna i doskonała fryzura.

– Sergio! – zawołał Bobby.

– Roberto! – Sergio otoczył Bobby'ego ramionami i cmoknął go w oba policzki.

– Roberto? – Zdziwiony John spojrział na mnie, a potem na Bobby’ego.

– To moje imię – odpowiedział Bobby.

Sergio odwrócił się w naszą stronę, na co John odchylił się gwałtownie do tyłu jakby w obawie, że Sergio zacznie również i jego całować. Na szczęście tamten tylko podał mu rękę, klepiąc go po plecach. Następnie zaczął z rozmachem potrząsać moją dłońią – myślałem, że połamie mi nadgarstek.

– John... Jimmy – Bobby wskazał nas kolejno palcem.

W ustach Sergia pierwsze głoski naszych imion brzmiały nie jak *dż*, tylko jak coś pomiędzy *s* a *z*.

– Jak jest po włosku „Jimmy”? – spytałem.

– Giacomo.

– Dobra, to mówcie do mnie Giacomo – zarządziłem. – Jeżeli ty możesz mieć włoskie imię, to równie dobrze mogę i ja.

– Ale to naprawdę jest moje imię – odparł Bobby. – Tak mam w akcie urodzenia. Po prostu, gdy zacząłem chodzić do szkoły, łatwiej było przejść na Bobby’ego.

– To jak ja mam na imię? – wtrącił się John.

– Giovanni.

Sergio wyszczerzył zęby:

– Giovanni, Giacomo, witajcie we Włoszech.

Zanim zlecono nam tę robotę, nigdy jakoś nie myślałem specjalnie o Bobbym jako o Włochu. Jego mama była jeszcze niemowlakiem, kiedy jego dziadkowie przybyli do Szkocji gdzieś w latach trzydziestych. Potem przeszli na emeryturę i wrócili do siebie już lata temu, ale, jako że ojciec Bobby’ego był z Glasgow, on sam był dla nas zawsze po prostu Bobbym McCullochem. Nigdy jakoś nie wydawało mi się, żeby wyglądał na Włocha, ale gdy tu dotarliśmy, zauważyłem, że wielu tutejszych ma podobnie barczystą posturę i kwadratowe twarze. Co prawda Bobby nie mówił specjalnie biegle po włosku, ale dogadywał się jakoś z Sergiem, kiedy ten podwoził nas samochodem.

Ten dzień rozpoczął się dosyć wcześnie, więc padłem jak martwy na skórzane siedzenie i bujając w obłokach, obserwowałem mijane widoki. Drzewa w jesiennych kolorach, niewielkie pola, małe wioski z pomarańczowymi, różowymi i żółtymi domkami. Gdy dotarliśmy do miasta, na ulicach był jeden wielki sajgon: wszędzie pędzące i trąbiące auta, a między nimi

lawirujące rowery i skutery. Sergio zaparkował na drugiego przy głównej ulicy niedaleko budynku otoczonego rusztowaniem. Otworzył nam drzwi i znaleźliśmy się na marmurowej klatce schodowej, podobnej do tych w Glasgow, z parą drzwi na każdym piętrze. Gadał do nas jak najęty, mimo że ani ja, ani John nie rozumieliśmy nawet słowa z tego, co mówił. Na szczęście, z pomocą mamy Bobby'ego wszystko przygotowano jeszcze przed naszym przybyciem.

Budynek był w trakcie remontu zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Wszystkie mieszkania oprócz tego, w którym mieliśmy się zatrzymać, były już wykończone, miały nowe kuchnie i łazienki, a do nas należało ich udekorowanie. W naszym lokum był ogromny salon z otwartą kuchnią w jednym rogu, łazienka i sypialnia z trzema pojedynczymi łóżkami.

– Tamto dla Taty Misia, tamto dla Mamy, a to dla Małego Niedźwiadka – wyliczyłem, popychając Bobby'ego na jedno z łóżek.

– Daj znać, kiedy przyjdzie Złotowłosa – skwitował.

Każdą powierzchnię pokrywała warstwa pyłu, ale było tam też wszystko, czego mogliśmy potrzebować. Do tego, kiedy Sergio otworzył szafkę w holu, odkrył w niej mnóstwo świeżej pościeli, ręczników i z pięćdziesiąt puchatych kołder.

– Przydadzą się – powiedział John.

– Ta – odpowiedziałem. – Bałem się, że będzie nam w nocy zimno. Nie przywykliśmy do tego w Szkocji.

– Nie chciałbym, abyśmy musieli ścisnąć się w jednym łóżku, żeby nie umrzeć w nocy z zimna.

Sergio wręczył Bobby'emu klucze do mieszkania i objaśnił mu mechanizm działania niezwykle skomplikowanego zamka. Zostawił nas, żebyśmy mieli czas się rozpakować i zapowiedział, że później pojedziemy razem coś przegryźć.

Kiedy pojawił się pomysł tego wyjazdu, John od razu się do niego zapalił, zupełnie jakby był to jakiś obóz wakacyjny z małymi przerwami na machnięcie pędzlem.

– Ci Włosi żyją na pełnym luzie... długie przerwy obiadowe, sjesty, przekaskiwanie z knajpy do knajpy na kawkę. Bułka z masłem.

Wiedziałem, że przesadza, ale nie miałem pojęcia jak bardzo. Nie no, ja i John pracowaliśmy zawsze jak mrówki, od samego początku. Bobby też zdecydowanie nie był obibokiem. Jak prowadzisz własny interes, nie zastanawiasz się dwa razy, tylko po prostu robisz to, co trzeba. Jednak tutaj musieliśmy pracować od siódmej rano do piątej po południu, bez przerwy. Jediną odskocznią była możliwość zjedzenia lunchu z chłopakami, którzy robili na rusztowaniach. A i nawet oni nie celebrowali specjalnie posiłku podczas przerw obiadowych, tylko jedli swój prowiant i wracali do roboty. O przerwach na herbatę już nawet nie wspomnę. Można było pójść do baru na dole, ale to tylko dwie minutki i z powrotem – ci kolesie potrafili wydudlić kawę szybciej, niż my ją zaparzamy. U siebie byłem raczej zwolennikiem herbaty, ale wystarczył tydzień roboty, żeby mnie nawrócić. Przed pracą kurs na dół po cappuccino z pączkiem, kolejne przed południem, tym razem z kanapką. Po południu był czas na małe espresso: zastrzyk kofeiny, która pozwalała ci zachować przytomność aż do końca roboty. Oprócz tego była jeszcze woda, woda i jeszcze raz woda, ponieważ pogoda nadal utrzymywała się, jakby było lato.

A każdego wieczora padaliśmy z nóg.

– Gdzie się podziały te całe sjesty, Roberto? – spytał pewnego razu John.

– Myślałem, że każdy ucina sobie tutaj po południu drzemkę.

– Zgadza się – odpowiedział Bobby. – Ale nie wszędzie. Głównie na południu, gdzie latem jest jeden wielki skwar. Zamyka się wtedy sklepy na parę godzin, ale potem są otwarte aż do późna. A pracownicy dalej pracują. Tak samo jak u nas.

– Powinienem się domyślić – powiedział John. – Ci kolesie są nieźli, ale... Cholerni z nich perfekjoniści.

Szef zjawił się u nas pod koniec weekendu, aby zobaczyć, co już udało nam się zrobić. Jednak nie skończyło się to tylko na rzuceniu okiem – sprawdził wszystko, wytknął nawet maleńką smugę po pędzlu w jednym kącie. Johna trochę to wpieniło. Szczyciliśmy się tym, że nie odwalaliśmy fuszerek, a kiedy od dłuższego czasu jesteś sam sobie szefem, ciężko jest znieść, kiedy ktoś nadzoruje twoją pracę. Na szczęście wkroczył wtedy Sergio:

– Bene – powiedział i wręczył każdemu po zwitku banknotów.

– Rany – jęknął John, kiedy w piątkowy wieczór siedzieliśmy w barze. – Ale czepialscy, co? Kiedy u nas wykańczasz mieszkanie do wynajęcia, skupiasz



się przede wszystkim na ścianach i nie cackasz za bardzo wokół okien, bo przecież zasłony i tak wszystko zakryją.

– My tak nigdy nie robiliśmy.

– Nie, ale robiliśmy sporo dla gości, co chcą opchnąć mieszkanie, zanim nawet wyschnie farba. Naoglądali się tych cholernych programów o remontach.

– No cóż – wtrącił Bobby – przynajmniej jest jakaś dobra strona kryzysu. Moja ślubna od oglądania tego całego Laurence’a zaczęła wpadać na różne dziwne pomysły. Zapytała mnie kiedyś, czy nie namalowałbym małych serduszek na suficie sypialni.

– Oooj, jak miło słyszeć, że miłość jeszcze nie wygasła. – Poklepałem go po ramieniu. Bobby wysączył łyk piwa.

– Tęsknię za moją małą Kirsty. Pojechałbym za nią nawet na koniec świata.

Byli drobiazgowi nie tylko na punkcie wykończeń, ale właściwie wszystkiego. Sklepy i bary mieli czyste i posprzątane. W porównaniu do domu wszystko było tu strasznie poukładane. Zupełnie odwrotnie niż można się było spodziewać – myśleliśmy, że są w gorącej wodzie kąpani i chaotyczni, ale w rzeczywistości było całkiem inaczej. Poranki są tu idealne. Lekki chłód w powietrzu i przepiękne słońce. Włosi wychodzili wtedy w swetrach i szalikach. John zgrywał się, pomagając sobie mową ciała.

– Ciut chłodno, co nie, Marco? – zapytał, udając, że zakłada olbrzymi płaszcz i szalik.

Marco skulił się z zimna w ramach potwierdzenia.

– La Scozia e molto freddo – dodał John.

Zdążył już podłapać kilka zwrotów, ale brzmiały dość zabawnie z jego szkockim akcentem. Marco skinął głową, uśmiechnął się i poszedł pozbierać swój sprzęt, który składaował w rogu pomieszczenia.

Pewnego ranka wstałem wcześniej, razem ze słońcem. Wyślizgnąłem się z łóżka, przemknąłem po cichu na palcach między chłopakami i wyszedłem na zewnątrz. Przed budynkiem była bardzo tłoczna i ruchliwa ulica, ale wystarczyło przejść się jakieś dziesięć minut, aby dojść do małego, cichego zakątka wśród drzew. Magia. Światło i cienie na niewielkiej ścieżce, kopczyki brązowych liści pod drzewami i odległe odgłosy budzącego się miasta: warkot przejeżdżających pojazdów, szelest żaluzji podnoszonych na witrynach

sklepów i barów, okrzyki powitań. Po raz pierwszy od naszego przyjazdu poczułem się prawie jak w domu. Przez większość czasu nie opuszczało mnie wrażenie, że jestem turystą, mimo że musieliśmy pracować; ale tam, w delikatnym świetle słońca, poczułem się naprawdę dobrze.

Usiadłem na ławce i zacząłem rozmyślać o domu. Ciekawe, co porabiali Liz, Francis i Anne Marie? Jeszcze tylko parę tygodni i w końcu sam będę mógł się przekonać.

W sobotę udaliśmy się na plażę oddaloną około półtorej godziny jazdy pociągiem. Na wybrzeżu było całkiem przyjemnie: czysto i schludnie, z rzędem ślicznych małych kawiarenek i ludźmi rozkoszującymi się spacerem przy morzu.

Nigdy wcześniej nie byłem na włoskiej plaży i gdyby nie Bobby, który za dziecka został wtajemniczony w te sprawy, nie mielibyśmy pewnie pojęcia, co robić. Plaży były tu prawie całkowicie prywatne, podzielone na posegregowane według kolorów strefy. Po obu stronach brzegu rozciągało się ogromne, długie na kilka kilometrów pasmo leżaków i parasoli.

– Latem mrowiłyby się tu od ludzi. Właściwie to teraz jest całkiem spokojnie – oznajmił Bobby. Wybrał jedno wolne miejsce i zagadał do kobiety z obsługi.

– Quanto per la spiaggia?

Wręczył jej banknot, a ta wskazała nam przebieralnię oraz toaletę i dała wielki parasol oraz każdemu po leżaku. Porozkładaliśmy się na piasku i pobiegliśmy do wody. Co prawda sama plaża była dokładnie uporządkowana – poukładany sprzęt, dobrane ręczniki i ogólny ład – jednak morze było dzikie i wzburzone. O brzeg uderzały ogromne fale, prawie tak wysokie jak ja. Ścigały się ze sobą, nadchodząc od strony głębin i uderzając o płaski piach, gdzie uspokajały się i ciche jak on sam wracały we wzburzoną toń.

Tak bardzo się to wszystko różniło od Szkocji. Gdy byłem młody i pracowałem przez rok na północy w leśnictwie, cały wolny czas spędzałem na miejscowej plaży, która była wielkim, pustym pasmem niemal białego piasku. Wzburzona woda rozpryskiwała się o skały: ciemna, groźna i dogłębnie okrutna.

Tutejsze morze jest zwodnicze. Dookoła widać było śmiejące się włoskie rodziny, dzieci grające w piłkę przy brzegu, pary spacerujące za rękę, bez-

chmurne niebo i przepiękne góry spoglądające na miasteczko pełne białych, żółtych i różowych domków. Jednak te fale: czające się i atakujące z olbrzymią siłą, niczym jeźdźcy na wodzie, mogły porwać cię z plaży i wciągnąć w dzikie odmęty, nie pozostawiając po tobie śladu.

Nikt nie pływał. Tylko kilku ludzi chlapało się na płyciźnie. Stanałem przy brzegu. Lodowata woda chlastała mnie po nogach, mimo że na karku czułem piekące słońce. Zamknąłem oczy i wciągnąłem powietrze, poczułem świeżość tak bardzo ożywiającą po tygodniu pracy w dusznym pomieszczeniu. Wypuściłem z siebie opary farby wraz z nocami, w środku których budziłem się nagle, odrętwiony i zmęczony, z nosem wyschniętym od zamkniętego okna. Wciągałem także coś nieokiełzanego, świeżego i czystego, przywodzącego na myśl jakże odległe szkockie morze, na plażach którego nie bywało jednak tak ciepło, nawet w środku lata. Jeszcze przez kilka sekund wdychałem i wydychałem powietrze, po czym otworzyłem oczy i wszedłem w olbrzymią falę sunącą w moją stronę. Uderzyła i opryskała mnie zimnymi, przyprawiającymi o dreszcze kroplami. Stałem pośrodku grzmiących, miazdzących fal mijających mnie jedna za drugą, w jednej chwili wpatrując się w morze, a w następnej oddając się szokowi pulsującego wodnego doznania.

*Los San Patricios* Roddy'ego Doyle'a to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Los San Patricios* by Roddy Doyle is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Roddy Doyle

# Los San Patricios

przełożyła Martyna Bohdanowicz

Po wydaniu nowej książki pisarz wyruszył na tournée po Ameryce – co dzień inne miasto, co wieczór inna publiczność. Leciał w nowe miejsce i wysłuchiwał starych pytań. „Czy używa pan w pracy laptopa?”. „Jakich innych irlandzkich autorów pan czyta?”. „Jak pan sądzi, dlaczego Irlandczycy chwytający za pióro w pewnym sensie porywają się z motyką na słońce?”. Nagle pojawiło się jednak nowe pytanie, które szybko dołączyło do standardowego zestawu: „Słyszał pan kiedyś o San Patricios?”.

Tak się złożyło, że słyszał. Zespół The Chieftains we współpracy z Ryem Cooderem wypuścił niedawno płytę pod tytułem *San Particio*. Pisali o tym na łamach „Irish Times”, przeczytał nawet pierwszy akapit. Mianem San Patricios określano grupkę Irlandczyków, którzy w trakcie wojny meksykańsko-amerykańskiej w latach 1846–47 podczas walki przeszli na stronę przeciwnika. Tyle wiedział. Stwierdził jednak, że to wystarczy, by móc odpowiedzieć twierdząco. Jakiś zachwycony mężczyzna wstał i stwierdził, że chyba brak im było piątej kleпки. W innym mieście pewna kobieta rozplęwała się nad Irlandczykami, którzy postanowili walczyć ramię w ramię ze swymi „meksykańskimi braćmi”. A czy pisarz, spytała, nie myślał nigdy o nawiązaniu do tego tematu?

– Nosz do kurwy nędzy...

Rex nie miał pojęcia, gdzie się znajdował. Nie był nawet pewien, czy się już obudził. Czuł gorąco i był na zewnątrz. Ale kiedy zamykał oczy, siedzieli w budynku, a nad głową mieli sufit. Pewności oczywiście nie miał, ale jednak. Nic mu nie świtało, niczego sobie nie przypominał.

– Pustak?

Ostąpił ręką oczy przed słońcem. Pustak – prawdziwe imię Trevor – leżał obok, zdradzając pierwsze oznaki przytomności. Jego ciało, tak jak wszystko dookoła, pokrywał czerwony pył. Ziemia drżała, w powietrzu niósł się huk jakichś eksplozji.

– Hej, Pustak!

– No co je?

– Gdzie my, kurwa, jesteśmy?

– Nie wiem, stary. Totalna pustka.

Pustak usiadł i rozejrzał się dookoła. Nowa fala pyłu smagnęła ich po twarzach.

– Mamy haluny – stwierdził Rex.

– Ano, mamy – przytaknął Pustak.

Obok przebiegło kilku ludzi. Pył i żwir spod ich butów posypał się w ich stronę. Biegący nieśli strzelby.

– Ty patrz, wszyscy mają takie same ciuchy.

– Chuje.

Jeden z uzbrojonych poleciał do przodu, jakby ktoś uderzył go w plecy. Upadł w momencie, gdy rozległ się wystrzał, a na ziemię bryzgnęła krew.

– Widziałeś to?

– Ta.

– Mamy zbiorowy odlot.

– Rewelacja.

– Stary, towar pierwsza klasa.

Rex już sobie przypomniał. Jarał Smoke XXXX z Pustakiem i jego bratem w ich pokoju. To właśnie brat Pustaka, Eliot, skołował towar – Uwaga: Produkt nieprzeznaczony do spożycia – w pobliskiej trafice, zanim trzy dni później nakazali ją zamknąć.

– Gdzie Eliot?

– O tam. Widzi?

Eliot leżał martwy kilka metrów dalej. Czerwony gład po części zasłaniał ciało, więc nie dostrzegli głowy, ale conversy zdecydowanie należały do niego.

– Zajebioza – stwierdził Rex.

– Dlaczego nie widzi tego, co my? – zastanawiał się Pustak. – Przecież też jarał cztery iksy.

– Niby tak, ale nie wypił żelu do rąk. Wypłuł go przez okno, pamiętasz?

– No racja – przytaknęła Pustak.

Kula zahaczyła o jego ucho i uderzyła w kamień tuż przed ich nosami.

– Kurwa!

Rex się roześmiał.

– Rewelacja! Towar wart swojej ceny.

– Wal się – warknęła Pustak. – To, kurwa, bolało. Patrz, krew! Krew się ze mnie leje!

– Bajer.

Ziemia ponownie zadrżała. Rozległ się ryk eksplozji, a fala uderzenia targnęła ich ubraniami, jakby z każdej strony obłapiły ich ciężkie ręce. Obok przebiegł człowiek w mundurze. Zatrzymał się i odwrócił – jego twarz zdołała ogromne czarne wąsiska – a następnie krzyknęła w ich stronę i znów zaczął biec.

– Po jakiemu to, kurwa, było?

– Pakistański albo co.

– No to jesteśmy w Iraku.

– Ta – stwierdził Pustak. – Ale weź słuchaj. Halucynacje przecież nie bolą, co nie? To jebane ucho żyć mi nie daje.

– A moje ma się świetnie.

Rex sprawdził swoje ucho.

– No. Zero krwi. Ej, stary! Tutaj! – krzyknęła za biegnącym mężczyzną, ale ten zdążył się już ulotnić.

– Chuj zaćpany.

W ich kierunku zmierzał kolejny mężczyzna. Niósł mnóstwo strzelb, które ledwo był w stanie utrzymać. Upadł, a raczej zanurkował, tuż obok dwóch kumpli.

– Zaczne ludzie – powiedział z mocnym, wiejskim akcentem. – Dotarliście.

– No chyba – odparł Rex.

– Chłopaki z Dublina?

– Się wie.

– Zuchy. Dobrze was tu widzieć – z tymi słowami podał każdemu po strzelbie. – Proszę bardzo.

– Bajer.



– Stary, słuchaj, gdzie my jesteśmy? – spytał Pustak.

– Gdzie jesteście? – wsiok gapił się na nich, dopóki nie musiał zamknąć oczu z powodu pyłu.

– Chłopaki – powiedział w końcu – jesteście w samiuśkim środeczku bitwy pod Buena Vista.

– Powaga?

– Walczycie za Meksyk i katolicką wiarę.

– Jebany Meksyk?

– Katolicką wiarę? – powtórzył Rex. – Dupa na kłódkę, Pustak.

– A tak w ogóle, chłopaki, to front macie za plecami.

Rex obrócił się i ujrzał szereg żołnierzy maszerujących prosto na niego. Ponad polem znów wzbiła się chmura pyłu, a kilku ludzi upadło rażonych kulami. Jednak większość z nich kroczyła nieubłaganie i z każdą chwilą byli coraz bliżej.

– Byłoby fajnie już się obudzić – stwierdził Pustak.

– Ta – przytaknął Rex. – Nudno tu.

– Upewnijta się, że bagnety są przymocowane, chłopaki, lada chwila mogą rzucić sygnał do ataku – stwierdził wsiok.

– Uwaga, strzelam – powiedział Rex.

Wycelował w jednego ze zbliżających się żołnierzy.

– To Amerykańce, tak?

– O tak, jak najbardziej – zapewnił go wsiok.

Rex pociągnął za spust i poczuł, że traci ramię i połowę głowy.

– Nosz kurwa mać!

– Trafiłeś.

– Nie słyszę cię!

– Trafiłeś!

– Znać mistrza.

Rex wycelował po raz kolejny i nacisnął spust, ale nic się nie wydarzyło.

– Pusty. Nie powinno tam być sześciu naboí czy coś w tym guście?

– Moment – wtrącił się Pustak. – To jeden z tych starszych gnatów. Trzeba przeładować za każdym razem. Widziałem takie na filmie, staruszek ma kolekcję z Henrym Fonda.

– Kto to Henry Fonda?

– Mąż Jane Fondy.

– Kto to Jane Fonda?

– Bo ja wiem? – stwierdził Pustak. – Jakaś stara rura. Ale tak, bez przeładowania wypalisz tylko raz.

– No, co za gówno – zachnął się Rex. – Nie ma do tego jakiejś apki czy coś? Ej, kolego! – krzyknął do ich nowego towarzysza. – Który mamy rok?

– 1847.

– W tej dziurze na pewno.

Ale wsiok już ich nie słuchał.

– Gotujta się, chłopaki – krzyknął, przykucając.

Tuż obok nich pojawiło się teraz więcej mężczyzn, którzy ustawili się w szeregu, trzymając przed sobą wyposażone w bagnety strzelby.

– Pustak, miałaś historię w szkole?

– Jak mi się zachciało.

– Kołacze ci się, kto wygrał bitwę pod Buena Jakiejtamkurwabyło?

– Nie. Totalna pustka.

Rex spojrzał na resztę oddziału, ustawionych szeregiem wychudzonych i zmęczonych obdartusów.

– Coś mi się nie wydaje, że my.

– Ano – przytaknął Pustak.

– Jeśli nie zdążymy się obudzić, to zmieniamy strony, dobra?

– Jasne.

– Ale najpierw podźgamy sobie trochę Jankesów, dobra?

– Jasne.

– Tak dla jaj.

– Aha.

Po ich lewej wsiok uniósł strzelbę w powietrze.

– Panowie! – wykrzyknął. – Za Meksyk i papieża Piusa!

– No kurwa. I Jennifer Lopez.

– No to jedziemy.

– *Erin go bragh!*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Właściwie *Éirinn go Brách* – okrzyk wyrażający przymierze z Irlandią; zwykle tłumaczony jako „Niech żyje Irlandia”.

*Niebieski błysk* Michela Fabera to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*A Flash of Blue Light* by Michel Faber is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Michel Faber

# Niebieski błysk

przełożyła Michalina Jenczelewska

– Porwali mnie kosmici – powiedziała siedzącemu za biurkiem policjantowi kobieta z obcym akcentem.

– Zgwałcili panią? – zasugerował z nadzieją nie dlatego, iż był człowiekiem wyuzdanym, ale ponieważ liczył, że uda mu się ten przypadek przydzielić koleżance.

– Nie – odpowiedziała, mrużąc oczy. – Nie mieli... sprzętu.

Tłumiąc ziewnięcie, policjant sprawdził godzinę na ekranie komputera. Była trzecia dwadzieścia dwa... w nocy. Na komisariacie mieli tylko jedną posterunkową – akurat drzemała w pokoju rewizji osobistych.

– No dobrze – westchnął. – Pani nazwisko, wiek, adres?

– Nazywam się Jutta Mollo – przedstawiła się spokojnie kobieta. – Mam trzydzieści siedem lat. Mój adres to Jahnstrasse 19/A, 3015 Wenningsen 5, pod Hanowerem w Niemczech.

Policjant musiał poprosić panią Mollo o przeliterowanie wielu z tych nazw, urodził się bowiem w Huddersfield, a jego posterunek znajdował się w Wombwell w hrabstwie South Yorkshire, gdzie Niemców było jak na lekarstwo.

– Co pani robi tak daleko od domu? – zapytał.

Pani Mollo delikatną, aczkolwiek nieco ubłoconą dłonią przeczesła upięte w gustownej fryzurze włosy. Wypadły z nich drobne listki i mleczko.

– Nie tak znowu daleko – odparła. – W zeszłym tygodniu byłam oddalona od Ziemi o lata świetlne, więc teraz to do Hanoweru mam rzut beretem.

– A jednak... – zauważył policjant z nutą rezygnacji, sygnalizując gestem pozostałe paręset mil.

– Kiedy tak o tym myślę – kontynuowała kobieta – to system nawigacyjny obcych jest niezwykle precyzyjny. Na tyle planet w galaktyce odwieźli mnie dokładnie na Ziemię, mało tego, do samej Europy.

– Anglia to nie Europa – wtrącił policjant.

– Tak, tak. Wiemy, że uważacie inaczej, ale prawda...

– Proszę pani – westchnął ciężko policjant – niech mi pani powie otwarcie: o co n a p r a w d ę pani chodzi?

Błękitnoszare oczy pani Mollo błysnęły chłodno.

– Porwali mnie kosmici. Porwanie to przestępstwo – przypomniała mu.

– Nasze możliwości są tutaj ograniczone – oznajmił policjant ze śmiertelną powagą. – Nie możemy szukać kryminalistów w tak odległych rejonach. W Sheffield, w Leeds, może w Manchesterze, ale nie w innych układach słonecznych.

Kobieta odpowiedziała na jego impertyncję odpowiednio oschłym tonem.

– Moje dzieci – wycedziła – nadal tam są. Wypuścili mnie, ale ich nie oddali.

– Jak pani myśli, dlaczego?

– Powiedzieli, że dzieci są bardziej świeże i kompaktowe. Mała Rosi jest szczególnie drobniutka...

Oficer przyjrzał się uważnie obliczu pani Mollo w poszukiwaniu jakichkolwiek przejawów emocji, ale żadnych nie dostrzegł.

– Czy są na to jakieś dowody? Oprócz pani zeznań, ma się rozumieć.

Kobieta westchnęła.

– Jaka ja głupia. Mogłam przecież oderwać jakiś element ich statku i wynieść w bieliźnie, prawda? Mniejsza o to. – Wręczyła mu kawałek papieru. – To numer do mojego męża w Wennigsen. Potwierdzi, że zniknęłam w niebieskim błysku o jedenastej czterdzieści pięć w zeszłą środę.

Policjant wybrał numer, zakładając, że o wpół do czwartej nad ranem takie połączenie nie będzie kosztowało zbyt dużo. Telefon odebrano niemal natychmiast. Po drugiej stronie odezwał się mężczyzna, zadyszany i wyraźnie spięty.

– Ja? Mit Dieter Mollo.

– Mówi posterunkowy Broadbent z komisariatu w Wombwell w hrabstwie Yorkshire. Dzwonię w sprawie pańskiej żony i dzieci.

– Ja płacić, ile chcecie – zaoferował pan Mollo. – Tylko nie robić krzywdy moja familia!

Broadbent przysłonił słuchawkę dłonią i popatrzył na panią Mollo.

– Radzi sobie pani po angielsku znacznie lepiej niż małżonek – zauważył.

– Zgadza się – potwierdziła. – Ja dużo podróżuję, a on zajmuje się domem.

Posterunkowy Broadbent zadał panu Mollo kilka pytań, a potem podziękował mu za współpracę i odłożył słuchawkę.

– W niebieskim błysku – podsumował. – Lub też, jak to ujął pani mąż, „w wielkim, niebieskim pysku”. Mają państwo jakieś problemy małżeńskie?

– W tej chwili tak – odparła pani Mollo. – Nasze dzieci są przetrzymywane przez obcych.

– Może pani ich opisać?

– Rosi ma cztery latka. Jest śliczna, jej jasne włoski są jak jagnięce futerko. Irmin ma dwa i pół roku. Nie jest już taki piękny, raczej przeciętny, bym powiedziała. Ma okrągłą twarz i krótkie włosy. Takie mysie. Szarobrazowe. Brązowoszare, jakieś takie.

– Miałem na myśli obcych.

– Bardzo niscy i... przysadziści. Jak Włosi. Ale ci z Południa, nie z Północy. Włoscy wieśniacy.

– Nigdy nie byłem we Włoszech – powiedział Broadbent. – Żona ciągle wierci mi dziurę w brzuchu, żebyśmy się wybrali.

– Polecam, warto – odpowiedziała pani Mollo. – A teraz... pomoże mi pan?

Był środek lata, toteż kiedy Frau Mollo i policjantka dotarły do Wombwell Woods, zaczynało już świtać. Parking przy wjeździe do Woodhead Lane był opuszczony. Dwie kobiety - obie podobne wiekiem, wzrostem i posturą - wysiadły z samochodu i kontynuowały wędrówkę pieszo. Posterunkowa Duffy nie posuwała się naprzód z wyciągniętą w gotowości bronią. Nie kuliła się też przezornie, jakby spodziewała się ataku. Przeciwnie - szła spokojnie ze wzrokiem utkwionym w ścieżkę przed sobą, przy czym bardziej niż przydatnych dla wyjaśnienia sprawy poszlak, wypatrywała psych kup. Wschód słońca był bajeczny, a sceneria doskonale pomyślana: gęstwiny zachwycających wielobarwnych drzew, połacie czystej, błękitnej wody, dyskretne znaki upraszające ludzi, aby nie śmiecili, i całe mnóstwo kolorowych odpadów. Dało się tu zaobserwować właściwie wszystkie typowe

cechy na wpół naturalnych, komunalnych obszarów zieleni – za wyjątkiem wielbiących naturę obywateli z psami, bo ci jeszcze spali.

– Dokąd teraz? – zapytała posterunkowa Duffy.

– Wydaje mi się, że to była strefa piknikowa.

Gdy szły, posterunkowa Duffy postanowiła subtelnie wykorzystać swoje psychologiczne umiejętności.

– Problemy codziennego życia czasami sprawiają, że podejmujemy impulsywne decyzje – podjęła. – Czasami tego wszystkiego jest po prostu za dużo.

– Przykro mi to słyszeć – odparła pani Mollo. – Mam nadzieję, że nie zejdzie nam długo na tych poszukiwaniach, ale kiedy lądowałam, było tu całkiem ciemno i teraz wszystko wygląda inaczej.

– Rzeczywiście, w świetle dnia rzeczy mogą wyglądać zupełnie inaczej – przyznała posterunkowa Duffy, starając się, jak tylko mogła, aby nadać tym słowom pożądany filozoficzny wydźwięk.

– Jak choćby te drzewa – zauważyła pani Mollo. – Wydawały mi się takie gęste. Byłam pewna, że nie ma między nimi żadnych odstępów, a w rzeczywistości rosną dosyć rzadko.

Ruszyły dalej. Wielki ptak przeleciał nad ich głowami, na co Niemka aż podskoczyła. Posterunkowa Duffy uznała tymczasem, że być może bardziej bezpośrednio podejście sprawdzi się lepiej niż owijanie w bawełnę.

– Myślała pani kiedyś, żeby uciec od męża?

Pani Mollo zignorowała pytanie.

– Myślę, że to było trochę dalej...

– Zabrać dzieci i po prostu... zniknąć?

– Wennigsen ma naprawdę dobrą szkołę. Rosi jest w niej szczęśliwa i jestem pewna, że gdy nadejdzie czas, Irmin będzie tam traktowany z cierpliwością, jakiej potrzebuje. – Pani Mollo przełknęła z trudem ślinę; jej oczy się zaszklily.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że kobiety ulegają swoim kochankom. Jadą do nich za granicę – podsunęła subtelnie posterunkowa Duffy – i nagle odkrywają prawdę: że żonaty. Że kryminalista. Byłaby pani zaskoczona, wiedząc, jak często to się zdarza.

– Teraz chyba w lewo.

– Wszystkimi nami kierują popędy...

– Pamiętam te drewniane stoły.



Dotarły do polany, którą przekształcono w strefę piknikową. Ławki i stoły skonstruowane z prostych, poskręcanych ze sobą desek, w blasku świtu połyskiwały jak Stonehenge. Podłoże - usłane trawą, będące już w zasadzie trawnikiem - upstrzone było mleciami. Widniał na nim również duży, okrągły ślad, w obrębie którego zielona trawa była zupełnie czarna. Wszystko wskazywało na to, że wypalono go niedawno.

Pani Mollo wkroczyła w okrąg i stanęła pośrodku. Zadarła głowę, by popatrzeć na czyste niebo.

- Musicie mi pomóc - wydusiła. - Nie możecie mi pomóc.

Posterunkowa Duffy wyciągnęła policyjny notes, sprawdziła dokładną godzinę i zapisała kilka linijek. Mogła teraz zadać więcej pytań; różnych pytań. Podczas gdy sylwetka Niemki przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, policjantka zmrużyła oczy, oślepiona blaskiem wschodzącego słońca.

- Możemy odwieźć panią do domu. Do Niemiec. Tak sądzę - rzekła.

Ale pani Mollo była w swoim świecie.

*Jak mówi przysłowie* Anne Fine to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*As The Proverb Goes...* by Anne Fine is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Anne Fine

# Jak mówi przysłowie

przełożyła Alicja Szankin

Gdzie indziej. Dla mnie te słowa zawsze kryły w sobie magię, jakby wyjęto je z kart baśni. Pewnego razu... Za górami, za lasami... Dawno, dawno temu... Gdzie indziej...

Wpasowywały się też w tęsknotę, którą czułam w dzieciństwie każdego dnia o niemal każdej porze. Unieruchomiona za szkolną ławką, pragnęłam rzucić jarzmo powtarzanych smętnie francuskich czasowników i zarzutów niestrudzenia czynionych przez nauczycieli. Chciałam do domu.

W domu zaś, przerywając czytanie książek, aby wnieść pranie po schodach, starannie ułożyć buty w komodzie czy przejąć pałeczkę przy zmywaniu, z utęsknieniem wyczekiwałam, aż przejdę znowu pod ceglany łuk obwieszającym wejście do świata z dala od chaosu życia rodzinnego, świata cichych zrywów skupienia na wypełnianiu ćwiczeń długopisem.

Nic się nie zmieniło, gdy wyjechałam na studia. Uniwersytet był oddalony od domu o dwie godziny jazdy – odległość wystarczająca, aby nie kłopotać się pozostawioną w tyle rodziną, gdy jest się szczęśliwym na miejscu, ale znów nie tak wielka, żeby pod wpływem chwili nie dało się wrzucić co popadnie do torby i wyruszyć z akademika w utęsknione rodzinne strony. Często jeździłam do domu. Ale już po upływie kilku minut jedno z rodziców zamęczało mnie, żebym przewiesiła płaszcz z tego krzesła na haczyk, czytniac (nie za uprzejme) uwagi na temat mojego ubioru lub czytało na głos urywek z gazety, do której odkryłam niedawno pogardę.

Zaczynałam więc kłamać.

– Mogę zostać tylko na jedną noc. Mam jutro seminarium o drugiej.

Matka nazywała mnie nerwową. Być może miała rację, paznokcie z przejęcia obgryzam aż do krwi, z natury jestem spięta. Ale czy nie przystosowałabym się lepiej do małżeńskiego życia, z wiążącymi się z nim przeskokami, to dwa lata tu, to rok tam, pół roku w tym miejscu, po czym rok w tamtym, gdyby to była zwykła nerwowość? Odczekałam siedem lat, po których, jak rzeczą bajki, nadchodzi czas na to, czego pragniemy, i zmieniałam kurs, zmierzając z powrotem tam, gdzie zostawiłam szron, mgłę i wichry, gdzie śnieg stanowi niespodziankę, a nie stały punkt programu.

Zgaduję więc, że ta przemożna chęć, by znaleźć się gdzie indziej wywodzi się z czegoś zgoła innego: skrytego, acz irracjonalnego, przekonania, iż gdzieś tam oczekuje mnie prawdziwe życie – może w Londynie, gdzie co wieczór chodziłabym na inny koncert, jadała lunch z wydawcami, oglądała każdy film; albo w chłostanym wiatrami domku na wybrzeżu, gdzie, całkiem sama, mogłabym pisać dłuższe, lepsze książki; być może w Sewilli czy Paryżu.

Aż pewnego dnia, włączwszy wiadomości w radiu, uchwyciłam ostatnie słowa jakiegoś prowadzącego, którymi w ten niewyszukany sposób kończył swój program.

– I to by było na tyle. Jak mówi stare przysłowie: „Wszędzie jest tu, a tu jest wszędzie”. Dziękuję za udział gościom...

Pamiętam, jak pomyślałam: „Co za b r e d n i e”. Pusta, wzdęta, pseudo-guru dyrdymała, z rodzaju mądrości uznawanych jedynie, gdy jest się nawalonym. Samo przysłowie też nie brzmiało znajomo. (Na myśl nasuwały się sentencje pokroju: „Nigdzie jest ten, kto jest wszędzie” Seneki Młodsze, ale sedno jest z gruntu inne). Równie dobrze ktoś mógł źle przeczytać tekst albo mogłam opacznie coś usłyszeć. Mimo to, ten krótki ciąg słów odcisnął piętno na moim życiu, zaczęłam zauważać błahe wymiany zdań, które prowadziliśmy z partnerem od lat.

- Byłam w Sienie? – pytałam wtedy.
- Jasne, że tak. Razem byliśmy.
- Nie pamiętam.
- W pokoju był nietoperz.
- Och, tak. Cóż, a byłam w Cagliari?
- Tak. Na festiwalu. Dopiero co, w zeszłym roku.
- Myślałam, że to w Sardynii.

– Bo tak było.

Jaki to ma sens, jeżeli nie wiesz, gdzie byłeś?

Aż w końcu i przyszłość straciła na ostrości. Na zaproszenie na kolację czy prelekcję odpowiadałam:

– Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że gdzieś wyjeżdżam pod koniec miesiąca.

– Och? W jakieś ładne miejsce?

Ledwo mogłam coś odrzec, ponieważ nie zadałam sobie trudu podjęcia decyzji. Jedyne, co dostrzegłam, to zalewająca mnie fala irytacji na widok czarnej kreski, nakreślonej na tych dniach w kalendarzu.

Aż pewnego dnia, gdy robiłam korektę nowego wydania mojej pierwszej powieści dla dorosłych, natknęłam się na linijkę tekstu, którą napisałam ponad dwadzieścia lat wcześniej. Bohaterem jest nauczyciel akademicki, szkaradnie okaleczony sadysta seksualny, który kwituje w *The Killjoy* swoje ciche życie: „Im bardziej dni przypominają te poprzednie, tym bardziej jestem zadowolony”.

Czy zamieniałam się w jedną z morderczych postaci z moich własnych książek? Ale Ian Laidlaw był w średnim wieku, więc może kiełkująca ochota, aby ukrócić wojaże, brała się właśnie z tego, podobnie jak wraz z wiekiem łatwiej nam przychodzi docenić ciszę i spokój: w obrazach i rzeźbach; w milczeniu. Jednak wszyscy moi rówieśnicy zdawali się rwać ze wzmożonym zapałem do podróży, nawet ci doprawdy leciwi również skakali z jednego krańca świata na drugi.

Nie, zdecydowanie problem tkwił we mnie. I z upływem dni zdałam sobie sprawę, że przejmujący urywek z radia wżarł mi się w duszę i mnie odmienił. Teraz, niczym stateczny podmiot liryczny z *Poezji odejść* Philipa Larkina, który odczuwa przeszywający nas wszystkich pierwotny dreszcz na dźwięk słów:

Rzygał już wszystkim, stary,  
Więc się po prostu zmył<sup>1</sup>,

<sup>1</sup> Philip Larkin, *Zbrane*, przeł. Jacek Dehnel, Wrocław 2008.

by potem odpędzić tę myśl, mój wybór się dokonał. Pociąg do bycia gdzie indziej całkiem się ulotnił.

I byłam wdzięczna – wciąż jestem, szczególnie cenię sobie pierwszą część tej osobliwej myśli, która zmieniła moje życie – tę, która mówi: „wszędzie jest tu”. Zauważyłam, że już nie wyciskam do granic możliwości czasu spędzonego w obcych miastach, bez końca śpiesząc do galerii sztuki, zanim ją zamkną, lub zaliczając wizytę w ruinach tuż przed prelekcją. Opanowałam sztukę patrzenia na pokój w hotelu jak na własną sypialnię i zabierania się za rzeczy, które i tak zawsze wolałam robić: pisanie w łóżku czy wielogodzinną lekturę w wannie.

Oczywiście, od czasu do czasu zastanawiam się, czy nie poddałam się jedynie zobojętnieniu i próżniactwu, czy nie zrezygnowałam z czerpania z obfitości życia. Ale nie wydaje mi się, żeby tak było, gdyż magia zrodzona ze słów „gdzie indziej” nie odstępowała mnie przy zmianie przyzwyczajzeń. Wciąż błyszczą niczym niebiańskie miasto na wzgórzu, nietknięte i nieuchwytnie.

Powód, dla którego nie jestem już nerwowa, to nabyta wiedza, że „gdzie indziej” mogę zabrać ze sobą.





*Billie D* Vivian French to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Billie D* by Vivian French is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Vivian French

# Billie D

przełożyła Kaja Wiszniewska-Mazgiel

O dziesiątej rano zostawiam za sobą frontowe drzwi.  
Czy mam przy sobie klucz?  
Ale głupiaś, Billie D.  
Zamykające się drzwi zawsze wydają ten sam dźwięk.  
Czasami myślę, że mój dom mnie nienawidzi.  
Prześmiewczy kurz osiada na rzeczach mojemu sercu bliskich.  
Żadne okno z czystości nie błyszczy.  
Okna nie migoczą, lecz szyderczo uśmiechają się ze stron wszystkich.

Taktownie idę ulicą po twardym szarym betonie,  
Świadoma, że pod kostką brukową tętni życie.  
Kamienie są jak kości, nie mają tkanki miękkiej.  
Żywię dosyć sporą nadzieję, że kiedy to wszystko spod ziemi wyskoczy,  
Nie zobaczę tego na własne oczy.  
Pojawi się życie w tak ogromnej przesadności,  
Że mój mały, nudny umysł zawstydzi wizja tej krwawej urodzajności.

W piekarni kupuję chleb.  
Nie samym chlebem człowiek żyje,  
Tak mnie uczyła matka.  
Ale chleb całkiem nieźle walczy z głodem i wynędznieniem.  
Szczególnie lubię tosty z dżemem.  
Gdy mieszka się samemu,

Można znaleźć pewne ukojenie w słoiku dżemu.  
Kiedyś odwiedził mnie pewien malec z mojej rodziny.  
Piliśmy herbatę i jedliśmy tosty.  
Dla niego – dżem o smaku truskawki. Dla mnie – o smaku maliny.

Wciąż dopiero siedemnaście po dziesiątej.  
Może, jeżeli pójdę powolnym krokiem do kiosku i z powrotem,  
Zajmie mi to jeszcze trzynaście minut.

Czas ponuro przesiaduje na drzewach.  
Z każdym krokiem odliczam.  
Jeden.  
Dwa.  
Trzy.  
Cztery.

Kiosk jest pełen trzepoczących słów.  
Tuż obok siebie  
Dzieci podskakują.  
Czasem myślę, że one w ogóle mnie nie widzą.  
Naprawdę jestem Billie D  
Czy tylko zakurzonym cieniem na ścianie?  
Nie na moją głowę całe to trajkotanie  
I grzechotanie. Kobieta uśmiecha się do mnie.  
Nie umiem wykrzesać z siebie uśmiechu,  
Więc odchodzi.

**Nazywam się Stanley Baldwin.**  
**Przyzwyczailem się do śmiechu, więc proszę śmieć się, jeśli chcesz.**  
**Ojciec mówił, że matka miała cudowne poczucie humoru, którego**  
**niestety nie odziedziczyłem.**

**Urodziłem się późno w nocy.**

**Matka oznajmiła: „Nazwij go Stanley”, po czym zaśmiała się i na**  
**zawsze zamknęła oczy.**

**Osobiście nigdy nie zrozumiałem tego żartu.**

W biurze, w którym pracowałem, stał stojak na kapelusze.  
Oprócz mnie tylko dyrektor miał taki w swoim biurze.  
Widzisz więc, że jestem dosyć ważnym człowiekiem.  
Nawet pomimo to nie potrzebowali już dłużej moich usług.  
To coś, czego nie mogę pojąć.  
Pan George miał zielone linoleum i nie miał stojaka, ale jego usługi nadal były potrzebne.  
Po prostu tego nie rozumiem.

Pewnym ruchem włożę kapelusz na głowę i pójde przeczytać „Timesa”.  
Jeżeli chodzi o redakcję, jakość już nie jest ta sama.  
Postanowiłem więc zrezygnować z prenumeraty.  
Czytam gazetę w bibliotece.  
Żeby chociaż rogi nie były aż tak pogniecione.

W kostce brukowej są pęknięcia.  
Nie rozumiem, czemu nikt ich nie wypełni.  
Jeśli ktoś codziennie spaceruje tak jak ja, ma czas, żeby obserwować takie rzeczy.  
Nie mam samochodu.  
Czasami pan George proponuje mi podwózkę,  
Ale za każdym razem odmawiam.  
Spacerując, powiadam mu, ma się czas obserwować.

Jestem stylową młodą osobą.  
Siedzę za kontuarem bibliotecznym i się uśmiecham.  
Gdy tylko zegar wybije dziesiątą trzydzieści, mój uśmiech może być podziwiany.  
Wtedy otwieramy.  
Co by się nie działo, pierwsza jest zawsze staruszka.  
Czemu takich ludzi jak ona nie zamykają.  
Jest z tych, co to codziennie się tu pojawiają,  
Jak ten drugi stuknięty staruszek.

Jakie piękne są moje długie czerwone paznokcie i smukłe białe dłonie.  
Od rana do wieczora pilnuję książek w dobrym tonie.  
Spoglądam spod długich wytuszowanych rzęs, stojąc na straży.  
Jeśli książka zniknie, od razu zauważę.

Coś musi być w powietrzu.

Gdy odrzucam moje lśniące czarne włosy, widzę, że staruszkowie obok siebie usiedli.

O jedno puste krzesło nie są już odlegli.  
W pobliżu nie widać Timesa,  
Choć jestem pewna, że go wyłożyłam.

Kto by pomyślał. Bez cienia wątpliwości oświadczam, iż zauważyłam,  
Że ta ohydna starucha na herbatę go zaprosiła.  
A jeśli moje małe uszka otulone kolczykami nie spłatały mi figla,  
Staruch na to przystał.

Och, Billie D, coś ty zrobiła?

Tego mężczyznę na herbatę na za kwadrans czwarta zaprosiłaś.

A w domu jest kurz, a ty nigdy z nim nie rozmawiałaś.

„Czy chciałby pan wypić ze mną filiżankę herbaty?”

Jak mogłam wypowiedzieć te słowa?

Szalonym trzepotem skrzydeł ptaszków w klatce ogarnięta była moja głowa.

Czy on się zgodził?

Och tak, tak, zgodził się, tak, och, czy powinnam kupić więcej chleba?

Och, zjemy tosty z dżemem na bułeczce maślanej

I będziemy rozmawiać nad filiżanką herbaty.

Tyle spraw można omówić.

**Dzisiejszy dzień jest inny od reszty.**

**Chociaż wciąż nie rozumiem, dlaczego nie było nowego numeru „Timesa”.**

**Zostałem zaproszony na herbatę na za kwadrans czwarta.**

**Gdyby Pan George zaoferował mi podwózkę**

**Może zgodziłbym się na małą przejażdżkę.  
Miło będzie zobaczyć, co można zobaczyć.  
Byłby to przyjemny temat do rozmowy,  
Którą toczylibyśmy nad filiżanką herbaty.**

Och, Billie D.

Słyszałam, że zegar kościoła wybija wpół do czwartej.

Och, co mam robić!

Od wpół do trzeciej wyglądam przez okno,

A przecież pokroiłam już chleb.

On za kwadrans czwarta tutaj będzie,

A w mojej głowie pustka i nic więcej.

Pokroiłam już chleb.

**Pewnym ruchem wkładam kapelusz na głowę,  
Równy o wpół do czwartej.  
Dotarcie na miejsce, o którym mowa, nie zajmie mi długo.**

W dole ulicą idzie mężczyzna i zbliża się do mych drzwi.

Wcześniej nigdy nie odwiedził mnie tu nikt.

No, prócz tego malca. Tego, co przyszedł na herbatę.

Wstawiłam wodę.

Puka do mych drzwi.

Spoglądam na dzem w małym szklanym słoiczku.

Upuściłam filiżankę.

Różowa porcelana roztrzaskała się na kawałeczki po całej podłodze,

Lecz ich nie podnoszę.

Puka po raz kolejny.

Kiedy w końcu sobie pójdzie?

Dopiero teraz widzę,

Że starczy dzemu tylko dla jednej osoby.

**Powolnym krokiem wróć do domu,  
A po drodze zaobserwuję tragiczny stan ulic.  
Odmówię, jeżeli ktokolwiek zaproponuje mi podwiezienie.  
Wróć do domu  
I powieszę kapelusz na stojaku przy wejściu do mojego pokoju.**

*Ależ ta stylowa młoda dama by się ucieszyła,  
Gdyby w tej chwili Billie D zobaczyła,  
Jak rwie „Timesa” na drobne kawałeczki.*

*Ballada o Jemmym Guziku* Julii Donaldson to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The Ballad of Jemmy Button* by Julia Donaldson is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Julia Donaldson

# Ballada o Jemmym Guziku

przełożyła Kaja Wiszniewska-Mazgiel

Na Horn, gdzie z zimna wyje wiatr, lodowiec się z morzem spotyka.  
Z drewnianą skrzynką po tubylców trzech przybywa pan kapitan.

Mężczyznę nazwał York Minster, Fuegią Koszyk ochrzcił dziewczynę,  
Chłopcu zaś na jego ceny cześć dał Jemmy Guzik na imię.

York Minster humorzasty był, a Fuegia płochliwa i mała,  
W oku szesnastoletniego chłopca iskra zaś się błyszczała.

„Czerwień musicie z twarzy zmyć i skończyć ze skóry tłuszczeniem,  
Muszla nie będzie golarką, a zęby morświna grzebieniem.

Na zawsze mięsa pingwinów i fok zabraniam wam brać w rękę,  
Za baraninę na talerzach modlić się macie w podzięce.

Rok ze mną spędzicie w Anglii, a potem wróćcie do domu,  
Uczyć swej dzikiej braci zasad chrześcijańskiego bon tonu”.

Kapitan zabrał ich więc do Anglii, wnet plan swój w życie wcielił,  
By o manierach i o stworzeniu świata się dowiedzieli.

Zaszywała fulary Yorkowi ta młoda Fuegia Koszyk,  
A chłopcu na getrach guziki świecące jak jego oczy.

W Anglii spędzili razem rok, a potem nadszedł czas, by wracać,  
Statkiem pełnym towarów jak sosjerki, obrusy, herbata.

Wreszcie na statku żeglując pod prąd, dotarli do ojczyzny,  
Powitali przybyszów jak duchy zebrani tam tubylcy.

Rozbiegły się siostry Jemmy'ego, kiedy ujrzały go w getrach.  
Brac otoczyła go jak ofiarę, wlepiając w niego ślepie.

Chłopak przemówił, lecz brac zupełnie nie znała angielskiego,  
Jemmy Guzik zaś nie pamiętał już języka ojczystego.

Załoga wykopała trzy grządki, podniosła trzy wigwamy,  
I odpłynęła, mu zostawiwszy nocniki z porcelany.

Tubylcy rzucili się na chłopca, zdeptali mu nasiona.  
Waza Jemmy'ego przez Yorka z Fuegią została ukradziona.

Młody Jemmy wyglądał mizernie, gdy pan kapitan wrócił.  
Szarstkie miał włosy, smutne oczy, wydrę na plecy narzucił.

„Wróc ze mną, mój Jemmy Guziku, do domu, na nasz żaglowiec.  
Popłyn ze mną i zostaw za sobą ten wyjący lodowiec”.

„Przyłądka nie opuszczę”, odparł, „żeglugę swą zakończyłem.  
Będę polował na wydry w kraju, w którym się urodziłem”.



*Kolejna „Nie Szkocja”* Alasdaira Graya to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Another „Not Scotland”* by Alasdair Gray is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Alasdair Gray

# Kolejna „Nie Szkocja”

przełożył Dagomir Cibor

Nikt nie przypomina Boga bardziej niż dziecko. Dzieci żyją w wieczności, czasie teraźniejszym bez przeszłości, przyszłości ani myśli. Gdy odczuwają głód lub ból, cały ich wszechświat głoduje i jest do cna zły, dopóki nie zaspokoi ich potrzeb, a jeśli mu się to nie uda, unicestwią go poprzez śmierć. Gdy dzieci są nakarmione, dopieszczane i na jawie, chłoną wrażenia, zapachy, smaki, dźwięki, światła i barwy. Powoli dostrzegają obecność inną niż ich własna.

Kiedy byłem dzieckiem, ciotka Annie, siostra mojej matki, zabrała mnie w wózku na pobliską ulicę Riddrie Knowes. Była to niewybrukowana alejka między dużym wiązem a bukami. Pewnego dnia (powiedziała mi o tym dopiero wiele lat później) z gałęzi do wózka wpadł kruk, uśmiercony być może przez nagły zawał serca. Niespodziane zwłoki nie wyrządziły mi krzywdy, lecz kiedy przechodziliśmy pod tym samym drzewem podczas następnego spaceru, patrzyłem w górę, jakby oczekując upadku kolejnego ptaka. W sposób oczywisty zacząłem *a s o c j o w a ć p o j ę c i a*, jakby to powiedzieli Hobbes, Locke i Hume. Kolejne doświadczenia z drzewem być może nauczyły mnie, że nie jest to źródło martwych ptaków, na którym można polegać. Zanim mój syn nauczył się chodzić lub mówić, zauważyłem, że zaczyna łączyć przeszłość i przyszłość. Kiedy dałem mu pierwszą łyżkę lodów, zmarszczył brwi – *Co to jest?* – na jego twarzy malowało się zdziwienie – *To mrozi! Boli!* Mięśnie jego twarzy napięły się, usta otworzyły, kiedy wziął głęboki oddech, by wykrzyknąć swoją złość, jednak zatrzymał się, nim rozległ się płacz. Jego usta roztapiały lody, ból zmarzniętego podniebienia ustępował miejsca nowej, wspaniałej słodyczy na języku. Przełknął, oblizał

wargi i otworzył usta po jeszcze. Kolejna łyżka wywołała podobny zakres min, jednak szybciej. Gdy całe lody zostały zjedzone, przyjmował chłód jako zapowiedź czegoś dobrego. Uczył się pamiętać, przewidywać i myśleć.

Z pewnością Wordsworth miał słuszość, twierdząc, że zjawiska naturalne takie jak tęcze, promienie słońca, burze, kwiaty i tak dalej, wydają się jeszcze wspanialsze w naszej młodości. Co więc wywołuje nasz dziecięcy głód opowieści o magicznych mocach, nierzeczywistych potworach, baśniowych królestwach? Wydaje mi się, że jak tylko poczułem się swojsko w swoim własnym domu, od razu zapragnąłem opowieści o możliwie najróżniejszych miejscach. W osiemnastym i dziewiętnastym wieku grupa pisarzy uznała, że zabobonne opiekunki wypełniają głowy dzieci szanowanych ludzi nierzeczywistymi bredniami. Pisali oni opowieści dla dzieci o d z i e c i a c h w świecie powierzchownie takim samym jak ich własny, gdzie dzieci, które kłamią lub kradną, spotykała kara, a dobre dzieci czasem niezasłużenie cierpiały, lecz na koniec były nagradzane lub umierały i trafiały do Nieba. Wrażliwy chrześcijański poeta, Sam Johnson, a także roztrzepany romantyk Sam Coleridge, nie mogli ścierpieć tej zmiany. Byli zgodni, że małe dzieci potrzebują opowieści o olbrzymach i magicznych mocach by, jak mawiał Johnson, „rozciągać swoje małe umysły”. Dzieci żyją w świecie olbrzymów, w którym górują nad nimi nawet starsi o rok czy dwa. Rzadko kiedy mają okazję wynagrodzić sobie niesprawiedliwe traktowanie, chętnie więc wyobrażają sobie ratunek w postaci wróżki chrzestnej, Czarnoksiężnika z Krainy Oz i lampy Aladyna. Jako dziecko w latach trzydziestych i czterdziestych wielbiłem te historie i ich Disneyowskie adaptacje, zmyślnie zawierające wiarygodne zmyślenia – nikczemne pastwienie się wiedźmy nad wygłodniałym więźniem usychającym z pragnienia, matkę Dumbo uznaną za szaloną i spętaną łańcuchami po tym, jak przeciwstawiła się zrobieniu z jej dziecka klauna, Pinokia z oślimi uszami i ogonem po akcie wandalizmu. Mój głód takich opowieści znacznie zelżał pomiędzy ósmym a dziesiątym rokiem życia, kiedy to zamieszkałem na skraju kupieckiego miasteczka w Yorkshire.

Mieszkaliśmy w małym domku przy drodze. Naprzeciwko było zaniedbane pole z drzewami i kępami krzaków, a także zarośniętym ogrodem i studnią porośniętą bluszczem. Nie przypominam sobie, by stał tam jakikolwiek dom, choćby zrujnowany. Właśnie tutaj z kolegami ze szkoły robiliśmy kryjówki

– miejsca schowane w zaroślach lub na drzewach, których istnienia nie chcieliśmy nikomu zdradzić. Tworzenie ich i przeczesywanie brzegów rzeki Wharfe w poszukiwaniu nowych było świetną zabawą. Nie pamiętam z nich żadnych istotnych wydarzeń ani historii, które sobie tam opowiadaliśmy, ale powrót w 1944 roku do bloków w Glasgow, gdzie się urodziłem, odczułem niczym uwięzienie. Nie da się budować kryjówek na Riddrie Knowes ani w parku miejskim. Moi rówieśnicy w Glasgow spędzali czas na odbijaniu piłki. Nie sprawiało mi to frajdy. Rozpoczęła się moja fascynacja krainami fantastycznymi. Bibliotekę Miejską Riddrie odwiedzałem cztery lub pięć razy w tygodniu, zwykle kończąc jedną książkę dziennie.

Mój ulubiony gatunek powieści zawsze zaczynał się od osoby ukazanej, podobnie jak ja, w świecie uznawanym za przeciętny, a następnie znajdującej przejście do świata magicznych przygód. Pośród pierwszych klasyków tego typu znajdują się książki Lewisa Carrola o Alicji, do spółki z innymi, które czytałem lub których adaptacji słuchałem w audycji BBC dla dzieci – *Gałka od łóżka*, *O czym szumią wierzby*. Podkategoria tego gatunku była o dzieciach odkrywających zapomniane lub ukryte krainy podczas wakacji. Całą półkę dałoby się zapełnić książkami autorstwa Enid Blyton o dzieciach w tajemniczych zakątkach – *Dolina przygód*, *Morze przygód*, *Wyspa przygód* itd. Gdy podrosłem, odkryłem, że podobne książki napisano również dla dorosłych – *Zaginiony świat* Conana Doyle’a, *Ona*, *Powrót Onej* i *Allan Quatermain* Ridera Haggarda. Nakręcono o nich filmy – *King Kong* i *Zagubiony horyzont*. W adaptacji radiowej BBC słuchałem *Wojny światów* H.G. Wellsa i natychmiast zamówiłem przez sieć Bibliotek Publicznych w Glasgow jego wczesne powieści, które według mnie, jeśli chodzi o science fiction, stały się niedoścignionym wzorem. Jego *Pierwsi ludzie na księżycu* zabrała mnie na nieistniejący księżyc, opisany jednak z tak wymyślnymi szczegółami, że rzucił zupełnie nowe światło na człowieczeństwo. Ta powieść, *Wehikuł czasu* i *Wojna światów* opisują odległe zewnętrzne światy, ale nie noszą znamion eskapizmu bardziej niż *Podróże Gullivera* czy *Rok 1984* Orwella.

Przed ukończeniem szkoły średniej postanowiłem napisać książkę o świecie, który samodzielnie wymyślę, ale który będzie satyrą świata dookoła mnie. Obmyślając go, inspirowałem się *Procesem* Kafki, do którego przedmowę napisali Edwin i Willa Muir. Według nich bohater Kafki poszukiwał zbawienia

zupełnie jak Pielgrzym Johna Bunyana, jednak w świecie, w którym ani Niebo, ani Piekło nie są określone. W świecie Kafki agenci mętnej, lecz nieuchronnej biurokracji nękają człowieka w jego najętym pokoju, na poddaszu biednej kamienicy, w banku, w którym pracuje, i w katedrze po godzinach otwarcia – czułem, że wydarzenia te mogłyby równie dobrze mieć miejsce w Glasgow. Biurokraci Kafki byli bardziej ludzcy i wiarygodni niż Orwellowska Policja Myśli, a jego bohater tak bezwzględnie egocentryczny, że ani na moment nie przestałem wierzyć w jego winę. Czytałem także książki o bólu dorastania ludzi w miastach bliższych mi w czasie i przestrzeni – *David Copperfield*, *Portret artysty z czasów młodości*, *Synowie i kochankowie*. Dostrzegłem, że książki, którym (jak mówi Milton) „świat z własnej woli nie pozwoli umrzeć”, muszą zawierać autentyczne doświadczenia, jak te wycierpiane przez Dickensa, Joyce’a i D.H. Lawrence’a. Dzieje się tak w większości Ksiąg Biblii, podań ludowych i szkockich Border Ballads. W bibliotece publicznej (w Denistoun, nie Riddrie) znalazłem *The English Epic and Its Background* Tillyarda, która to – po krótkim przeglądzie epiki greckiej, rzymskiej, włoskiej i portugalskiej – wnioskuje, że od czasów Milтона wielkie poematy epickie zazwyczaj pisane były prozą. Twierdzi on, że najlepsze powieści Waltera Scotta urosły niemalże (choć nie do końca) do rangi szkockiej epiki narodowej. Oto właśnie, co zamierzyłem napisać.

Szkockie podstawówki i gimnazja niewiele mają do powiedzenia o szkockiej kulturze. Przed 1970 rokiem prezentowały, ogólnie rzecz ujmując, wyższy standard od ich angielskich odpowiedników, ale były nastawione na kształcenie najzdolniejszych uczniów pod kątem wysokich stanowisk w Anglii, Kanadzie, Australii itd., więc w Szkocji uczono o angielskiej literaturze, zupełnie jakby żaden Szkot nigdy się do jej rozwoju nie przyczynił. Zналиśmy Roberta Burnsa, ponieważ wielu naszych rodziców uwielbiało jego wiersze, lecz R.L. Stevenson został zaszufładowany jako autor dla najmłodszych, a zatem niegodny uwagi, a jedyną daną nam szkocką powieścią było *Ivanhoe*. Owa książka opisuje, w jaki sposób Normanowie zostali zaakceptowani w Anglii przez podbitych Sasów – ważna lekcja dla szkockich dzieci! Przez większą część XX wieku brytyjscy wykładowcy nie doceniali Hugh MacDiarmida jako poety, a szkoccy politycy uznawali go za szkodnika, a przecież profesorowie literatury w Europie i USA zwrócili



uwagę na jego dzieła. *The Private Memoirs and Confessions of a Justified Sinner* Jamesa Hogga zostały wydane z przedmową autorstwa Andre Gide’a. Trafiły do bibliotek publicznych Glasgow i w moje ręce, dowodząc przy tym, że zwykła i niezwykle szkockie zdarzenia mogą się łączyć w prozie równie dobrze jak w poezji. By jednak udało się to osiągnąć, szkockość szkockich bohaterów musi być uznana za pewnik. Dostojewski paskudzi nieco kilka wielkich powieści wzmiankami o rosyjskości. *Gillespie* MacDougalla Haya to powieść niemalże wspaniała. Opisuje nudnego, acz podstępного, skąpego i zachłannego sklepikarza, który dorabia się fortuny w rybackiej wiosce w Highlands, niszcząc przy tym życie jej mieszkańców. Takie ujęcie dziewiętnastowiecznego kapitalizmu przemieniającego małe miasteczko niemalże dorównuje *Burmistrzowi Casterbridge* Hardy’ego i *The House with the Green Shutters* Browna, jeśli pominąć niewiarygodny pierwszy rozdział, sugerujący, że dziwaczne, niepokojące szkockie otoczenie skazało rodziców Gillespie’a na stworzenie potwora. Zrozumiałem, że zarówno miejsce akcji mojej epiki, jak i elementy nadprzyrodzone muszą zostać ukazane bez komentarza, za pomocą drobnych, przekonujących szczegółów.

Gdy w 1979 roku powieść była gotowa i została przyjęta przez wydawnictwo w Edynburgu – miałem czterdzieści cztery lata. Nie przewidywałem, że będzie to wydawniczy sukces i że miną jeszcze dwa lata, zanim książka trafi do druku, wiedziałem jednak, że półki księgarni będą dźwigać dobrze przygotowane, twardo oprawione egzemplarze powieści *Lanark*, każdy po 560 stron i twardy jak cegła. Dawało mi to dziwne, choć przyjemne poczucie, że moja dusza – moje wewnętrzne ja – było teraz bezpieczne poza mną samym i przetrwa dłużej niż moje ciało. To poczucie bezpieczeństwa wzmocnione zostało przez nową posadę, która w zamian za odrobinę nie najgorszej pracy, dawała mi pewną wypłatę i biuro z widokiem na park Kelvingrove. Byłem pisarzem-rezydentem na Uniwersytecie Glasgow, omawiałem prace z tymi kilkoma studentami, którzy szukali mojej porady, lecz praca nie wymagała ode mnie, bym sam cokolwiek pisał. Sam również nie miałem na to ochoty. Chciałem czerpać radość z czytania jako takiego, zupełnie jak za młodu. Jako że straciłem zainteresowanie eskapistycznymi fantazjami, kupiłem zbiór *Pieśni* Ezry Pounda. Odnosiłem wrażenie, że była to wspaniała poezja o dobrych i złych podwalinach systemu monetarnego

naszej cywilizacji, coś o czym wszyscy powinniśmy wiedzieć. Nie może być demokracji, jeśli jedynie ekonomiści i kilku polityków ją rozumie. Glasgow za czasów mojej młodości było najwydolniejszym przemysłowo rejonem Szkocji, wytwarzającym i zarządzającym lokomotywy, promy morskie i okręty wojenne, większość na zamówienie rządu brytyjskiego. Pomimo miejscowych protestów, Glasgow traciło powoli swój przemysł, gdy rząd brytyjski wydawał coraz więcej naszych pieniędzy na atomowe okręty podwodne stacjonujące w Holy Loch, również pomimo miejscowych protestów. Razem z *Pieśniami* kupiłem *Drogę do Xanadu* autorstwa Livingstona Lowesa, studium nad tym, co skłoniło Coleridge'a do napisania swoich najlepszych wierszy. Byłem ciekaw, jak działają umysły poetów.

Niestety, poza fragmentami opisującymi, jak solidne rzemiosło ucierpiało przez niebotyczne pożyczki finansowe, zwane przez Marksa kapitalizmem, *Pieśni* Pounda pozostały dla mnie nieprzeniknione. Cytaty z chińskich i renesansowych uczonych, a także założycieli Stanów Zjednoczonych i odniesienia do planów prac społecznych Mussoliniego uformowały w mojej głowie bezkształtną, mącą mgłę. Niespodziewanie jeden wers z chińskich *Pieśni* do mnie trafił: *Szwędając się bez celu po dworze cesarskim, czekając na rozkaz-by-pisać.*

Ostatnie trzy słowa zostały połączone myślnikami, ponieważ są bezpośrednim tłumaczeniem jednego chińskiego znaku. Wyobraziłem sobie cesarstwo o ściśle określonej hierarchii, które od narodzin przygotowywało człowieka, by został wielkim poetą, honorując go tytułami i przywilejami, nie pozwalając mu przy tym napisać choćby słowa, zanim nie złoży u niego zamówienia na poemat. Komiczny pomysł! Wziąłem długopis i napisałem tak: *Droga matko, drogi ojciec. Podoba mi się nowy pałac. Cały jest złożony z kwadratowych pól, zupełnie jak szachownica. Czerwone pola to budynki, białe to ogrody...*

I zacząłem wymyślanie innego świata ulokowanego gdzie indziej. Pomogła mi w tym książka Livingstona Lowesa, wymieniająca egzotyczne miejsca, które zainspirowały Coleridge'a: źródło Nilu, jaskinia w Himalajach, wesoła dolina, do której abisyńscy królowie odsyłali swoich następców, sztuczny raj w Górach Atlas, gdzie szkolono skrytobójców. To wzbudziło we mnie, osobie wieku średniego, dziecinne uciechy budowania kryjówek i przypomniało zaginione światy, które dostarczały mi rozrywki w książkach, komiksach

i filmach. Obdarowałem mojego poetę szalenie luksusowymi apartamentami, ogrodami i służbą, a jednocześnie dałem mu okrutną lekcję, uprawniając go do posiadania tych przywilejów, a następnie ujawniając wielkie oszustwo, na którym opierała się władza rozległego, wyzyskującego cesarstwa, jako że cesarz okazał się marionetką kontrolowaną przez brzucho mówcę. Na koniec pomyślałem o rozkazie-by-pisać – poemacie zachwalającym najgorszą rządową zbrodnię: degradację miasta, w którym poeta się urodził. *Pięć listów z Cesarstwa Wschodniego* to zdecydowanie moje najlepsze opowiadanie.

Po publikacji w 1983 roku dyrektor szkockiego oddziału radia BBC postanowił je nadać i spotkał się ze mną w celu omówienia szczegółów. Był to uprzejmy mężczyzna o nazwisku Golding, który opowiedział mi, jak przeniesiono go do Glasgow wraz z innymi pracownikami z Londynu, by zarządzać szkockimi audycjami w 1977 roku, kiedy to referendum narodowe niemalże ustanowiło w Szkocji niezależny parlament. Gdy większość Szkocji, która opowiedziała się za, została uznana przez Pałac Westminsterski za niewystarczającą, pan Golding postanowił pozostać w Szkocji. Spytał, czy mam jakieś preferencje w kwestii aktora, który miałby odczytać moje opowiadanie. „Bill Paterson”, odpowiedziałem. „Oczywiście Bill Paterson posiada s z k o c k i głos?” spytał pan Golding. Odpowiedziałem, że oczywiście ma szkocki głos, jednak jest wiele szkockich akcentów, zarówno klasy pracującej, jak i bardziej wytworne. Mój poeta był pochodzenia mandaryńskiego, z rodziny rzemieślniczej. Na szkockie uniwersytety uczęszczało wielu takich Mandarynów, ale Bill Paterson mógł z powodzeniem kogoś takiego udawać. „Ale twój narrator ma być poetą nadwornym *wielkiego imperium!*” powiedział Golding, w oczywisty sposób nie widząc związku z utratą Imperium Brytyjskiego. Opowiadanie nagrane zostało w Londynie przez angielskiego aktora i nadane w całym Zjednoczonym Królestwie.

Audycja zdobyła uznanie Rogera Scrutona, konserwatywnego krytyka, który stwierdził, że jest ono satyrą na komunizm. Mój znajomy, który brał udział w międzynarodowej konferencji literackiej, powiedział mi później, że słyszał rozmowę pomiędzy chińskim i japońskim uczonym, którzy zastanawiali się, którą z tych nacji moje cesarstwo najbardziej przypominało. Odpowiedziałem mu, że w moim przekonaniu, najbardziej przypomina ono Brytanię.

*Z mojego ślubowania* Jen Hadfield to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*From My Vow* by Jen Hadfield is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Jen Hadfield

# Z mojego ślubowania. Meksykańska sztuka ex-voto oraz poezja sekularno-sakralna

przełożyła Marlena Kostyńska

## I. Świadectwo cudu

*Od Francisca Trujilla...*

*Candelarii Arreoli...*

*Panny Josephine Rivery...*

*z miejsca, gdzie można znaleźć Braulia Barrientosę...*

*Al Señor de los milagros...*

*Dla naszej małej matki...*

*naszej najbardziej nieodgadnionej...*

*najświętszej Dziewicy...<sup>1</sup>*

<sup>1</sup> Wszystkie fragmenty zapisane kursywą pochodzą z tekstów o ex-voto z książki: Jorge Durand, Douglas S. Massey, *Miracles on the Border, Retablos of Mexican Migrants to the United States*, Tucson-London 1995.

Zanim opiszę moją wizytę badawczą w Meksyku z *Año Nuevo* 2008 (a relacja ta ujawni, że jestem marną podróżniczką, której brakuje odwagi, zaradności, towarzyskości i spontaniczności), muszę zacząć od małej pogadanki o meksykańskiej nabożnej sztuce ludowej, w szczególności o *ex-voto*.

Jest to obraz wotywny na małej, prostokątnej blasze, niezawodnie składający się z trójcy stałych elementów. Po pierwsze, w jednym z górnych rogów *ex-voto* umieszcza się podobiznę świętej osoby, zazwyczaj otoczonej świetlistą aureolą. Pozostałe miejsce zajmuje scena retablo – odwzorowanie tragedii, jaka dotknęła daną osobę w momencie cudownej interwencji świętego – oraz tekst objaśniający:

*Zaczęłam odmawiać nowennę, ale jeszcze nie skończyłam, gdy powrócił...  
za ocalenie mnie przed Teksańczykiem, który próbował mnie zabrać...  
Proszę Pana Zastępów, żeby sprawił, by dali mi wolność...  
Gdy bandyta zaatakował mnie nożem, ogarnęła mnie pewność, że stracę życie...*

Retablista – artysta, któremu zlecono wykonanie obrazu w stylu *ex-voto* – stara się odwzorować cud tak wiernie i dramatycznie, jak to możliwe. Wypytuje klienta o konkretne detale wizualne, ale może też dość swobodnie podejść do miejsca i czasu zdarzenia, żeby lepiej oddać bezbronność pokrzywdzonego, skrajność tragedii oraz moc cudu.

Nadaje to niektórym obrazom *ex-voto* charakter science fiction, czego przykładem jest podziękowanie za ocalenie rodziny przed władzami migracyjnymi, które Dziewicy z San Juan składa M. Esther Tapia Picón (obraz znajduje się w Sanktuarium w San Juan de los Logos).

W tym wypadku scena retablo przedstawia rodzinę kulącą się za lichym krzewem w odsłoniętej i jałowej okolicy. Odrealniona perspektywa wywołuje w obserwatorze wrażenie, jakby ukrywał się razem z rodziną i doświadczał jej dramatu. Widniejące w oddali wieże miasta zdają się być iluzją. Między krzewem a miastem leży granica. Patroluje ją dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy, którym towarzyszy oświetlenie reflektorów helikoptera, mimo że jest biały dzień. Helikopter budzi grozę, jednak Dziewica, którą otacza jej własna tajemnicza jasność, wkracza między wyraźnie rozciągnięty snop światła a rodzinę M. Esthery Tapii Picón.

Klient dyktuje tekst, a retablista zamienia się w skrybę, chociaż Don Vincente Barajas, retablista z Guanajuato, czasem ostrzega swoich klientów, że jego pisownia nie jest najlepsza<sup>2</sup>. Nie pojawia się formalna łacina ani liturgia, a retablista rzadko podpisuje swoje prace. Sztuka ex-voto łączy się bezpośrednio z wizerunkami *El Niño de Atocha* [Świętego Dziecięcia z Atocha] oraz *Nuestra Señora de Guadalupe* [Matki Bożej z Guadalupe], co może tłumaczyć mieszane odczucia części księży odnośnie tej tradycji.

Za zamówiony obraz ex-voto klient może zapłacić od dziesięciu do dwudziestu dolarów, zależnie od złożoności sceny. Zwyczajny wizerunek modlącej się osoby będzie kosztował mniej niż przedstawienie zniszczonego pociągu, chwili tonięcia w rzece Rio Grande czy nielegalnego przekraczania granicy.

Tekst rozpoczyna i kończy formuła dziękczynna skierowana do świętego, który udzielił wsparcia:

*Dzięki ci, moja matko!*

*Odnowiony, spłacam mój dług...*

*Sprawiła, że wyzdrowiałam i wysłała odszkodowanie za wypadek...*

*Doy gracias...*

*Doy infinitas gracias...*

## II. Mój bluźnierczy projekt

Na ścianach świątyni i poręczach schodów pojawiają się coraz to nowe obrazy ex-voto – zbiorowisko pozytywnych wieści i przetrzymanych kryzysów, zarówno osobistych jak i publicznych. Prywatny dialog między tym, co ludzkie, a tym, co boskie, prowadzony na oczach tłumu.

W Meksyku odwiedziłam oficjalne wystawy obrazów ex-voto w galeriach, Museum de Basilica Guadalupe i Niebieskim Domu Fridy Kahlo. Nie posiadając paszportu wiary, unikałam katedr i kaplic, zawstydzona białością mojej skóry, posiadaniem bogactwem i bluźnierczością mojego projektu. Polegałam więc na przepelnionych wdzięczną pobożnością relacjach Duranda i Massey'a, którzy czekali w kolejce do świątyni, ociągali się, by móc

<sup>2</sup> *Miracles on the Border*, ibid.

przeczytać każdy tekst wotywny, aż wreszcie znaleźli miejsce do przybicia lub powieszenia własnych ofiar; przytakiwali zgubności tej katastrofy, cudowności tamtej interwencji.

Gdy następnym razem ktoś zapyta, dla kogo piszę poezję, posłużę się analogią meksykańskiej sztuki *ex-voto*: osobistej rozmowy ze świętymi, której świadkami są ludzie w miejscu publicznym.

*Wydarzyło się to 20 października 1943 roku o siódmej wieczorem...*

Myślę o ścianach świątyni, zrzucających cudowną skórę i przywdziewających nową. Właśnie tam księża i zakrystianie zastanawiają się, co zrobić, gdy to anarchiczne odzienie cudów zajmie całą dostępną przestrzeń. Niezależnie od ich mieszanych uczuć, duchowni z pewnością rozumieją, że ta *s z c z e r a p o t r z e b a h a c e r p a t e n t e* (poświadczenia) *c u d o w n y c h s k u t k ó w b o s k i e j i n t e r w e n c j i* jest niepoahamowana.

To właśnie zdecydowanie ten jej element przyciąga mnie do sztuki *ex-voto*, ponieważ stanowi on również po części naturę tego, co nazywam poezją lub szczerą chęcią jej tworzenia. Po pierwsze, jest to nieodparta chęć wiernego uchwycenia i odnowienia czasu teraźniejszego w tym przeważnie mówionym, nie zaś pisanym, języku, czemu towarzyszy udręka nieustannego ponoszenia strat w tym czasie<sup>3</sup>. Po drugie, interwencja – bardziej laicka, ale nie mniej cudowna.

Kiedy piszę poezję, jednocześnie ogarnia mnie euforia, a poczucie straty pozbawia tchu; chodzę prędko, siedzę godzinami, formuję słowa, aż moje usta zaczynają poruszać się bezwiednie, przez co czuję się niczym jakiś zapracowany chrabąszcz. Boli mnie szczeka, a trawienie szwankuje. Tak to pamiętam...

Mówię o interwencji, bo bez niej jakakolwiek moja intencja, żeby pisać choćby o krajobrazie, stałaby się, a zawsze tak się to odbywało, nieudany projekt. Gdy używam niezdarne terminu „sekularno-sakralny”, próbuję obudzić w sobie uczucie swego rodzaju opętania lub animizmu. Nie

<sup>3</sup> Czasami pragnienie tworzenia poezji przybiera formę swego rodzaju nostalgii, pragnienia, by wszystko pozostało niezmiennie. Nic więc dziwnego, że jeśli poezja trwa w krajobrazie naturalnym, to zdaje się ona czerpać z ekologiczno-poetyckiej intencji.



mówię, że j e s t e m opętana, chodzi o to, że tak się czuję. Niczym ja-flet, przez który porcja za porcją przelatuje ożywione powietrze. Nocne światło goreje w wydrążonej dyni.

Przyjechałam do Meksyku badać sztukę ex-voto, ponieważ koniec końców zamierzam stworzyć moją własną serię sekularno-sakralnych obrazów wotywnych. Planuję mówić nie tyle do świętych, co do postaci pokroju Juana Soldada czy zamordowanego bandyty Jesusa Malverdego bądź hazardzisty Pedra Blanca. Opisuje się ich jako *Victim Intercessors*, świeckich bohaterów, którzy zginęli, by wstawić się za ludem<sup>4</sup>.

W moim projekcie Łucja jest odniesieniem do świętej Łucji, którą często przedstawia się, jak oferuje na złotej tacy swoje wydłubane oczy, za którymi ciągną się szkarłatne nici ściągien. Matka Boska Bolesna meksykańskiego katolicyzmu staje się moim Panem Bolesnym.

Chcę przekształcić galerię w kaplicę obrazów ex-voto, prezentujących prozaiczne i głębokie nadzieje i obawy fikcyjnych północnoatlantyckich ludzi. Pełni uniesienia z wdzięczności, pozbawieni tchu z zachwytu. Ze słowem w ustach, tuż pod wargą, niczym wrzód. Ze słowem tkwiącym przy podniebieniu, jak fasolowata perła, najwspanialszym jakie tylko ten miesiąc – falisty, uderzający, czujący, prężący się, ugniatający – może uformować.

W Cuajimoloyas ściany przychodni obwieszczają cholere, *consumptivo*. W najgorszym razie mój meksykański projekt jest fałszywy w swojej naturze, zdemoralizowany przywilejem i intencją.

### III. Luck be a lady

Moim zadaniem jest po pierwsze zauważyć, a po drugie sprzeniewierzyć się otocze codziennego języka, jak w wypadku aury uwznioślającej Matkę Boską z Juquila. Chcę uświetnić bezmyślne wypowiedzenia języka mówionego, tak jak pawia uświetnia jego ogon.

Polecam się Łucji, Świętej Patronce Wścibskich Sąsiadów, Matce Boskiej od firanek.

<sup>4</sup> *Miracles on the Border*, ibid 1.

Polecam się Łucji na lotnisku o północy, stąpającej pod turbinami ogromnego kopytowca, z wolna wymachującej nad głową radiolatarniami tak, jakby ogniem opędzała się od tygrysa szablozębnego.

Mam dobry powód, by polecać się Świętej Patronce Widzenia. Zeszłego lata spędziłam dużo czasu, oglądając tylną ścianę mojego lewego oka. Co kilka tygodni specjaliści rozszerzali moją źrenicę i przez to klinowe okno fotografowali siatkówkę, zamgloną przez rozlewające się komórki, rumianą od krwi i światła. Pokazywali mi słodki brzoskwiniowy odcień plamki i prężny pień nerwu wzrokowego wijący się przez judasz ekranu mojej czaszki. Pokazywali mi, jak antybiotyki i sterydy początkowo nie działały, a potem zaczęły wpływać na leżę, niewyraźną pręgę na siatkówce.

Moje oko było śnieżną kulą wstrząśniętą przez akt gorączkowego poszukiwania. W ciągu tygodni moje widzenie wyostrzało się, podczas gdy osad opadał, pozostawiając po sobie wyraźny cień, prywatną kreskówkę, która chwiała się i obracała, a ja chłonełam kształty, światło i kolor.

Stopniowo stawało się jasne, że będę miała szczęście, a jednak, pobudzona sterydami, nie mogłam oderwać się od mojego własnego filmu, od popisów animowanego białka. Raz pies łapiący nasadę swojego ogona, innym razem antylopa na ścianie jaskini, a jeszcze innym błędne ogniki. Mój mózg przygląda się im. Przyzwyczajenie sprawia, że *memento mori* traci swoją moc.

Święta Patronka Latarni Morskich, bez wątpienia.

Polecam się Łucji oraz setce jej satelitów szpiegowskich. Anik i Amos, Astrid i Cosmos, Doublestar, Echostar, Spaceway i Spot, których zwyczajne imiona, jak imiona krów mlecznych, przekazywane są ich kolejnym generacjom.

#### IV. Polecam się Panu Bolesnemu

To, czego z uniesieniem się lękam: majonez, jarmarki, patrole *polizio*, spojrzenie *polizio*, gdy ktoś poleruje im buty. Strach jest wtedy, gdy mówisz albo ktoś mówi do ciebie. Strach we mnie jest szybki jak grypa. Kierowca taksówki pyta: „Dlaczego podróżuje pani sama?”

Dzikie koty pieprzą się w *palazzio*, kolibry zanurzają się w kwieciu niczym strzykawki. Słońce grzeje, a cień jest zimny, ja zaś plotę bzdury na równiku

gdzieś pomiędzy nimi, a biało-ruda kotka wije się w słonecznym kurzu, jakby chęptała smakowitą truciznę.

Mężczyzna i kobieta stoją w objęciach pod kopułą Santo Domingo; dziewczynka wskakuje na ławkę i woła *Papa!*, a ja siedzę pośród ozdobnych agaw i wypłakuję krążki osobisto-publicznych łez. Jak mówią dominikanie – to nie czas dla odwiedzających, dziękujemy.

Samotność jest nowym, małym dumnym piórkiem w moim nakryciu głowy. Polecam się Panu Bolesnemu, Świętemu Patronowi Zrozpaczonych.

Nie pasuję ani do hostelu i tych beztroskich, zwinnych, dwujęzycznych Kalifornijczyków, ani do ptaka czy sprzedawcy za oknem, smutnie wołającego

*hecho*

*hecho*

Polecam się Panu Bolesnemu, naszemu drogiemu, niesławnemu dzen-telmenowi.

Pan Bolesny, jego wieniec otacza pilota, nałogowca i najmniejszą króliczą pchłę.

Przewodnik Evencio śpieszy przodem po szlaku, wymieniając nazwy bromelii i ziół, mięty górskiej i róży górskiej.

Nie mogę ukryć strachu przed spadaniem. Spłynę po kamieniu jak serwatka. Jestem słonym białym serem, *queso blanco*. *Cuidado*, mówi Evencio, gdy chwytam kamień, w którym tkwi mały kaktus, niczym ukwiał.

*Tienes miedo?*

Uczy mnie, jak mam mu powiedzieć, że się boję.

Przycupnięty nad przepaścią Evencio okruszkami języka nakłania mnie do wejścia na skałę, poprawia moją gramatykę. Powiedz:

*Tengo miedo. Tranquillo... tranquilo. Bonita.*

Oddalają się niebieskie grzbiety Sierra Norte.

Płaskie dachy są pokryte kolbami kukurydzy, a pośród nich siedzi dziewczyna i odziera je z jedwabiu. Na pastwisku chwiejących się czubków agaw stoi wół. Indyki oniemiały. Tak jak koledzy Evencia, gdy próbuję powiedzieć: o n j e s t d z e n t e l m e n e m.

Nowość to aureola otaczająca codzienny język.

*Nopale, Corona di cristo, el chipi rojo.*

Przysiadłam na skale za cmentarzem. Zaśmiecają ją łupiny kukurydzy i pokrywki wygaszonych *veladores*, nocnych światel, które pali się na grobach i w grobowcach. U stóp mojej skały biegnie droga, mężczyzna woła *Tardes!*, to samo robi jego barytonowy osioł. *Tardes!* „Dobry wieczór!” Promienieję dzięki takiemu przyjęciu. „Proszę nie spać”, woła.

*No caerse!*

\*

Moją wyprawę do Meksyku sfinansowała nagroda Dewara, którą otrzymałam na przełomie lat 2007–2008 i dzięki której powstała wystawa sekularno-sakralnych obrazów *ex-voto*, dedykowanych fikcyjnym północnoatlantyckim świętym, zaprezentowana na festiwalu StAnza w 2008 roku. *Doy gracias.*







*Ze wszystkich twarzy świata – twoja twarz* Jamesa Hopkina to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Of all the Faces in the World, Your Face* by James Hopkin is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

James Hopkin

# Ze wszystkich twarzy świata – twoja twarz

przełożyła Ariadna Grzona

Mów do mnie. Dobrze, jeśli nie możesz mówić, śpiewaj, szepcz, jęcz albo wzdychaj! Wiem, że potrafisz! Całą noc nie mogłem spać przez te twoje przekleństwa i złorzeczenia! Te twoje... twoje pobrzmiewające świętością kołysanki (tak, tak jak zakonnice o piątej nad ranem, wciąż mające śmierdzący oddech i kościelny lakier w kapturach). Powiem ci jeszcze, że wydzielasz całkiem straszne zapachy we śnie. Twój oddech dmie zimnem i gorącem!

Nazywasz to rozmową? Czemu milczysz teraz, gdy jestem gotów rozmawiać, otworzyć moje serce, moją duszę, co tylko zechcesz, pierwsze, drugie, może oba? Więc nie pokazuj mi tych przysłoniętych uszu. (Wiem, że mnie słyszysz). Albo tego grymasu, który tak dobrze przylgnął do twojej twarzy, jak gdybym to ja odpowiadał za całe wyrządzone ci zło.

Słuchaj, w dniu twojego przybycia – czy raczej w nocy – każdy twój oddech padał całym zdaniem na moją skórę. A każde słowo w tym zdaniu było jak kropla rosy, którą przynosisz do domu z miejskich ogrodów. Przyznam ci to teraz: trochę się bałem. Udawałem, że śpię. Nie mogłem utrzymać oczu w bezruchu. Dreszcze mnie zdradzały. Na pewno o tym wiesz! A potem zaczęły się twoje rajskie śpiewy, nie mogłem już tego znieść; łzy spływały po mojej twarzy, poduszki zmieniły się w kałuże tęsknoty. Odwróciłem się od ciebie. Nie chciałem dać się zobaczyć pogrążony w smutku. Czemu? Bo dopiero co zjawiasz się w moim życiu, a ja nawet nie wiem skąd. (Chociaż

zdaję sobie sprawę, że wszystko co nocne pochodzi spod powierzchni). Nie chciałem czynić z ciebie świadka – zbyt wcześnie, zbyt wcześnie! – wspa-  
niałych tortur, których już wtedy dzięki tobie doświadczałem.

W kolejnej żałosnej próbie przekonania cię, że śpię, obróciłem się na drugi bok (tak, ofiara bezsenności wykształca niekończący się zbiór boków). To manewr zwykle pełny desperackiej obietnicy odnalezienia chłodnych, delikatnych kości, świeżej łąty drzemki. Ale wciąż czułem rysy twojej twarzy wypalające piętno na mojej szyi. Albo gałkę oczną na obu łopatkach, twój nos na moim karku – jak pies myśliwski, który dostał kość, zanim złapał trop – gdy twoje słowa liczyły kręgi mojego kręgosłupa jak paciorki w liczydło albo i gorzej, w różańcu.

Przyznaję, drżałem. Powtarzam: nie wiedziałem, kim ani skąd jesteś.

Wcześniej tamtego dnia miało miejsce inne dziwne zdarzenie. Wielkie zdjęcie mojej twarzy pojawiło się na billboardzie na placu miasta. Na początku nie wiedziałem dlaczego, a potem przypomniałem sobie fotografa, który przyszedł kilka miesięcy wcześniej. Pracował nad projektem o ludziach skądś indziej mieszkających w tym mieście. Był bardzo przyjazny. Powiedział, że ludziom z miasta dobrze zrobi, jak zobaczą, że ludzie skądś indziej całkiem szczęśliwie tu żyją. Powiedziałem, że nie jestem przekonany do idei „ludzi skądś indziej”. Albo, w rzeczy samej, do słowa „szczęśliwie”. Spytałem go, czy koncepcja „ludzi skądś indziej” jest nadal aktualna? Odparł, że owszem, zdecydowanie istnieje, ponieważ gdyby tak nie było, to na głównym placu nie organizowano by wystawy o „ludziach skądś indziej”, nieprawda? Dodał, że wyśle mi zdjęcie, żeby uzyskać moją zgodę.

Nigdy go nie wysłał.

Kilka tygodni później, kiedy już cała ta wizyta wyparowała mi z pamięci, moja twarz pojawiła się na placu: bezsenna, w blasku reflektorów, panująca nad brukiem, pijaczkami i śmietnikami – rysy nieporuszone przez przejeżdżające tramwaje, krzyki, upuszczone butelki, dzwony pobliskiego kościoła.

Tamtej nocy, z tobą na plecach, nie mogłem zasnąć. Jak mógłbym spać, gdy moja twarz „ludzi skądś indziej” została na placu? Zastanawiałem się, czy byłem strachem na wróble, czy kozłem ofiarnym. I z tobą – kimkolwiek jesteś, skądkolwiek jesteś – czujnym obserwatorem mojego rozbudzonego ciała?



Drugiego dnia zaczęły się twoje zapachy. Na początku, zdaje mi się, to było coś jak tutejsze kiełbasy, każda o grubości nadgarstka. Potem wydaje mi się, że czułem nutkę tureckiego kebabu. (Cóż, o gustach się nie dyskutuje). Muszę ci powiedzieć, że strzelało z obu końców. Zastanawiałem się, czy moje zmęczone ciało i głowa konspirowały, by rozgromić i tak już zrozpaczone zmysły. Myślałem o mojej twarzy na placu, teraz w świetle dnia, starającej się uśmiechnąć do mijających ją co minutę hord, pędzących ku jedzeniu, pracy, spotkaniom czy co tam innego zmusza ludzi, by postawili jedną stopę przed drugą i zaczęli pędzić.

Zastanawiałem się: jeśli poproszę o usunięcie zdjęcia (wszak byłem pewien, że nie dałem na nie zgody), czy ty też znikniesz? Wiele godzin później dołączyły twoje inne zapachy: spaliny samochodów, deszcz na pokrytych woskiem zielonych liściach, psie gówna (w jaki sposób ci się to udało?) i coś pieczonego albo smażonego, kotlety czy fryty, tak wyraziście, że oczyma wyobraźni widziałem skruszone mięso, aż mój język stał się kawałem gumy zmiażdżonym na płasko przez uderzenia tysięcy młotów. Czy właśnie tak okazujesz sympatię? Prezentując wszystkie funkcje ciała tak prymitywnie, jak tylko się da?

Ale już wtedy byłem twój. Twoja obecność serdecznie mnie obarczyła. Od twoich boskich śpiewów po elementarne zapachy, głosy i opary wypełniły mi mieszkanie, duszę, życie w ciągu ledwie trzech dni, jak gdybyśmy zawsze byli razem i nigdy nie mieli się rozstać, bo – czyż nie tak uznaliśmy? – jeśli kochankowie nie obiecują sobie wieczności, prawdopodobnie nie ujrzą wspólnego jutra.

Trzeciego dnia ludzie na ulicy zaczęli dziwnie na mnie patrzeć. Moja twarz przypominała zdjęcie na placu wystarczająco blisko, żeby mnie rozpoznali, ale musieli też dostrzec różnice: zapadnięte oczy, ciemne plamy, niespokojny wygląd cierpiącego człowieka. (Cóż, nie korzystałem już z zalet profesjonalnego oświetlenia). Być może to dlatego wskazywali na mnie i chichotali. Czasem zdarzały się krzyki, nawet przekleństwa, ale starałem się udawać, że tego nie widzę.

Przestałem chodzić na plac, by przyjrzeć się zdjęciu albo tłumowi zgromadzonemu wokół mojej nieruchomej gęby. Ale byliśmy jednością, zdjęcie i ja: byliśmy bezsenni pod powiekami. Tyle tylko, że zdjęcie nie pokazywało

objawów stresu. Musiałem nosić je za nas dwóch. I za ciebie też, za osobę, która nie zamierzała opuszczać mieszkania. Twoje milczenie trwało godzinami, a potem następowała ta śmieszna gadatliwość, śpiewy, tupoty, a gdy zbliżał się ciemny koniec dnia – nawet warczenie. Nie starczało mi uszu, żeby wyłapać wszystkie słowa, choć miałem dodatkową (i większą) parę na zdjęciu.

Później tego samego dnia kupiłem kwiaty, być może, żeby świętować swoją rosnącą złą sławę w tym mieście, czy może z wdzięczności za twoje przybycie (gdyż po minutach obelg na placu uciekłem z powrotem do twojej ślepej miłości), a być może także, by wygnać twoje zapachy, które wciąż przeciągały moje zmysły przez garmazerie, buduary i inne miejsca, których francuskie nazwy wydzielają ohydny zapach. Kupiłem więc różowe i białe tulipany. Żonkile o delikatnych uszach i językach! Małe bukietiki fiołków zawinięte w gruby zielony liść. Kwiaciarka wzięła pieniądze, wskazała na moją twarz, a potem na billboard po drugiej stronie placu, ten z moim zdjęciem. Bez słowa zaczęła delikatne i wesoło cmokać. Zrobiłem się czerwony jak wielki bukiet begonii.

Po powrocie do mieszkania położyłem kwiaty na podłodze wokół ciebie – świątynia ku czci życia! Dla ukochanych! Inne bukiety włożyłem do wazonów wypełnionych moimi łzami. Tak, łzy przychodziły teraz łatwo, prawie bez przerwy. Moja twarz na placu wyglądała śmiało, nie spała, nie płakała (tak, moja twarz wzięła całe miasto na klatę), musiałem więc płakać za nią. Jednak, jak mówiłem, nie mogłem spać. Pewnej nocy pomyślałem nawet, żeby wziąć pisak i dorysować portretowi zamknięte powieki. Wtedy przynajmniej jeden z nas by trochę kimnął.

Cały czas towarzyszyły mi twoje szepty, słowa, które chwilami nadchodziły jak wiosenny wiatr o zapachu skoszonej trawy i ptasich kup, a innym razem jak melancholia jesienno-deszczu padającego na porzucony kołpak – ale wciąż słyszałem śpiewy, ciągle śpiewy, czy były to mantry, slogany, marsze wojskowe? Raz, cudem, tak, cudem, u moich stóp pojawił się znikąd twój brązowy, zwinięty liść, a innym razem ostry oddech zimy, zapach betonu i popiołu, podmuch lodowatego powietrza i – presto! – płatek śniegu! Ciągłe napływały też słowa i jeszcze więcej słów, o miłości i odchodzeniu, adoracji i spotkaniach, przysiędze wieczystej, niczym długie, zmysłowe

zakłęcie, które zmusiło mnie do wciągania własnej piersi; taka była moja senna, przytakująca przyjemność – co za *ulga!* – wśród tych słów, które były nie tyle słowami, co maleńkimi porcjami łagodności, nadchodzącymi tak długo, aż nie widziałem już przez łzy, które moje serce pompowało do kanalików łzowych.

Gdy przyszedłem z ulicy pokryty płatkami i łodygami, a także zawstydzony tym, że wymierzono we mnie sto wskazujących palców (bo przez plac przechodzi całe miasto), wyglądałem jakbym przewrócił się na cmentarzu albo wybiegł z wesela z konfetti na czubku języka, by mówić ci, że tak, tak, to właśnie ty jesteś miłością! Ach, jak wiele szeptów powstaje z oddechu miłości? Długi, czuły recital dla wszystkich niepoślubionych śmiertelników! (Gdyż byłem przekonany, że te śpiewy to śpiewy miłości). Jak kochałem cię wtedy, gdy słuchałem śpiewów o swojej samotności, o całej samotności! Bo dzięki tobie pustka tęsknoty dawała ciepłe uczucie komunii z wody święconej i jaskrów. I mimo nocnego bekania, gdy, to prawda, wszystkie twoje humory stawały się cuchnącymi oparami, mimo ulicznych głosów, które wypadały z twoich ust w tym czy innym języku, skłębionej hybrydzie wielu na raz, połączonych z syrenami, dziecięcymi krzykami, brutalnymi samogłoskami i tłuczonym szkłem – jak w twoim gardle zmieściło się całe miasto? – tak, pomimo tego i gryzących zapachów (zbliżających w ten sposób twoją miłość do potworności), tamtej nocy spałem twarzą do ciebie i cicho, delikatnie, wtopiliśmy się w miłość.

Czwartego dnia zrobiło się gorzej. Ludzie na ulicach otwarcie ze mnie drwili, śmiali się, krzyczeli frazy, od których siniały uszy i zęby się trzęsły, aż zorientowałem się, że zdecydowanie byłem tym człowiekiem skądś indziej, złapanym na zdjęciu na placu – choć mój odważny cyfrowy sobowtór nawet nie mrugnął. Tymczasem w mieszkaniu rozpoczęły się twoje wymioty. Ale to nie były zwykłe pawie, nie, były to wymioty astronomiczne, śmierdząca konstelacja, ale też ziemskie, gdyż z każdą stroną świętego łkania i cofania pojawiał się papier, czasem wielkości strony z modlitewnika, innym razem w strzępach, ale zawsze pokryty nieczytelnymi bazgrołami, jak zniekształcony hieroglif bez obietnicy objawienia. Potem nadeszły opakowania po słodyczach, każde jak celofanowy koci język – i czy było to przypadkowe porównanie, bo co przyszło potem? Pióro! (Do tej chwili, oczywiście, zdą-

żyłem zaniepokoić się twoją dietą. Mocą twojej niestrawności). Desperacko próbowałem odczytać wiadomości ze zwróconych resztek, by odnaleźć porządek, kolejność, jakoś wszystko wyjaśnić – twoje pochodzenie, na przykład, czy też moje! – bo teraz nie było już śpiewów, kołysanek ani szeptów. Nie miałem pewności, gdzie się podziewasz, ani czy zamierzasz wrócić. Choć w nadziei wzniosłem się pod niebiosa, teraz bez ciebie zostałem z sercem płaskim jak odcisk stopy. Tak, zostałem porzucony gdzieś pomiędzy moimi żalami a Bogiem.

Jeden z wyplutych papierów był cały w kropkach. Nigdy wcześniej nie poczułem mocy tak wielu zakończeń! Teraz łyzy w wazonach były łyżami niezrównanego cierpienia. Uczucie porzucenia płynęło w mojej krwi i dawało uczucie paniki w odwrocie. Kwiatami były goździki. Uschły, zanim w pełni rozkwitły. Powiedz mi, czy moje oddanie nie wystarczyło, moje serce było zbyt mało pojemne? Czy twoje przybycie miało być błogosławieństwem, które kryło śmiertelną ranę? Czy twoje zniknięcie, jak pojawienie się, w środku nieszczęść o czwartej nad ranem, gdy otworzyłem oczy do ciemności kruszącej się jak stara farba, zdziwiony, że to w tym, a nie w innym życiu żyję, i że to właśnie w tym, a nie w innym kraju żyję, i widzę cię przed oczyma – tak, kara boska! – mimo że to nie ja cię stworzyłem? A może udało ci się zwęszyć – tak, tak się mówi! – plotki z ulicy o tym, jak mnie traktują, krzyczą, żebym wracał do domu, tak, może poszło za tym pragnienie, by dołączyć do stada i też mnie tak potraktować?

Piątego dnia twoje wstrętne usta na dobre się rozgadały. Nigdy nie słyszałem tak wściekłych przekleństw, tak zniekształconych przysięg! Z jakiego śmierzącego otworu wyrwał się twój zjełczały język? Niczym nie mogłem cię udobruchać ani powstrzymać zalewu nieprzyzwoitości. Doświadczyłem całego bólu wzgardy ukochanej osoby. Wszystko mówiłem źle i tylko dodatkowo cię denerwowałem. Każde twoje słowo było potępieniem albo boleśnie sarkastyczną uwagą.

Stałem się dzikusiem. Kiedyś szedłem za tobą do gwiazd, teraz wpadłem do rynsztoka.

Szóstego dnia, pierwszego dnia nowego miesiąca, właściciel przyszedł po czynsz. Po otwarciu drzwi do mieszkania wytknął palec tuż pod mój nos, roześmiał się i wyminął mnie, wskazując tym palcem na sufit. Potem

dostrzegł ciebie, twój stan – zakładam, że było to szczęście. Euforia! Ekstazytyczne zaniedbanie miłości! Spytał, czy były może problemy? Impreza? Kłótnia? Jakies utarczki z chuliganami?

– Wszyscy o panu mówią – zaczął. – Co pan tu narobił? – A potem, głośniej:  
– Co pan tu robi?

Ostatnie pytanie podkreślił w taki sposób, że jasne było, co miał na myśli, albo jasne było, że chciał, żebym tak to zrozumiał: co robisz w tym mieście, w naszym życiu, tu, skąd to my pochodzimy?

– Naprawdę, daję panu ostatnie ostrzeżenie – dodał, palcem wskazując na ciebie, kochanie. (Choć równie prawdziwie mógłby powiedzieć, że to było moje pierwsze ostrzeżenie).

Z twojej strony usłyszałem łaskawą ciszę, choć czułem, jak drżą twoje kontury. Gdy przykucnął obok ciebie i pogłaskał cię z delikatnym drgnięciem, które mogło wskazywać jedynie na twoje zmarszczone brwi, spytał:

– Jesteś pan wariat czy pijak? – wściekle strzepnął setkę płatków, które leżały porozrzucane na podłodze. – Jak, na Boga, to się stało? Tak zachowują się ludzie, tam, skąd pochodzisz?

Włożył dłoń w dziurę w ścianie, którą brałem za twoją twarz. Czekałem na twój krzyk. Ale znów była tylko cisza. Próbowałem wyjaśnić mu, że nie, nie jestem pijakiem, nie jestem wariatem, nie, tam skąd pochodzę, ludzie się tak nie zachowują, choć nie wiedziałem do końca, jakie zachowanie miał na myśli, a jeszcze mniej wiedziałem, skąd pochodzę, mimo że zacząłem się zastanawiać, czy w tę groteskową, życzliwą noc twojego pojawienia miałem dobrze poukładane w głowie (czy może w sercu).

Wstając, właściciel roześmiał się od jabłka Adama aż po kostki; wyglądał, jak gdyby nagle okrył się bańkami. Nosi drogie okulary i w weekendy pływa łódką po jeziorze. Rok temu podzielił jedno mieszkanie na trzy. Porządne były tylko zewnętrzne ściany, reszta to ścianki z gipsu i drewna. Miesiącami mieszkałem w jednym z tych pudełek jak królik w klatce albo silny człowiek w kwarantannie, a wtedy nadeszło nagłe objawienie, rozkoszna tortura zmysłów.

Ty.

– Wygląda mi to na odcisk buta – podsumował właściciel, znów kucając i ostatni raz głaszcząc twoją twarz, moją nadzieję. – Ale z drugiej strony. I to cholernie wielkiego buta!

Zwrócił się do mnie i przybrał ton osoby mówiącej do wiejskiego głupka:  
– Dlaczego pozwolił pan powiesić im zdjęcie na placu?

Wyjaśniłem, że nigdy nie zgodziłem się na powieszenie zdjęcia na placu. Powiedział, że może wieszają zdjęcia „ludzi skądś indziej” na placu, żeby zachęcić tych, którzy nie lubią „ludzi skądś indziej” do znalezienia „ludzi skądś indziej” i pobicia ich. Odparłem, że nie wiem nic na ten temat, ale wielu tych, którzy nie są – ani nie wydają się być – skądś indziej, przeklinało mnie, patrzyło na mnie w dziwny sposób albo wytykało mnie, śmiało się i drwiło, albo krzyczało, żebym wrócił do domu.

Dwie godziny po tym, jak właściciel wyszedł z mieszkania, kiwając głową z dezaprobatą (jak gdyby zawroty głowy były małą ceną za wytrzepanie z głowy całego tego niedowierzania, przybył dekorator z wiadrem mokrej zaprawy). Nie wskazał na moją twarz i nie roześmiał się. Zamiast tego palcami wskazującymi narysował prostokąt wokół głowy, a następnie ustawił swoją uśmiechniętą twarz w ramce. Udałem, że nie zauważyłem, chociaż widziałem, że broda wystawała mu z parametrów. Powiedział, że w tej chwili zdejmują moje zdjęcie z placu. Niemrugające oczy w końcu będą mogły spać, odwrócić się od spojrzeń ludzi nie skądś indziej, niezależnie od długości ich włosów albo wielkości butów.

Dwadzieścia minut zajęło mu zakrycie twojej twarzy.

– Wielki but! – powiedział. – Wielki kopniak!

Wstał, żeby pokazać, jak wygląda wielki but i wielki kopniak. Wtedy nastąpiło twoje zupełne zniknięcie, załatano twoją przestrzeń, została powierzchnia szorstka jak ogolona głowa. Twoja obecność miała zażegnać moją tęsknotę (lub pogłębić ją), spowodować paranoję (lub wyleczyć ją), bym poczuł się jak w domu (lub znienawidzony). Gdy śmiano się na placu z mojej bezsennej twarzy, towarzyszyły mi twoje śpiewy miłości i tolerancji, padał na mnie twój oddech na zmianę słodki i zatechły. (Mogę wybaczyć ci okropne wiatry, nikt z nas nie jest idealny! Choć, oczywiście, nie mogę znaleźć wad w twojej formie: wejście i wyjście, coś więcej mogłoby być potrzebne?) Tak, moja stale uśmiechnięta gniewna miłości, wygnano twoją słodką, surową twarz, zostawiając mi jedynie dwie słabe linie, tam, gdzie zaznaczyły się osobiste uprzedzenia (bo czyż nie jest to miłość?).

W mieszkaniu mam teraz pełno uschniętych kwiatów, woda w wazonach zepsuła się, bo nawet lzy straciły swoją czystość, a kiedy sprzątałem bezcielesne żonkile – jak gdyby między nimi zmarł cały sezon, całe serce! – znalazłem liścik. Jeszcze zanim go przeczytałem, wiedziałem, że to od ciebie, papier był podobny do zwymiotowanych przez ciebie kartek, gdy wydobywało się z ciebie miasto czy może coś innego tak złego, że nie dało się tego opanować. Skakałem więc nerwowo po mieszkaniu, najpierw kończąc porządki, bo nie mogłem zdecydować, czy powinienem przeczytać liścik. Miałem mieszane uczucia o tych kilku dniach. Rozważałem spakowanie się i wyjazd.

Rzuciłem okiem na kartkę i zobaczyłem czytelne słowa. Nawet dla ciebie był to pierwszy raz, choć byłem już przekonany o twoich ludzkich ambicjach (czy może boskich? Właśnie, po czyjej stronie jesteś?) – choć nie było już śpiewów ani liźnięć szczelin nienawistnych przekleństw.

W końcu, gdy mieszkanie było już sprzątnięte, wyszorowane i odkurzone (tak, dobre sprzątanie może być równie skuteczne co ulotnienie się), padłem na łóżko, kilka gnijących płatków przycisnęło się do mojego spoconego czoła, ustami zbliżyłem się do miejsca, gdzie ty, moja mordercza miłość, byłaś w pełnym rozkwicie, i przesunąłem palcem po jednej z twoich linii (jak czas krąży wokół naszej próżności!), gips na twojej twarzy wciąż był wilgotny. Wyjąłem liścik z kieszeni, drżącymi rękoma, czerpiąc nadzieję z serca, rozwinąłem kartkę na dłoni.

„Do zobaczenia, sukinsynu”, było napisane na kartce. „Jeszcze tu wrócimy”.

*Straszna historia* Kirstin Innes to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Horror Story* by Kirstin Innes is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Kirstin Innes

# Straszna historia

przełożyła Justyna Szcześniak

Hotel wyglądał na miejsce, w którym wydarzyły się straszne rzeczy. Jedno-  
lite, ciągnące się korytarze w stylu sowieckiego funkcjonalizmu, migające  
pod sufitami żarówki – coś w nich sprawiało, że włoski jeżyły się na rękach.  
W łazience pierwszego przydzielonego im pokoju ujrzała niewyraźne ciemne  
kształty nawarstwione za poznaczoną wilgocią, nieprzezroczystą zasłoną.  
Gwałtownie zaciągnęła ją z powrotem wokół wanny.

„Zwłoki” – pomyślała. „Może poucinane kończyny”.

– To tylko mech – odezwała się jej współlokatorka, pochylając się i trącając  
palcem porost pokrywający sporą część emalii. Przemówiła po raz pierwszy,  
choć wspólnie wjechały windą z holu na swoje piętro. Claire nie zdawała sobie  
sprawy, że kobieta zna angielski. Stały w zawilgłej łazience, mierząc się wzrokiem.

Vasvija miała głowę ogoloną prawie do samej skóry – porastały ją tylko  
krótkie, ciemne igiełki. Przez cały tydzień zakładała tę samą zieloną welu-  
rową bluzę od dresu, której meszek był tak samo zjeżony jak włosy kobiety,  
niczym u wilka przyjmującego obronną postawę. W bluzie gnieździł się  
ostry, dziki zapach. Pod spodem – Claire widziała ją bez bluzy raptem raz  
czy dwa, a dzieliły pokój od czterech dni – Vasvija nosiła darmową koszul-  
kę od organizatorów konferencji, zaprojektowany dla mężczyzn T-shirt  
w kontrastujących kolorach, z tanim nadrukiem wielkiego brzydkiego logo  
na wysokości jej szerokiej, płaskiej klatki piersiowej. Ogromne oczy miała  
zaskakująco blade i przesłonięte czymś dziwnym. Niemożliwe, by były w tym  
samym wieku – ona po prostu nie w y g l ą d a ł a jak znani Claire ludzie.

– Cóż, musimy zażądać innego pokoju – Claire rzekła w łazience tego pierwszego dnia. – Tu nie możemy się kąpać. To niehigieniczne.

Vasvija odchrząknęła, podniosła swój postrzępiony chłopięcy plecak z łóżka, które wcześniej zajęła, i powlokła się na korytarz.

W drugim pokoju zasłony były zaciągnięte, a po zapaleniu światła pomieszczenie zdawało się trzeszczeć od elektryczności. Kierownik kiwnął głową w stronę okna i wyrzucił z siebie parę słów. Goran przetłumaczył z niepokojem.

– Mówi, że tu jest. Że będzie. Duży hałas? Że będą pracować mężczyźni, za oknem. Jako kobiety będziecie musiały mieć zasłonięte okna.

– Plac budowy – odezwała się Vasvija. – Tu jest plac budowy.

Cała trójka spojrziała na Claire.

– Okej – powiedziała. Spróbowała posłać kierownikowi uśmiech i uniosła kciuki. Ten po prostu odjechał z powrotem ku windom. Goran wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego.

– Będziecie za godzinę na lunchu? – spytał, po czym pobiegł za kierownikiem. Drzwi trzasnęły, zamykając Claire i Vasviję w pokoju. Claire poczuła, jak jeżą jej się włoski na rękach.

– Wydawało mi się po prostu, że nie mogłybyśmy się tam kąpać – rzekła. – W moim kraju można złożyć skargę, jeśli pokój ci nie odpowiada. Przykro mi. Przepraszam. Vasvija runęła na swoje łóżko.

– Okej – powiedziała i uniosła kciuki, po czym odwróciła się do niej plecami i zwinęła w kłębek przy samej ścianie.

Wieczorem na rozpoczęciu powitano ich na scenie przy akompaniamencie dud – najwyraźniej był to także serbski instrument. Ich znajome jednostajne świsty i tony nabrały po chwili hipnotyzującego wschodniego charakteru. Muzyka do zaklinania węży. Wszystkie kryształki składające się na przesadnie zdobiony żyrandol, wiszący pod sufitem nędznej hotelowej sali, zatrzęsły się w rytm jękliwej muzyki.

– Cóż, nigdy nie słyszałem t a k i e j gry na dudach – mruknął doktor McKenzie do doktora Wooda i obydwaj zarechotali pod nosem, rechotem bogatych, opasyłych mężczyzn.

Goran podszedł do mikrofonu z szerokim uśmiechem z powrotem goszczącym na jego twarzy.

– Przybyli aż z dalekiej Szkoocji! – oznajmił i dodał coś po serbsku.

Doktor McKenzie, doktor Wood i Claire po kolei odwrócili głowy przy słowach brzmiących mniej więcej jak ich imiona, po czym weszli na scenę, by uśmiechnąć się i pomachać do widowni. Goran powiedział coś jeszcze i grupa młodych Serbów, stanowiących, zdaje się, większość uczestników konferencji, parsknęła radośnie, ściskając się nawzajem.

Claire zauważyła, że prawie wszyscy delegaci ze Słowenii, Chorwacji, Macedonii i Serbii byli w jej wieku. Trochę poniżej trzydziestki. Wprawdzie zaproszono ją wcześniej tylko na dwie konferencje, ale zdawała sobie sprawę, że to niecodzienne. Jakby całe pokolenie wykładowców po prostu zniknęło. Doktor Wood i doktor McKenzie byli najstarszymi delegatami, jeśli nie liczyć doktora Maljikovica, olbrzymiego, milczącego Serba z dzikim spojrzeniem, kurtyną tłustych włosów opadających na twarz i szarą skórą pokrytą zimnym potem. On jeden nie przygotował angielskiego tłumaczenia referatu.

– I na dodatek ma namię Igor. – Claire mogła sobie wyobrazić, jak mówi o tym Jamiemu i zaśmiewają się razem na kanapie.

Koszmary zaczęły się dopiero drugiej nocy, ale należały do tych najgorszego rodzaju, tak realistycznych, że Claire nie miała pewności, czy czasem nie są prawdziwe. Niekiedy śniły jej się korytarze, ale zazwyczaj znajdowała się w samym pokoju, wyczuwając w nim czyjaś obecność, coś zwierzęcego, przyczajonego w kącie, skomlącego, by ją przywabić. Zawsze budziła się tuż przed samym atakiem, złana potem w pościeli ze sztucznego materiału, której bez wątplenia nie zmieniano od ich przyjazdu. Słyszała urywany oddech Vasviji; mrok gromadził się w zakamarkach pokoju. Rano goryle okrzyki robotników dobiegające zza okna budziły ją na długo, zanim odzywał się budzik jej współlokatorki.

Nie sypiała najlepiej.

– Upiornie tu, w tym hotelu, prawda? – odezwała się do doktora Wooda, gdy któregoś ranka usiedli razem do śniadania. Ten skinął głową w jej stronę.

– Oczywiście, to typowy przykład jugosłowiańskiej odmiany sowieckiego stylu architektury. Z lat sześćdziesiątych.

Sięgnął po ustawiony obok niej dzbanek z kawą.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że to Serbom zawdzięczamy koncepcję wampira?

Potrząsnęła głową, a on wyglądał na zadowolonego z siebie, uradowany ulubionym tematem, znów w roli jej wykładowcy.

– O tak. *Vampyr*. Bezkrwista istota. Niewidzialna.

Po czterech dniach w ich pokoju było duszno od zapachu Vasviji. Claire podejrzewała, że ta miała właśnie okres, gdyż woń była podszyta metalicznym, żelazistym akcentem. Zasłony pozostawały zaciągnięte i do pokoju nie dostawało się wcale świeże powietrze. Poziom wilgotności bił rzekomo rekordy w całej okolicy. Claire czuła, jak jej ubrania marnieją.

Vasvija, zdaje się, nawet się nie myła. Poważnie. Claire kupiła litrowe butelki wody mineralnej w kiosku na rynku i ustawiła je rzędem wzdłuż wanny po tym, jak odkręciła kurek w drugiej łazience, rury zawarczały, wykaszlnęły kleisty żółty płyn zalatujący siarką, a odór sprawił, że zaczęła się dławić; oraz po tym, jak Goran zapewnił ją, że woda wygląda tak w całym mieście i że jest całkowicie zdatna do kąpieli, i że nie mogą znowu zmienić pokoju, a Vasvija zaczęła unikać jej wzroku, kiedy poruszały się w zagraconej przestrzeni pomiędzy swoimi łózkami.

– Po prostu nie sądzę, by racjonalne było zmuszanie nas do mieszkania w takich warunkach – próbowała wytłumaczyć Claire. – To jest praktycznie trzeci świat, na litość! Reszta miasta, reszta kraju przecież nie może tak wyglądać?

Nagle Vasvija zwróciła twarz w jej stronę, w ułamku sekundy likwidując przestrzeń między nimi, jak gdyby poruszała się z nadludzką szybkością. Przez drobne, ostre jak u kota, zęby wysyczała:

– Proszę, czy mogłabyś przestać narzekać? Proszę.

Te ogromne oczy.

Vasvija była z Bośni. Nie podzieliła się tą informacją z własnej woli. Doktor Wood wspomniał o tym w rozmowie z doktorem McKenziem, gdy Claire mijała ich w drodze do sali konferencyjnej.

– To z ich strony wielki gest, oczywiście, że zaprosili tę Bośniaczkę, jak jej tam, Vasviję Cerić.

– I to, że przyjechała – przytaknął doktor McKenzie. – Nadzwyczajne.

Claire czekała, lecz żaden z nich nie zwrócił się do niej: „A ty przecież dzielisz z nią pokój, prawda?”.

Bośnia. Wiedziała, że coś się tam stało, ale jej wiedza sprowadzała się w sumie do nieuważnie rejestrowanych migawek wiadomości, oglądanych jeszcze za nastoletnich czasów. Ujęcie z obozu uchodźców: dziewczynki o bladych oczach, z chustkami na głowach, i charytatywna płyta, którą wszystkie w szkole kupiły, bo występował na niej Damon z zespołu Blur.

Ten dziwny upał wciąż wisiał w powietrzu, mimo że słońce już zaszło. Ubrania oblepiały plecy jak kokon. Delegaci siedzieli pod płóciennymi daszkami na placu przed barem, rozgadani z radości, że udało im się wyrwać z hotelu – grupka młodych mężczyzn sprzeczała się i żartowała w obcej melodii swych języków. Goran, w samym środku, piał jak kogut, podczas gdy jego akolici przyklaskiwali mu i poklepywali po plecach. Ogromny, przerażający Serb, Igor, siedział w oddaleniu od reszty z butelką płynu o intensywnym zapachu, wlepiając w nich wzrok. Nie było tu innych kobiet, chociaż Claire, gdy poszła do pokoju po żakiet, próbowała wyciągnąć również Vasviję. Rozmawiały wtedy po raz pierwszy od dwóch dni.

– Nie chcę pić w barze z serbskimi mężczyznami – odparła Vasvija, naciągając pościel na głowę.

Claire sama kupowała sobie napoje – piwo, chociaż to nie był jej zwyczajowy wybór; po prostu łatwiej było podejść do baru, wskazać nalewak i unieść jeden palec. Trunek osiadał jej ciężko w żołądku i wciąż musiała odwracać głowę od napuszonych rozmów, w których brała udział, by zasłaniając dłonią usta, uwolnić gaz. Miała nadzieję, że wygląda to, jakby ziewała.

Przyszła do baru, bo nie było tu nic innego do roboty, bo był poza hotelem, bo niezobowiązująco pomyślała o flircie z jednym z mężczyzn – dla chwili rozrywki, by poczuć się odrobinę seksownie. Może nawet jakiś pocałunek, który mogłaby zabrać pod koc, kiedy w końcu będzie musiała wrócić do tamtego pokoju. Jednak żaden z nich nie zwracał na nią uwagi.

– Zajmujemy się głównie tłumaczeniami – opowiadał Miho, Chorwat wyglądający na intelektualistę. – W przerwach między uczeniem studentów a pisaniem własnych książek żona i ja prowadzimy wydawnictwo, tłumaczymy dzieła amerykańskiej i angielskiej literatury.

Claire pokiwała głową, starając się połknąć kolejne czknięcie.

– Świetnie mówisz po angielsku – powiedziała.

Przyglądał jej się przez sekundę i w jego oczach mignęło coś znajomego.

– Tak – odparł.

„Nie dziękuję” – pomyślała. „Zabawne”.

Jeden z Serbów przewrócił krzesło. Z narastającego gwaru głosów nagle wybił się angielski.

– Zapytajmy Brytyjkę, hej!

Rozochoceni faceci, uśmiechając się ironicznie, otoczyli jej stolik.

– Hej, hej, Claire. Czy jak w Anglii nazwiesz faceta c i p a, to jest strasznie obraźliwe?

Był całkiem przystojny, ten, który zadał pytanie.

– Nie wiem, kolego – odpowiedziała, puszczając oko. – Jestem ze Szkocji, nie z Anglii.

– A to jakaś różnica? – odparł i mrugnął również, drocząc się z nią.

Roześmiała się. Czują, jak alkohol leniwie krąży jej w żyłach.

– O tak! To pewnie jakbyś nazwał Serba Chorwatem.

Wszyscy wokół wytrzeszczyli oczy. Goran stał tam z wciąż przyklejonym uśmiechem.

– Myślę, że nie o to ci chodziło – szepnął Miho ledwie słyszalnie.

– Ten facet! – zawołał Goran, przepychając się do stolika między mężczyznami. – Kocham go! – Objął Miho i ucałował go w policzek. Miho uprzejmie utkwiał spojrzenie w stole. Kilku mężczyzn wydało z siebie głośne „uuuuuu”. Igor wbił w nich wzrok, gwałtownie odsunął krzesło i oddalił się, gwizdząc przenikliwie na odchodne.

– Przepraszam – powiedziała Claire do Miho. – Przepraszam. Najwyraźniej powiedziałam coś nie tak.

– Chyba nie wiesz zbyt wiele o historii naszych krajów, Claire.

Cóż, mogła tylko wyznać prawdę.

– Nie, nie wiem. To znaczy, zdaję sobie sprawę, że to dobrze, że wszyscy tu jesteście. Że przyjechaliście, że moja współlokatorka, Vasvija, przyjechała z Bośni...

Uśmiechnął się lekko, na powrót odprężony.

– To dla nas bardzo ważne, by nasze pokolenie żyło w zgodzie.

– Ale to niesamowicie wielki, ee, gest, prawda? Wszystkie wasze państwa były wrogami?

– W takim razie, czy nie jest równie niesamowite, że Serb zaprasza Brytyjczyków na swoją konferencję?

Claire nie zrozumiała.

– Ale ja je s t e m S z k o t k ą – odparła.

Znowu uśmiech pod niskim czarnym meszkiem przypominającym wąsy.

– Szkoccy lotnicy też mogą przecież pilotować bombowce.

– Lepiej już pójść – powiedziała ze wzrokiem utkwionym w ziemię, po czym z rumieńcem na policzkach praktycznie odbiegła rozgrzaną, pogrążoną w mroku ulicą. Goran z troską wykrzyknął jej imię i w pośpiechu podążył za nią. Wzruszyła się.

– Naprawdę. Jestem tylko zmęczona. Znam drogę. Udanego wieczoru.

Szła przez jakiś czas, prędko, świadoma drażniącego potu i gęstniejącego wokół niej powietrza.

„To nie moja wina” – powinna rzec. „Nie miałam pojęcia. Po to tu jestem, żeby się czegoś dowiedzieć”. Powinna wrócić i powiedzieć to przy stole, ukrócić ich pijackie krzyki.

Ale nie zrobiła tego.

Budynek naprzeciwko niej był kiedyś, pewnie jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu, pomalowany na różowo, ale teraz desperacko potrzebował nowej warstwy farby. Stary, łysy polityk spoglądał srogo i nieustępliwie z plakatu przyklejonego do ściany; na jego czole ktoś wyrzył czerwone, anarchistyczne A.

W zasadzie plakat sprawiał wrażenie jedynej rzeczy utrzymującej ścianę w całości. Nie chodziło tylko o farbę: cegły i kamienie tych budynków zdawały się łuszczyć pod wpływem powietrza, odpadać płatami, tworząc w rynsztokach kopczyki kamieniarskiego pyłu.

Miasto wokół niej trwało w milczącym oczekiwaniu.

Coś się zbliżało, czuła to.

Claire zaczęła biec w kierunku, który wydawał jej się właściwy. Ulice opustoszały, wszystkie sklepowe szyldy były w cyrylicy, dziwnym kodzie, którego nie miała nawet nadziei złamać. Wyróżniały się tylko pojedyncze słowa: AUTO. SALON. TEENAGER DISCO!

Gdzieś za nią przetoczyło się po chodniku echo niskiego, warkotliwego pomruku. Jej mięśnie napięły się do ucieczki.

Błysk światła i nagły szok na skórze. Deszcz. Piorun. Nawałnica.

Hotelowy hol był całkowicie opuszczony – w recepcji pusto, dwie lampy nie działały, trzecia mrugała złowrogo. Przestrzeń wydawała się naładowana, uzbrojona elektrycznością. Claire przypomniała sobie trzeszczące elektrostatycznie zasłony w pokoju. Jej palec odruchowo zawisł nad przyciskiem wzywającym windę, wybrała jednak schody. Krople deszczu uderzały w dach budynku. Ich rytm zmienił się, gdy dotarła na pierwsze piętro. Rozbrzmiewały mokrzej, bliżej, jak gdyby pochodziły z wnętrza hotelu – z sali konferencyjnej. Claire pchnęła masywne drzwi i w mroku zobaczyła przeciek. Woda kaskadami spływała po oprawach żyrandola. Wszystkie żarówki mrugały. Błysk. „Cały budynek może się zmienić w piorunochron” – pomyślała. „Te zdradziecko obluzowane gniazdka tylko czekają na dogodną chwilę”. Zwęglone ciało przyłgnięte do stopionych włókien nylonowych kocy.

W korytarzu przy bufecie dostrzegła jakiś ruch, usłyszała jęki. Wbrew sobie podeszła bliżej. Igor, olbrzymi Serb, siedział wyciągnięty w jednym z pokrytych skórą foteli do masażu, pozostawionych do użytku gości, a mechaniczne dłonie obejmowały pożądliwie jego poskręcane mięśnie. Zamknięte oczy, usta niemal obscenicznie otwarte.

– Igor. Igor. Doktorze Maljikovic! Powinien pan wstać z tego fotela. Nie sądzę, by w hotelu było bezpiecznie. Prąd...

Przy kolejnym uderzeniu pioruna jego oczy nagle się rozwarły. Z jękiem spróbował wstać i do niej podejść, lecz jego ręce i nogi tkwiły w kleszczach urządzenia. Skorzystała więc z okazji do ucieczki, przeskakując po dwa, czasem trzy stopnie, aż znalazła się na swoim piętrze, gdzie wysiadły już wszystkie światła. Przez kilka boleśnie długich sekund walczyła z kluczem. W końcu udało jej się otworzyć drzwi i wpadła do pokoju, zatrzaszkując je za sobą.



Włączony telewizor spowijał pokój dziwną poświatą – napięcie dało się odczuć o wiele intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej i zajęło jej chwilę, zanim pojęła, że wrażenie dochodziło od strony okna. Zasłony były odsunięte. I jeszcze ten dźwięk, surowe skomlenie z jej koszmarów, które dobiegało ze stojącego tam krzesła.

– Vasvija?

Nic prócz tych dźwięków.

– Vasvija. Chyba powinniśmy wyłączyć telewizor. Budynek przecieka. Burza.

Vasvija obróciła się błyskawicznie i znów uderzył piorun, oświetlając jej twarz i czerwone oczy.

„O Boże” – pomyślała Claire. – „To ona. To ona. To Vasvija była tym czymś. To była Vasvija, przez cały czas...”

– Już wróciłaś – odezwała się przez nos jej współlokatorka grubym, pustym głosem. – Jak było w barze?

Wysmarkała się.

Vasvija płakała. Siedziała na krześle, zwinięta i drobna, i zalewając się łzami, obserwowała nawałnicę. Serce Claire zaczęło się nieco uspokajać.

– Ehm. Wszystko w porządku? Czy to przez grzmoty?

– Jebać grzmoty – cicho odparła Vasvija.

– Słucham?

– Jebać grzmoty. Moja. Moja przyjaciółka – moja kochanka. Nie chce już ze mną być i pisze mi o tym w SMS-ie, dziś wieczorem. Od kiedy jestem w Serbii, nie odbiera moich telefonów, a potem wysyła jebanego SMS-a! To wszystko, co dostaję! Jesteśmy razem od trzech lat i to wszystko, co dostaję!

Spojrzała na twarz Claire i roześmiała się prostym, gorzkim, ludzkim śmiechem, który mówił *shit happens*.

– Claire, wyglądasz równie paskudnie jak ja. Stało się coś?

Claire pomyślała o domu, o oglądaniu telewizji na kanapie z Jamiem, o jedzeniu pizzy. Jej proste, łatwe życie, dobre oceny w szkole, gładkie przejście ze studiów na doktorat na tej samej uczelni, oszczędzanie na wesele, brak cierpienia. Żadnego.

– P-po prostu nie lubię burzy – odrzekła w końcu.

Vasvija znów się roześmiała, ale nie w niemiły sposób.

– Przecież jesteś ze Szkocji. Macie tam chyba sporo burz, co?

Claire odetchnęła, chwiejnym krokiem podeszła do łóżka i usiadła.

– Nie takich – powiedziała. – Takich nie mamy.

*Bliźni* Jackie Kay to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Kindred* by Jackie Kay is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Jackie Kay

# Bliźni

przełożyła Joanna Morawska

Bycie martwym wygląda zupełnie inaczej niż wyobrażałam to sobie jako dziecko. W mojej wyobraźni zmarli byli bladzi i milczący. Jeśli w ogóle by się poruszali, to niczym zombie, szurając kapturami. Jeśli by mówili, to szeptem, a ich głosy, rżące i chrapliwe, brzmiałyby jak głos tego-jak-mu-tam z Oliviera Twista, koleś co ich uczył kraść. Wyleciało mi. Nie Artful Dodger, nie Bill Sykes, tylko ten... nieważne. To nie koniec świata, jak zapominamy to czy owo, ale za życia byłam skarbnicą wiedzy. Ludzie często mi mówili: Martha, ty to jesteś skarbnica wiedzy. Wszyscy chcieli być w mojej drużynie podczas rozgrywek quizowych w pubie! Teraz, kiedy nie żyję, dalej jestem rozchwytywana, co jest całkiem zabawne. Ludzie przychodzą do mnie zadawać podchwytliwe pytania. Rzeczy typu: ile jeszcze, zanim zacznę się rozpadać? Kiedy zacznę naprawdę cuchnąć? Kiedy będę mogła skontaktować się z rodziną? A ja mówię, jak jest. Mówię, już się rozpadłeś, stary, i lekko trącisz, kochanie, i nie możesz skontaktować się z rodziną, ale oni mogą się z tobą skontaktować, skarbie, jeśli tylko się trochę postarają. (My, zmarli mamy słabość do czułych słówek). W *Gdzie indziej* nie mamy ciała, ducha i umysłu, ale podwójnego ducha z odrobiną umysłu. Ciało przepada. Niektórzy i tak przybyli tu niekompletni albo z fragmentami, które miały być ulepszone, ale nigdy później nie działały tak dobrze jak te oryginalne. Niczym nie przebijesz prawdziwej nogi czy nerki, umówmy się.

Najpierw idziesz do *Limbo*, a potem trafiasz tutaj, do *Gdzie indziej*. To miejscówka z klasą, czuje się tu powiew finezji. W *Limbo* jest zamieszanie, kotłowanina: ludzie narzekają, mówią *to nie fair, dlaczego ja, nie byłam go-*

towa, *ograbiono mnie, wyrwano, byłam w kwiecie wieku...* i całe mnóstwo innych banałów. Wszystko, co usłyszysz w *Limbo*, słyszałaś już wcześniej. Czułam, że tracę cierpliwość. Powiedziałam raz do nowoprzybyłej: „Słuchaj, nie żyjesz, weź się w garść”. Może się to wydawać nieco brutalne, ale kiedy już obie znalazłyśmy się w *Gdzie indziej*, podeszła do mnie i powiedziała: „Dzięki”. Dzięki! „To była najlepsza rada, jaką kiedykolwiek dostałam”. To było urocze. Taka zwykła rzecz – dzięki. My, zmarli, żyjemy podziękowaniami, podnosi nas to na duchu.

Wszystkich nas tutaj łączy fakt, że nikt tak naprawdę nie zasługuje na śmierć i że każdy z nas odszedł w inny sposób. Powiem wam, jak ja umarłam, kiedy lepiej się poznamy. Pod tym względem jesteśmy jak więźniowie. Nie paplamy o intymnych szczegółach naszej śmierci po dziesięciu minutach znajomości. Czekamy. Nie spieszymy się, żeby snuć nasze smutne historie. (Niektórzy z nas twierdzą, że odeszli *dobrą śmiercią* – co za oksymoron! – choć część pociesza się myślą, że mieli okazję się pożegnać). Każda historia jest w pewien sposób wyjątkowa, bo każda śmierć jest wyjątkowa, przynajmniej dla tego, kto umarł. Z drugiej strony – każda śmierć jest podobna i zawiera wspólne cechy: serce przestaje bić, przestaje pompować krew, płuca nie nabierają już powietrza, skóra przestaje oddychać... Te kwestie jednoczą nas wszystkich. Mamy jednak o wiele więcej wspólnego, bowiem *wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi*. Nieważne, czy się było bogatym czy biednym, czarnym czy białym, mądrym czy głupim. Jak już znajdziesz się w *Gdzie indziej*, to wszyscy jesteśmy MARTWI. Panuje tu większa równość niż w moich najśmielszych snach! To doprawdy poruszające! I kolejna dziwna rzecz: jakość rozmów jest znacznie wyższa, bo nikt, absolutnie NIKT, nie jest zainteresowany rzeczami materialnymi. Nie interesują nas te sprawy, ponieważ sami nie jesteśmy materialni. Nie próbuję się wymądrzać, po prostu mówię wam, jak jest. A poza tym po śmierci nasze przemyślenia przybrały bardziej filozoficzny wymiar. Inaczej patrzymy na pewne sprawy i coś, co kiedyś miało dla nas olbrzymie znaczenie – nowa para tenisówek, nowy telefon komórkowy, iPad, BlackBerry, Xbox, detoks, botoks, Skybox, pasemka we włosach, rozbudowa domu – tutaj nie znaczy absolutnie nic. W rzeczy samej, sięgamy pamięcią do dawnych siebie i zachodzimy w głowę, jak w ogóle mogliśmy się tym przejmować. To niesamowite, jak

groteskowy staje się cały wiek dwudziesty z nieskalanej niczym perspektywy zmarłych. Nasze dawne obsesje są nie tyle żenujące, bo jako zmarli nie mamy poczucia wstydu, co frapujące. Doprawdy niepojęte: naprawdę TYM się przejmowaliśmy?

Kolejna, WIELCE intrygująca kwestia jest taka, że ci, co za życia byli gwiazdami, nie są wcale sławni po śmierci. Pamiętam, jak pewnego dnia zawitała u nas gwiazda popu. Oczekiwała, że wszyscy umrzemy z wrażenia i spodziewała się pokoju dla RIP-ów czy czegoś w tym stylu. Liczyła na jakiś pakiet *śmierć deluxe* i specjalne traktowanie przez wzgląd na jej dawną sławę. Poszłam z nią porozmawiać. Powiedziałam cichutko, że niczego takiego u nas nie ma. Nie ma specjalnego traktowania. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Wszyscy jesteśmy po prostu martwymi ludźmi. Gdyby miała oczy, to otworzyłaby je szeroko. Ale ich nie miała. Jej duch zawirował, wyduł się i uniósł, aż wreszcie ochłonął. I ona później tak samo do mnie podeszła i podziękowała. Powiedziała, że za życia nikt się tak do niej nie zwracał. Odpowiedziałam jej wtedy, prędko niczym trup – istnieje następne błędne przekonanie, że umarli są powolni, a wcale tacy nie są – powiedziałam jej: „To kolejna świetna rzecz w byciu martwym. Nie ma pieprzenia. Nikt nas nie okłamuje jak to bywało za życia”. Poczułam od niej podmuch ciepłego powietrza.

Tak wiele tu się różni od tego, co sobie wyobrażałam. Myślałam, że nie będę robić nic innego z całym tym czasem poza gapieniem się na dół. Tak zawsze wyobrażałam sobie śmierć: wysoko na niebie, z doskonałym widokiem na moich bliskich, żeby rejestrować, co tam porabiają, być może lekko sfrustrowana faktem, że nie mogę się już z nimi bezpośrednio kontaktować. Ale tak szczerze mówiąc, to jestem zbyt zajęta tym, co się dzieje tutaj. Jestem potrzebna w innych kwestiach, więc sprawdzam, co u moich żywych przyjaciół tylko raz na jakiś czas, od wielkiego dzwonu. (A dzwony tutaj są naprawdę imponujące). W każdym razie zmarli potrzebują mnie bardziej niż żywi. Moja rodzina się poszerzyła. Dziwne, ale przekonałam się, że rodzina nie ma nic wspólnego z genami, z krwią, z DNA. Ma za to wiele wspólnego z uczuciem, hartem ducha i lojalnością. Ten stary model rodziny nuklearnej to doprawdy mała i samolubna jednostka, w porównaniu do tego, co mamy tutaj. Poważnie, martwi mają ze sobą zdecydowanie lepsze relacje. Mamy mnóstwo czasu, żeby się przekonać, jak to działa. Nie ma szczęściu stopni oddalenia w wypadku umar-

łych, dwa najwyżej. Dotarcie do drugiej osoby i nawiązanie z nią kontaktu zajmuje sekundy. No i tutaj odkrywamy powiązania, które były dla nas niedostępne za życia. Wczoraj matka i córka spotkały się po raz pierwszy. Matka w wieku siedemnastu lat oddała córkę do adopcji. Było to całkiem poruszające, ale i otrzeźwiające, bo mimo że przywitały się i były wyraźnie zadowolone (ich duchy leciutko podskakiwały), nie traktowały tego jako być albo nie być, bo przecież ich „bycie” już się skończyło. Zaczęło się coś nowego, bo skoro nie masz już krwi, jak może ona mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? Nadążacie za mną? To niesamowite! Tutaj, w *Gdzie indziej*, wszystko ulega zmianie i nabiera nowej perspektywy.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to może trochę dziwne, być entuzjastką śmierci. Być może jest to nawet pewnego rodzaju paradoks: *entuzjastyczny zmarły, halo?* Niektórym może się to wydawać nieuczciwe lub, co gorsza, wezmą to za jakiś przekręt. Ale nic z tych rzeczy. To nie tak, że próbuję przekonać żyjących, żeby się do mnie wybrali. Absolutnie nie! Nie jestem też żadną agitatorką na usługach śmierci. To by było zupełnie bez sensu, ponieważ musicie wiedzieć, nawet jeśli nie przyjmujecie tego do wiadomości, że śmierć z pewnością przyjdzie po was któregoś dnia. Nie, to co próbuję tu zrobić, i przyznaję się bez bicia, to zmienić sposób, w jaki jesteśmy postrzegani. Jesteśmy najbardziej znieważaną, mieszaną z błotem i pokrzywdzoną grupą, jaka istnieje. Każdego dnia ludzie powtarzają o nas błędne, stereotypowe rzeczy, do porzygania, w nieskończoność. A my to słyszymy! My martwi nie jesteśmy głusi. Nie odpoczywamy. Nie mamy świętego spokoju. Nie zasnęliśmy. Nie jesteśmy niemi. Nie jesteśmy duchami, gwałami ani pełni zazdrości dla żyjących. Nie jesteśmy ani mściwi, ani nieprzystosowani. Nie jesteśmy zgorzkniali, nie jesteśmy skrzywieni. Nie przegraliśmy naszej bitwy ani naszej wojny. Tak naprawdę może was zdziwić, że mamy, również ku naszemu zaskoczeniu, kupę śmiechu. Spotkaliśmy tu całe mnóstwo dawnych przyjaciół i szybko poznaliśmy nowych, z którymi zagłębiliśmy się w szczegółowe i interesujące rozmowy. Nie musimy robić zakupów, gotować, zmywać, martwić się, co zrobić na obiad, w co się ubrać, dokąd pójść, co powiedzieć i wiecznie się logować i wylogowywać. Nie musimy obawiać się miłości. Jesteśmy różnorodną grupą. Co prawda każdy z nas ma swój własny sposób na radzenie sobie z byciem martwym, ale generalnie myślę, że łatwiej nas

polubić martwych niż żywych. Widzicie, martwi nie mają żadnych ambicji. Co to jest za ulga! Wśród zmarłych nie ma konkurencji. Zmarłych naprawdę nie obchodzi to, co myślisz, poza tym co myślisz o byciu martwym. To nas obchodzi, ponieważ boli nas, że tak wielu ludzi przez większość czasu nas nie rozumie. To nie tylko bolesne, ale i irytujące.

Pozwólcie, że opowiem wam pewną historię. Ta historia wydarzyła się niedawno i z powodzeniem może służyć za przykład dla każdego z nas. I jeśli ta historia do was trafi, to gwarantuję wam, że spojrzycie na nas inaczej. Na nas, tych błąkających się po wyboistych, torfiastych wzgórzach i wąwozach *Gdzie indziej*. Pewna dziewczynka przybyła do *Limbo*, martwa jak my wszyscy, kiedy księżyc był w pełni, a gwiazdy na niebie zaczynały tworzyć konstelacje – tutaj mówimy na nie konsolacje, bo gwiazdy wprawiają nas w kojącą zadumę. Dziewczynka została zabita przez kierowcę, który ją potrącił i uciekł z miejsca zdarzenia. Miała dziesięć lat. Kiedy ktoś trafia do *Limbo*, my w *Gdzie indziej* dostajemy informacje, zwłaszcza jeśli myślamy, że ten ktoś będzie potrzebował dodatkowej pomocy. Dwa dni po tym, jak pojawiła się Genevieve, dołączyła do niej jej matka. Była samotną matką wychowującą jedyną córkę i po prostu chciała być przy niej.

Z początku Genevieve traktowała matkę z dystansem. Wkrótce jednak zbliżyły się do siebie i do innych, nawiązując mnóstwo nowych przyjaźni, a tym samym stały się częścią naszej wielkiej rodziny w *Gdzie indziej*. Mama Genevieve, której na imię Jane – „po prostu Jane” powiedziała zaraz po przybyciu – jest jednym z najbardziej wspaniałomyślnych duchów, jakich do tej pory poznałam.

Przypomniało mi to – bo muszę przyznać, że często wypada mi to z głowy – o mnie samej. Wpadam w takie cykle, że po prostu nie myślę o tym, jak tu trafiłam. To już nie jest istotne. Moje życie było istotne, a teraz moje życie po śmierci jest istotne, ale dzień, w którym umarłam to dzień, o którym zawsze zapominam. Jakiś czas po tym, jak przybyła do nas Jane, odbyłyśmy długą rozmowę. Jane powiedziała, że zawsze wiedziała, że jeśli coś się stanie jej córce, to ona nie będzie w stanie dalej żyć. A więc odebranie sobie życia nie było dla niej żadną udręką. Było automatyczne, szybkie i przyniosło ulgę. Dla mnie to nie było takie automatyczne, powiedziałaam. Długo chorowałam. Wiele razy próbowałam, ale bezskutecznie. Wciąż przywracano mnie do życia i za

każdym razem, kiedy mnie przywracali, cierpiałam. Czułam się bezużyteczna. Mówiłam sobie wtedy, nawet nie potrafisz się zabić. Nawet t e g o nie potrafię zrobić jak trzeba. To nie było wołanie o pomoc. Ja naprawdę nie chciałam, żeby mnie odratowywali. „Musiałaś chcieć, żeby cię odratowali”, powiedziała Jane. „Musiałaś, inaczej by cię nie odratowali. Po prostu”. Wdałam się z nią w dyskusję, kiedy nagle coś sobie uświadomiłam. C h c i a ł a m żyć, a potem nagle c h c i a ł a m umrzeć. Wiedziałam, że ludzie, których zostawiam, mogą myśleć o mnie różne rzeczy: że byłam egoistką, tchórzem, że uciekłam przed odpowiedzialnością, że byłam potworem, ateistką. Ale ja byłam kimś, kto, w noc, kiedy odebrałam sobie życie, nie mógł już znieść ani sekundy dłużej. Byłam na samym dnie i niżej już opaść nie mogłam.

Więc wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy przybyłam tutaj i przeszłam totalną metamorfozę w dosłownie jedną noc! Z kogoś, kto cierpiał na depresję, zmieniałam się w optymistkę. Z kogoś, kto nie lubił myśleć, stałam się prawdziwą myślicielką. Prawdą jest, że jestem znacznie szczęśliwsza martwa niż żywa. Kolejną dziwną rzeczą jest to, że ludzie tacy jak ja i Jane należą do najszczęśliwszych w *Gdzie indziej* i najszybciej się przystosowują. Szybciej niż ci, którzy zginęli na miejscu i są szczęśliwsi niż ci, którzy przeszli długą i przewlekłą chorobę.

Wśród znieważanych zmarłych, ci z nas, którzy popełnili samobójstwo, są chyba najbardziej obrażani. Zauważyłam, że jedno, co nas łączy, to to, że chcielibyśmy żyć w taki sposób, żeby nie pozostawić po sobie tyle winy. Poczucie winy żywych ciąży na nas, zmarłych, dopóki nie znajdziemy sposobu, żeby je z siebie zrzucić, tak jak ptaki zrzucają pióra. Znaczą się nie zrzucamy. Zdajemy sobie sprawę, że pióra są nam potrzebne, żeby latać. Tak jak mówiłam, tok rozumowania zmarłych jest całkiem skomplikowany. Ochocho zamieniamy dwa minusy w plus.

Dzisiaj zajrzałam do mojej córki. Miała dziewiętnaście lat, kiedy odebrałam sobie życie. Dzisiaj ma lat czterdzieści pięć. Zobaczyłam ją w łóżku z inną kobietą, jak śmieje się moim dawnym śmiechem, szczęśliwsza niż przez ostatnie lata. Sprawiałam, że coś się stało w jej pokoju, wyglądała na zdziwioną i jak gdyby mnie szukała, tak jak często ją widywałam przez lata, kiedy udało mi się zostawić jej dziwny, drobny prezent w postaci rudzika lub czapli albo sopła w oknie, gęsięgo piórka, podwójnej tęczy czy pięknego, promiennego



porannego słońca na polu kukurydzy. Widziałam, jak się waha, a po chwili uśmiecha. Uśmiecha się szeroko, tak jak kiedyś ja, i w końcu poczułam się spełniona. Zdałam sobie wtedy sprawę, że trochę się oszukiwałam. Niedostatecznie doceniałam więzi łączące mnie wciąż z żywymi. Stałam się śmiertelnie niezależna. Ale dzisiaj zdałam sobie sprawę, że najsilniejsze i najwspanialsze uczucie, jakie można poczuć w Gdzie Indziej, to poczucie bycia tu i tam, w środku i na zewnątrz, na świecie i poza światem jednocześnie. Kiedy czujesz, że możesz brać udział, ale nie musisz. Radość, którą daje przemykanie przez granicę, kiedy idziesz sprawdzić, co u dawnych krewnych żyjących w miarę dobrze, to jedno z najwspanialszych uczuć, jakich tu doświadczysz. A zważywszy, że, tak jak powiedziałam, wszyscy składamy się z umysłu i ducha, ale nie ciała, te uczucia stanowią dla nas odpowiednik wyśmienitego posiłku, jak na przykład węgorz w galarecie, zapiekanka z tłuczonymi ziemniakami czy mielone mięso, w zależności od tego, co uwielbialiście i co pamiętacie z tego, co uwielbialiście w dawno już minionych czasach.

Powiem wam, jak wygląda to miejsce, żebyście nie musieli się go obawiać. My, zmarli, bardzo intensywnie postrzegamy barwy: wspaniałość światła, zapierający dech w piersiach, zachwycający róż zachodów słońca, słodką kojącą ciemność, delikatną miękkość świtu. Tak wiele jest tu do podziwiania i z tak wielu rzeczy można czerpać radość. Co dziwne, nawet uczucie tęsknoty za ukochaną osobą jest całkiem miłe, jako że my zmarli znamy prawdę: nas kocha się bardziej niż żyjących! Nasze przewinienia odchodzą w niepamięć, śmierć nas uszlachetnia. Nawet sąsiedzi, zapytani o nas po tym, jak nas zamordowano, mówią same miłe rzeczy. Nawet jak byliśmy utrapieniem, powiedzą: „To był naprawdę równy gość, cenił sobie prywatność”. Albo „widywaliśmy ją, jak odprowadzała dzieciaki do szkoły, zawsze miała dobre słowo dla każdego”. Oczywiście pochlebstwa prowadzą zmarłych donikąd! My naprawdę nie prosimy o wiele, tylko żeby żyjący otworzyli umysły, żeby tak samo pozytywnie jak o cechach indywidualnych, które niegdyś mieliśmy, myśleli o stanie, w którym się obecnie znajdujemy. Jeśli czegokolwiek się tu, w Gdzie Indziej, nauczyłam, to tego, że pieniądze nie liczą się za grosz, a życie i śmierć mają ze sobą więcej wspólnego, niż nam się może wydawać. Ja mogę tak dalej. Mogę tak w nieskończoność. I tu się różnimy, jak sądzę. Zmarli mogą tak w nieskończoność. Żywi, w pewnym momencie, muszą przestać.

*Wilki we mgle* Elizabeth Laird to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Red Wolves in the Mist* by Elizabeth Laird is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Elizabeth Laird

# Wilki we mgle

przełożył Mikołaj Gołębiowski

Wilk wyłonił się z mgły i ruszył w naszą stronę. Zwierzę było smukłej budowy, jednak ogon zwieńczony ciemniejszym odcieniem futra miało wyjątkowo gęsty. W przeciwieństwie do swojego szarego kuzyna z Europy ten osobnik był rdzaworudy, tak że wyraźnie odznaczał się na tle kredowej zielonej roślinności.

Przekląłam w duchu chmurę, która zawisła nad nami, gdy pięliśmy się przez pas jałowcowego i eukaliptusowego lasu zajmującego dolne obszary wysokiego płaskowyżu w etiopskim regionie gór Bale. Po chwili jednak mgła zaczęła opadać na tyle, że mogliśmy śledzić mozolną wędrówkę wilka przedzierającego się przez niezalesiony teren. Obrócił się i spojrzał na nasz land rover, potrząsając podłużnym łbem, jakby próbował wyteńczyć wzrok. Ziewnął i wciągnął cienki język z powrotem do pyska. Potem ruszył dalej.

– To młode – powiedział mój towarzysz Tsegaye. – Sierść zrobi się jeszcze bardziej ruda.

Wyszliśmy z samochodu i ruszyliśmy pieszo po gąbczastej ziemi podziurawionej norami golców piaskowych, głównego źródła pożywienia wilków. Z trudem nabierałam do płuc przeredzone powietrze. Wzdrygnęłam się od powiewu ostrego wiatru. Nad naszymi głowami krążył zawodzący orzeł.

Poza jego krzykiem jedynymi dźwiękami dobiegającymi do naszych uszu był chrzęst kroków stawianych na drobnych niebieskich, żółtych, białych i fioletowych afroalpejskich kwiatach i szeleszczenie taniego nylonowego anoraka Tsegaye'a. Nigdy jeszcze nie otaczała mnie tak głęboka cisza.

Schroniliśmy się przed wiatrem za wielkim głazem, który byłby w stanie osłonić krowę. Pokrywały go porosty: sztywne, żółto-zielone formy przywodzące na myśl koralowiec, płaskie jaskrawopomarańczowe kokardy i kępy zielonego mchu. Wyglądały jak rozbryzgana na kamieniu farba. Wgłębienia w ziemi za głazem zdradziły, w którym miejscu jakiś wilk przygotował sobie legowisko.

Po mgle nie było już prawie śladu, a nieco poniżej poziomu, na którym się znajdowaliśmy, można było dostrzec karawanę przechodzącą przez drogę, na której zostawiliśmy land rovera. Małe kasztanowe konie okryte szkarłatnymi czaprakami były objuczone białymi workami z ziarnem. Nie pasowały do tego księżycowego krajobrazu.

– Kupcy – rzucił Tsegaye. – To najwyżej położony szlak w Afryce.

Zaciągnął kołnierz anoraka tak, by ściślej przylegał do szyi. Włosy po bokach głowy miał wygolone, ale na górze pozostawił czuprynę czarnych loków. Jego skóra miała ciepły rdzawobrazowy odcień typowy dla etiopskiego górala.

Za karawaną przebiegł pies. Na jego widok Tsegaye pokręcił głową. Wiedziała, że choć zwierzę wyglądało niewinnie, oznaczało niebezpieczeństwo. Na całym świecie pozostało już mniej niż pięćset etiopskich wilków, zwanych również kaberu. Żyją jedynie w wysokich górach, w małych populacjach odizolowanych od siebie rozległymi połaciami niżej położonych obszarów. Żaden osobnik nie żyje w niewoli. Znakiem rozwoju Etiopii są pasterze szukający nowych, coraz wyżej położonych pastwisk. Do opieki nad swoimi stadami zabierają psy. To one przenoszą wściekliznę i nosówkę, które dla wilków stanowią główne zagrożenie. W przypadku epidemii znaczna część pogłównia pada w przeciągu roku.

Pomiędzy samymi mieszkańcami wsi a wilkami nie ma szczególnych animozji.

– Rolnicy doceniają pomysłowość kaberu polujących na golce – wyjaśnił mi Tsegaye. – Nie porywają im owiec jak szakale.

Mgła była już tylko wspomnieniem i mogłam wyraźnie dostrzec bezkres płaskowyżu stopniowo przechodzącego w oddalone szczyty górskie. Potężne, podobne do palm rośliny – lobelie – wyrastały ponad krzewami, jakby były ich strażniczkami.

Golce rozpierzchły się przed nami, gdy wracaliśmy do samochodu, a u każdego futerko przy ogonie nastroszyło się z zimna.

Tego ranka widzieliśmy jeszcze trzy wilki. Gdy tylko osuszyłam włosy po powrocie do stacji badawczej, doniosłam o tym z dumą doktor Karen Laurenson, która jako weterynarz pracowała przy projekcie ochrony wilków.

Placówka położona na stromym zboczu była długim budynkiem z pokrytą daszkiem werandą. W pracowni na gołych drewnianych ścianach poprzypinano mapy i arkusze z wykresami, a stół ugiął się od sprzętu laboratoryjnego, starych zeszytów, streszczeń prac, lampy naftowej i wazonu szkarłatnych kwiatów.

Naukowcy zaangażowani w projekt byli nadzwyczaj dynamiczni. Dla nich liczyły się jedynie wilki, niestraszne im były zimno, monotonia, niewygodna i mało urozmaicona dieta. Dowody ich wysiłków widoczne były w placówce: programy edukacyjne w okolicznych wioskach, plansze z informacjami dotyczącymi szczepienia psów, narodzin wilczych szczeniąt i przypadków zachorowań.

– Dobry dzień – oznajmiła Karen, gdy usiedliśmy przy oświetlonym lampą stole, by posilić się spaghetti. – Eve znalazła martwego konia.

– Umierał, więc skróciłam mu cierpienia. – Ładna blondynka Eve Pleydell z gracją nawijała makaron na widelec. – Uznałam, że może się przydać.

– Chcesz iść z nami wieczorem? – spytała mnie Karen. – Koń będzie przynętą na hieny. Potem sprawdzimy je pod kątem wścieklizny i nosówki. Możliwe, że przenoszą je tak jak psy. Zrobimy badanie przeciwciał.

Znaleźliśmy konia na pastwisku niedaleko małego miasteczka. Tam też często nocami pojawiały się hieny. Pick-up kołysał się na nierównej nawierzchni i zatrzymał się, kiedy jego reflektory natknęły się na ciemny kształt na ziemi – martwe zwierzę. Wokoło zebrała się już mała grupka ludzi. Eve przysłała tu wcześniej kogoś do pilnowania, a pozostali zapewne podeszli zobaczyć, co się dzieje.

Tsegaye i Idris (również zaangażowany w projekt) poświecili latarkami na truchło. Widok był okropny. Brzuch nabrzmiął, ze starych ran wylewała się ropa, na skórze pojawiły się grudy, z pyska wystawał język, a sterczące oko świeciło białością. Karen i Eve złapały za tylne nogi konia i obróciły go.

– Czy ktoś ma maczetę? – zapytała Karen. – Musimy odrąbać kilka kawałków.

Eve dobyła scyzoryk, rozcięła skórę przy stawie biodrowym i wetknęła palce w krwawy otwór. Zgromadzeni dokoła w przenikliwym zimnie mężczyźni, owinięci w białe, przywodzące na myśl całuny szale, skomentowali to głośnymi okrzykami, których, być może na szczęście, żadna z młodych kobiet nie zrozumiała.

– Dobra. Oderwijmy teraz nogę – nakazała Eve. Chwyciła ją i przekreśliła. Mięso rozerwało się z hałasem, a Eve odskoczyła do tyłu z nogą w ręku. Karen wyłowiła końską wątrobę i wprowadziła do niej anestetyk. Następnie wetknęła ją z powrotem do ciała zwierzęcia.

– Idris, mógłbyś powiedzieć tym ludziom, żeby sobie poszli? – zapytała.  
– Za chwilę zaroi się tu od hien.

Była pełnia, ale niebo przykryte było chmurami. Z miasteczka dochodziły dźwięki agregatu prądotwórczego. Szczekały psy, warczał silnik jakiejś ciężarówki.

Pomogłam Eve postawić na dachu głośnik. Karen załadowywała pistolet na środki usypiające. W ciemności migotały tylko pojedyncze światła odległych domów. Widziałam niewyraźne kształty wzgórz zatapiających się w horyzont na tle jasnego nieba, na którym delikatnym blaskiem świecił przesłonięty chmurami księżyc.

Karen i Eve pracowały niestrudzenie, przygotowując swój sprzęt. Latarki czołowe rozświetlały im mrok nocy. Nigdy wcześniej nie podejmowały się takiego zadania. Skrupulatnie jednak wszystko zaplanowały.

– Jak trafimy hienę, to robimy pomiary i wszystko, tak? – zapytała Eve.

– Tak – odparła Karen.

Głośniki były już podłączone.

– Załaduję tylko dwie strzałki – dodała, wkuwając strzykawkę we fiolkę z anestetykiem. – Idris, kazałeś im pójść? Robi się już tłoczno.

Idris z całą pewnością dobrze znał tych mężczyzn i bardzo dobrze pełnił rolę pośrednika. Z opanowaniem rozmawiał z nimi po cichu i odpowiadał na zadawane pytania. Wreszcie po paru wybuchach śmiechu i porozumiewawczych mruknięciach okazało się, że uprzejmość Idrisa popłaciła i gapie odeszli w ciemność.

– Usiądź z tyłu samochodu – doradziła mi Karen. – Jeśli będziemy na zewnątrz, hieny nie odważą się podejść.

Cofnęła samochód, przełożyła pistolet przez otwarte okno i wymierzyła w ciało konia. Obok niej siedziała Eve. Byłam wdzięczna Idrisowi i Tsegaye'owi za to, że usiedli po mojej prawej i lewej stronie, bo było już bardzo zimno, a poza tym ich potężne ciała oddzielały mnie od upiornej ciemności na zewnątrz. Eve wcisnęła odpowiedni przycisk na magnetofonie, do którego podłączone były głośniki na dachu, a powietrze przeszył ryk konającego zwierzęcia.

– Umierające gnu. Dostałam z Serengeti – wyjaśniła Karen.

A potem – oprócz tego mrozącego krew w żyłach zawodzenia – usłyszałam szydercze poszczekiwanie hien. Staralam się powstrzymać wzdrygnięcie, nie chcąc zdradzić zdenerwowania.

Wyjrzał księżyc. Dojrzałam kształt konia, ale nic poza nim.

– Ej! Co to? – spytała Eve.

– Cholera! Pies. Hieny nie podejda.

Idris natychmiast wyszedł z pick-upa, chcąc przepłoszyć psa, ale ten odskoczył, chwycił w zęby wątrobę służącą za przynętę i odbiegł.

– Chwilę potrwa, aż to odeśpi – powiedziała Karen. – Pewnie gdzieś w okolicy padł jeszcze inny koń. Powinno być już z tuzin hien. Trzeba by szkapinę jeszcze bardziej oddalić od miasteczka.

Wykręciła pick-upem tak, by Eve mogła się przechylić i zawiązać linę holowniczą wokół którejś z pozostałych nóg zwierzęcia. Samochód podskakiwał na rozległym terenie pastwisk, zostawiając ślady na trawie krótko przystrzyżonej przez krowie siekacze, a za sobą ciągnął upiorne szczątki konia. Wkrótce zatrzymaliśmy się na kolejny dłuższy postój.

Księżyc już w całości wyszedł zza chmur. W ciszy siedzieliśmy w land roverze i słyszeliśmy tylko ryki gnu nadawane z dachu i pojedyncze odgłosy nocnych ptaków. Czułam obecność rozczłonkowanego konia z poderżniętym gardłem i czekałam na niechybny straszny finał. Gdy wytężyliśmy słuch, doszło nas wreszcie coraz bliższe szczekanie hien. Krążyły wokół nas. Dało się wyczuć ich nerwowość i niepewność. Były za daleko, by do nich strzelić.

– Boją się – odezwała się w końcu Karen. – Nie podoba im się auto i zapach ludzi. Dajmy sobie na dzisiaj spokój.

– Wezmę jeszcze jedną nogę – rzuciła Eve. – Na pewno kiedyś się do czegoś przyda.

Nie ukrywam, że mi ulżyło. Miałam wokoło siebie kokon złożony z dwóch muskularnych Etiopczyków i siedziałam na tyle dużego pojazdu. Nic mi nie groziło, jednak pierwotny strach zjeżył mi włosy na głowie. Domyślałam się, jak musi wyglądać życie, gdy mieszka się w rozpadającym się domu ze ścianami z kruchych gałęzi i maty, za drzwi robią deski, a w ciemności na zewnątrz złowrogie bestie czyhają tylko na okazję, by mnie rozszarpać.

Minęło dziesięć lat, odkąd przyglądałam się wilkom na szczytach górskich i pracy zespołu ochronnego. Niewiele się zmieniło. Były jeszcze dwie epidemie wścieklizny, ale wilki wbrew wszystkiemu nie poddały się losowi. Każdy kolejny miot był coraz silniejszy.

Napisałam książkę dla dzieci o wilkach z Etiopii. Zatytułowałam ją *Red Wolf*. Wydano niewiele egzemplarzy. Często wspominam te smukłe, eleganckie stworzenia i dzielnych ludzi dokładających wszelkich starań, by zażegnawać potencjalne niebezpieczeństwa. Przy gwarze i zgiełku Londynu ich zimny, odległy świat poraża pięknem: to drogocenne, delikatne miejsce. Wilkom dni dalej mijają na tym, co robiły zawsze: polowaniu na pulchne ofiary, zalecaniu się do siebie, rodzeniu młodych i zajmowaniu się nimi. Dla nich dywanem są drobne, jasne kwiaty. Kłębiaste chmury na zmianę ukrywają wilki i pokazują je w pełnej krasie.

Wszyscy mamy swój udział w niedoli tych zwierząt. Zuchwale stawiam czoła siłom niszczącym planetę i sadzę w ogródku warzywa, a gazety oddaję na makulaturę, lecz mam marne szanse powodzenia. To zawsze będzie za mało.

Chcę, by wilki przetrwały. By przetrwał ich świat.



*Inne czasy, inne miejsca* Joan Lingard to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Other Times, Other Places* by Joan Lingard is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Joan Lingard

# Inne czasy, inne miejsca

przełożyła Martyna Skowron

Brat mojego męża odbiera nas samochodem, który matka kupiła mu w Toronto. Najpierw jedziemy na obrzeża miasta, na osiedle w radzieckim stylu. Szwagier chce pokazać nam swój dom. Przed nami wspinaczka na cztery kondygnacje nieoświetlonych schodów, ale wcześniej trzeba zabrać wycieraczki z auta. Przeworny zawsze ubezpieczony. Kradną tutaj wszystko. Nie można ich winić, mają w końcu tak niewiele. Mąż radzi mi trzymać się blisko ściany. W niektórych miejscach brakuje poręczy. Docieramy na najwyższe piętro, ledwo oświetlone przez świetlik. Mój wzrok przyciąga ziejąca w ścianie dziura. Szwagier wzrusza ramionami. W zeszły weekend była strzelanina. Myśli, że jego sąsiedzi mogą zajmować się handlem narkotykami.

Przyjmuje nas szwagierka. Wręczamy prezenty. Małe ozdobne puszkki herbaty, rajstopy, różne ubrania, kostki mydła, kilka radiomagnetofonów, buty dla wnuków – Clarksa, z prawdziwej skóry. Wszystko idealnie nada się na wymianę. Walizka męża jest już pusta. Ją też możemy zostawić.

Pokazują nam swoje dwupokojowe mieszkanie i opowiadają, jak przez wiele lat dzielili sypialnię z jej ojcem, aż do jego śmierci, podczas gdy ich dwie córki spały w salonie. Nie mają ciepłej wody. Żyją skromnie, z emerytury, bez żadnych oszczędności. On był anestezjologiem w szpitalu dziecięcym, ona – radiologiem. Zarobiliby więcej, gdyby jeździli na traktorach.

Po herbacie ruszamy dalej. Czeką nas wyprawa na wieś. Podróżujemy powoli. Drogi są pełne wybojów. Mało samochodów, zero autobusów. Na polach rdzewieją traktory, ale mamy lato, a łagodnie pofałdowany krajobraz wygląda sielsko i pięknie. Brzozy pokryte migoczącymi liśćmi przypominają

nam naszą piękną dolinę Speyside. Żywopłoty usiane są wielobarwnymi kwiatami. Ci ludzie kochają naturę. Mają do niej szacunek. Gdy wysiedliśmy z pociągu z Leningradu, krewni powitali nas z naręczami kwiatów.

W południe zatrzymujemy się przed kołchozem. Szwagierka konsultuje się ze mną łamanym niemieckim. Żadna nie mówi językiem tej drugiej, ale jakoś dajemy radę. Otwieram torbę, a ona wyciąga z niej puszkę herbaty. Czekamy na skąpanej w słońcu drodze, gdy szwagierka znika na tyłach dużego drewnianego budynku. Wraca z uśmiechem. Możemy zjeść lunch! Nie widzieliśmy żadnych restauracji, od kiedy wyjechaliśmy z miasta.

Siedzimy przy długim drewnianym stole na kozłach. Kołchoźnicy już jedzą. Maczają chleb w gęstej potrawce. Na widok nowych przybyszów nie zżera ich ciekawość. Szwagierka nalega, by podać nam jedzenie. Jesteśmy cenionymi gośćmi z luksusowego zachodu i nie można od nas wymagać, byśmy stali w kolejce po posiłek z kołchoźnikami.

Po jedzeniu, nim znów ruszymy w trasę, musimy udać się w ustronne miejsce. Szwagierka zaczyna nas z góry przeproszać. Wychodki czuć z od-dali, kojarzą mi się z polami kempingowymi na francuskich wsiach, gdzie lata temu spędziliśmy niejedne wakacje z dziećmi. Polewałam latryny szlauchem, żeby dzieci mogły do nich wejść. Tutaj nie ma szlauchów. Po wyjściu wycieram buty w trawę. Szwagierka znów przeprosza. Mówię jej, żeby się nie przejmowała, to żaden problem.

Jedziemy dalej.

Nasz cel znajduje się nie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów od miasta, ale gdy jesteśmy już na miejscu, mamy wrażenie, że jechaliśmy o wiele dłużej. Najpierw odwiedzamy małe miasteczko. Część starych drewnianych domów wciąż jest zamieszkana, choć wymaga naprawy. Całe państwo wymaga naprawy.

Dom stoi trzy kilometry za miasteczkiem. Rodzinny dom mojego męża, zaprojektowany przez jego ojca, który aż do drugiej wojny światowej był architektem miejskim stolicy. Po pierwszej inwazji sowieckiej uznano go za wroga ludu, jak każdego obywatela na wyższym szczeblu albo posiadacza ziemskiego. Musiał się ukrywać. Ojciec szwagierki, rolnik, został zesłany na Syberię. W roku 1944 mój teść zdecydował się opuścić kraj. Zabrał ze sobą żonę i czworo dzieci. Stali się uchodźcami, rzucało nimi po Europie jak

liśćmi na wietrze – to tu, to tam. Cztery lata później zacumowali w Kana-dzie. Najstarszemu synowi, który jest tu z nami dzisiaj, nie udało się uciec i skończył jako więzień na wyspie Sachalin.

Stoję w bramie i patrzę na dom: piękny, okazały budynek z żółtawego kamienia, z kolumnadowym portykiem i półokrągłym balkonem. Ogród jest zaniedbany, co martwi szwagierkę, która uwielbia sadzić kwiaty i uprawiać warzywa. W czasie okupacji dom został zarekwirowany. Zakwaterowano w nim sześć rodzin. Teraz są tu już tylko trzy, jedna na każdym piętrze. Szwagier nie zna lokatorów z piwnicy i parteru, ale kojarzy starsze małżeństwo z góry. Mężczyzna uczył matematyki w miejscowym liceum, jego żona była dentystką. Mieszkali tam przez cały czas.

Witają nas serdecznie. On prowadzi mojego męża do drugiego pokoju i pokazuje mu krzesło. Mówi, że jego zdaniem zostało zaprojektowane przez mojego teścia, i pyta, czy mój mąż chciałby je dostać. Jest trochę zawstydzony. Mój mąż przyjmuje krzesło, ale później oddaje je bratu. Wchodzimy do pracowni ich ojca. Jest zavalona meblami z różnych pokojów i kojarzy mi się z salą aukcyjną. Na ścianach jadalni pyszną się malowidła ścienne autorstwa jednego z najlepszych artystów, jakich wydała ta ziemia.

Wchodzimy do salonu. Proponują nam kawę, sok z brzozy, wino z mniszka – obydwu domowej roboty – i ciasteczka imbirowe. Gdy podnosimy kieliszki, by wypić za nasze zdrowie, mąż szepcze do mnie, że to były kieliszki do sherry jego matki. Są delikatne i kunsztownie wykonane. Przechodzi mnie dreszcz, ale gdy zerkam w bok, widzę, że mąż spokojnie sący wino. Utrata kieliszków do sherry była niczym przy tym, co przeszli.

Potem odwiedzamy cmentarz, na którym pochowano dziadków. To prawdziwy wiejski cmentarz z prostymi nagrobkami i kwiatami rosnącymi wokół grobów.

Wczesnym wieczorem wracamy do miasta. Zachodnie słońce otula wiejski krajobraz, pozłaca brzozowe listki. Ptaki śpiewają na całe gardła. Zanim szwagier odwiezie nas do hotelu, zatrzymujemy się jeszcze przy pomniku Wolności. Zatrzymuje się tu również para nowożeńców. Wsiadają z samochodu i kładą kwiatowy wieniec u stóp pomnika pod niewzruszonym spojrzeniem dwóch uzbrojonych rosyjskich żołnierzy. Ludzie są coraz odważniejsi. W powietrzu czuć już delikatny powiew rewolucji.

Nasz hotel to bezduszny, nowo wybudowany wieżowiec. Ale jest przyzwoity, a w toalecie można spuścić wodę. Wjeżdżamy windą na jedenaste piętro, przemknąwszy niepostrzeżenie przez drugie, na którym nie można wysiąść. Żaluzje są tam wiecznie zaciągnięte, a za nimi mężczyźni i kobiety zajmują się ściśle tajnymi sprawami. Gdy wyłaniamy się z windy, mijamy dwie kobiety za biurkiem. Wpatrują się w nas beznamiętnie. Nie pozostajemy im dłużni. Nasz powrót został zauważony. Wchodzimy do pokoju. Nie rozmawiamy o dniu na wsi, o wizycie w kołchozie czy w domu, w którym mój mąż mieszkał jako dziecko. Zostaliśmy ostrzeżeni. Pamiętaj, przezorny zawsze ubezpieczony. Wszędzie są pluskwy. Szwagier rozmawia o Sachalinie tylko na świeżym powietrzu, z dala od ścian.

To był rok 1989.

Hotel odnowiono, urządzono na zachodnią modę, a okna na drugim piętrze nie są już zasłonięte. Miasto kipi życiem dzięki restauracjom, eleganckim koktajlbarom i turystom, którzy mogą przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy im się żywnie podoba.

Szwagier leży na wiejskim cmentarzu; wdowa po nim zajmuje mieszkanie w mieście. Po rewolucji rodzina odzyskała dom. Szwagier i jego żona mieszkali tam przez kilka lat, ciesząc się ogrodem i wiejską sielanką. Lokatorzy zostali w piwnicy i na górnym piętrze. Zimą było tam nieprzyzwoicie zimno. Ogrzewanie było niewystarczające. Z balkonowej poręczy podpadały fragmenty. Dach wymagał renowacji. Rodzina nie mogła sobie pozwolić na remont. Dom, wraz z cennymi malowidłami ściennymi i większością wyposażenia, sprzedano spekulantowi. Wciąż się zastanawiam, czy kieliszki do sherry były wliczone w cenę.

*Wszyscy czekamy* Denise Mina to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*We Are All Waiting* by Denise Mina is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Denise Mina

# Wszyscy czekamy

przełożyła Katarzyna Jopek

Przez pierwsze półtorej godziny spędzone w kolejce jesteśmy bardzo zdenerwowani. Ciśniemy się jeden obok drugiego, nieufni wobec swoich sąsiadów. Mogą spróbować wślizgnąć się przed nas, jeśli nie będziemy wystarczająco czujni. Nie znamy kultury innych.

Przede mną stoi mężczyzna z kenijskim paszportem i małą kozią bródką. Jest wysoki, o głowę wyższy niż reszta z nas. Między nami, niedorzecznie blisko, stoi niska kobieta w niebieskim kaszmirowym szalu. Wygląda na wypoczętą. Nie widać po niej, że jest piąta nad ranem, a ona tkwi w kolejce, tej irytującej, dokuczliwej kolejce, pełnej ludzi, którzy od wielu godzin stoją wyprostowani, a w duchu odbywają już sprzeczkę z przedstawicielem linii lotniczych.

Z tyłu zaczyna krążyć plotka. Mąż mówi coś żonie w języku, który brzmi jak tamilski – ona zaczyna głośno protestować. Ludzie tłumaczą jego słowa – podobno przy okienku nikogo nie ma. Wszyscy stoimy w kolejce do pustego okienka, czekając, by zobaczyć się z kimś, kogo tam nie ma. Żadne z nas nie chce jednak odejść. Boimy się, że jeśli nie będziemy czekać, osoba stojąca za nami zajmie nasze miejsce w samolocie. Plotka dociera na początek kolejki i mężczyzna o łagodnym spojrzeniu kręci głową, uśmiechając się lekko – to nieprawda, przy ladzie ktoś jest; po prostu trzyma głowę nisko, nie podnosząc wzroku na zdenerwowane, wyczekujące twarze.

Kolejka wciąż nie posuwa się do przodu.

Można napić się wody. W poczekalni za rogiem są butelki z wodą, a także, o dziwo, zafoliowane pojedynczo kawałki ciasta owocowego. Rodziny mają

szczęście. Mogą wysłać kogoś po wodę i ciasto, podczas gdy samotni pasażerowie nie mogą nawet pójść do toalety, bo straciliby miejsce w kolejce.

Staruszka na wózku inwalidzkim zasnęła. Smutne kobiety trzymające śpiące dzieci mają obolałe ręce i plecy. Ich mężowie patrzą gniewnie w kierunku okienka, jakby samą siłą woli zdolni byli zmniejszyć dzielący ich od niego dystans.

Nic nie można zrobić.

Po naszej stronie olbrzymiego, wyłożonego białym marmurem pomieszczenia znajduje się sześć stanowisk; do sześciu lad po drugiej stronie, za pustym korytarzem odgrodzonym wysuwaną wstęgą, także czekają długie kolejki. Pozornie stojąc w miejscu, kolejki prą naprzód, milimetr na godzinę, poruszane siłą domysłów i nadziei. W korytarzu pośrodku stoi mężczyzna w garniturze i kieruje ludzi z powrotem do kolejek. Trzeba czekać.

– To śmieszne – oświadcza Amerykanin stojący dwie kolejki dalej.

Odchodzi, by poszukać lepszego rozwiązania, targować się lub grozić. Niecałą godzinę później pojawia się na końcu kolejki. Podjął ryzyko i stracił swoje miejsce.

– W życiu nie spotkałem się z taką fatalną obsługą – stwierdza stojący za nami mężczyzna.

Pochodzi z Glasgow. Jest wściekły. Zachowuje się w afektowany sposób. Rozglądam się i napotykam jego wzrok. Błąd.

– Nie będę już nawet lecieć do Brisbane – mówi mi. – Chcę przebukować lot i wracam do domu.

Uśmiecham się niezręcznie; udaję, że ze słuchawek na moich uszach płynie muzyka i go nie słyszę. Ze złości poczerwieniała mu skóra wokół oczu. Wokół bicepsa wije mu się plemienny tatuaż.

– Nawet p r z y g o t o w a n i a do tego urlopu to jedna wielka katastrofa.

Uśmiecham się ponownie i odwracam wzrok. Niska kobieta przede mną także się uśmiecha. Jest niziutka, niższa ode mnie. Ma śniadą cerę i wysokie kości policzkowe. Jest bardzo ładna.

– Czy czekała pani już długo, zanim przyszłam? – pytam w nadziei, że zacznie ze mną rozmawiać, a wzrok zdenerwowanego mężczyzny padnie na kogoś innego.

Jest tu od dwudziestu czterech godzin. Kolejka nie posunęła się wcale naprzód, od kiedy dołączyła do niej o drugiej trzydziści; teraz jest piąta.



Przyleciała z San Francisco, z Vegas. Musi dotrzeć do domu, do Nairobi. W poniedziałek zmarła jej siostra. Uśmiecha się, a jej oczy wilgotnieją, gdy o tym mówi. Mruga i zmienia temat.

Przeżywa żalobę zupełnie inaczej niż kobieta, która siedziała obok mnie w samolocie ze Szkocji, kobieta o imieniu tak starym jak ten kraj i twarzą tak znajomą jak twarz mojej matki. Jej mąż zmarł w wypadku samochodowym w zeszłym roku. Była w tym czasie w Yorkshire z dziewięcioletnim siostrzeńcem, który miał raka mózgu. W zeszłym tygodniu była na kolejnym pogrzebie. Wszyscy jej znajomi chorują na raka. Śmierć prześladowuje mnie na tym wyjeździe.

Zabijam czas, marudząc z moją owiniętą w szal znajomą. Co oni tam robią? Czy ktoś tu obsługuje? Narzekamy w imieniu innych – są tu kobiety i dzieci, ludzie na wózkach, starcy. Pokazujemy sobie nawzajem, że mamy dobry charakter, bo dobre kobiety nigdy nie skarżą się na własny los.

Obmyślamy zemstę. Ona już nigdy nie skorzysta z usług Dubai International. To nie wina terminalu, mówię, i dodaję, że n i g d y więcej nie polecę samolotem linii Emirates.

Nieprawda.

Jakiś animator kultury zarabiający nie więcej niż student lub małe wydawnictwo wykupi mi lot, a ja nie będę miała serca, by kazać im zmieniać linię. Nad Dubajem była straszliwa burza. Siła wyższa. Nikt nie ponosi za to winy.

Pracuje dla organizacji oferującej ubezpieczenia zdrowotne w Vegas; pytam ją o amerykańskie reformy polityki zdrowotnej. W jej głosie pobrzmiewa konflikt; cichym głosem mówi, że opieka zdrowotna jest lepsza w Kenii niż w Stanach. Gdy urodziła córeczkę, na sześć dni została w szpitalu, gdzie wszystkiego ją nauczylili. Jej przyjaciółki, które rodziły w Vegas, musiały opuścić szpital następnego dnia po porodzie, ponieważ nie było ich stać na dłuższy pobyt. Wszystkie wpadły w depresję.

Jest tu od dwudziestu czterech godzin, ale ma szczęście, bo jej siostrzenica pracuje dla tych linii lotniczych jako stewardesa. Dzwoniła do niej do Nowego Jorku i dostała dostęp do apartamentu dla obsługi. Przespała się na krześle, zjadła herbatniki i napiła się soku. Gdy przyszła tu po raz pierwszy, kolejki nie było. Powinna była zaczekać.

Mężczyźni stojący przed nami zmieniają pozycję i przez moment dostrzegam początek kolejki. Przed samym biurkiem, nachylając się ostentacyjnie, stoi

kobieta z farbowanymi na blond włosami. Śmieje się z czegoś z koleżanką. To jedyna osoba w kolejce, na której twarzy widać uśmiech.

Zmęczona, drobna kobieta w sari podchodzi do niewielkiego rozwidlenia w kolejce, z niecierpliwością patrząc na ladę. Na rękach trzyma śpiącą dziewczynkę, prawie tak dużą jak ona sama.

– Powinnyśmy pomóc tej kobiecie dostać się na początek kolejki – mówi moja znajoma z Nairobi/Vegas.

– Zdecydowanie – odpowiadam.

Ona nic jednak nie robi. Gdy występuję naprzód, mam świadomość, że tak właśnie wygląda całe moje życie – każda moja przyjaciółka była ode mnie ładniejsza i każda była biernym agitatorom. Jestem moralnym golemem. Brnę w tłum, gotowa wziąć na siebie gniew wszystkich, którzy stoją w kolejce.

– Przepraszam panią – odzywam się do kobiety z dzieckiem. – Czy pani jest sama?

Potwierdza skinieniem.

– Przepraszam – idiotka ze mnie. – Przepraszam, proszę pana?

Straszna idiotka. Kolejka jest wstrętna, a my wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

– Zastanawiam się, czy ludzie stojący z przodu mieliby coś przeciwko...

Dotykam łokci nieznanym, popełniając boleśnie znany błąd. Skończy się to krzykliwym sporem, być może w językach, których nie rozumiem.

– Czy przeszkadzałoby panu bardzo, jeśli ta pani zajęłaby miejsce na początku kolejki? Ma dziecko...

– Nie – mówi łagodnie kobieta. – Mój mąż... – wskazuje na dziwnego starszego mężczyznę w osobliwej bluzie w paski. Ten spogląda na nas w odpowiedzi.

– Och, myślałam, że jest pani sama.

– Nie, ale dziękuję pani. Mój mąż jest...

Jej mąż patrzy na nią ze złością, jakby robiła mu wyrzuty. Gestem pokazuje jej, żeby wróciła do krzeseł. Wślizguję się z powrotem na swoje miejsce. Każda przyjaciółka, jaką kiedykolwiek miałam, uśmiecha się do mnie i wiem, że jestem jej każdą przygłupią przyjaciółką. Odpowiadam uśmiechem.

Odwraca się do nas wysoki mężczyzna z kenijskim paszportem. Ma na sobie brązowy garnitur i kapelusz, a jego skóra ma kolor gorzkiej czekolady.

– Jest pani niezwykle uprzejma – mówi.

Rumienię się, bo starałam zachować się właściwie, ale zrobiłam z tego wielkie przedstawienie, a to gorzej niż nie starać się wcale. I dlatego, że jest taki przystojny.

Angela z Vegas/Nairobi i ja dostrzegłyśmy w sobie bratnie dusze i jesteśmy już bliskimi przyjaciółkami. Jej mąż jest hydroinżynierem. Przywykła do mieszkania w Vegas, lecz sama nie wybrałaby tego miejsca. Lubi Oregon, tak jak ja. Obie lubimy deszcz.

Trzymam jej miejsce, gdy idzie do łazienki, by się odświeżyć, a ona robi to samo dla mnie, gdy idę wysuszyć się do ubikacji.

Pod jej nieobecność widzę głowę mężczyzny podskakującą przed roześmianą blondynką. Ktoś rzeczywiście jest za ladą. Nic nie robi, ale jest. Mówię wszystkim, że go widziałam, lecz oni nie mogą go dostrzec. Niektórzy mi nie wierzą.

Po naszej stronie pomieszczenia rodzi się podejrzenie, że kolejki po drugiej stronie poruszają się naprzód. Niektórzy wyłamują się, opuszczają swoje miejsca i przechodzą na drugą stronę. Po jakimś czasie wracają na swoje wcześniejsze miejsca. Nikt nie oponuje.

Stoimy w kolejce od trzech godzin. Niektórzy szukają alternatyw dla biernego czekania. Zatrzymują przechodzące hostessy, w charakterystycznych mundurach i chustkach na głowę. Jak mamy dotrzeć tam, dokąd lecimy? Ludzie przedstawiają swoją sytuację, tłumacząc, czemu należy im się dodatkowa pomoc – muszą zdążyć na spotkanie biznesowe, wypełnić rodzinne obowiązki. Wściekły afektowany mężczyzna i tak spóźni się już na swój lot balonem nad Brisbane. Teraz nie ma już sensu lecieć. Ten urlop nie miał się udać. Już wcześniej wiedział, że nie powinien był jechać. Chce, by ktoś go o to zapytał. Nikt tego nie robi.

Jesteśmy tu od czterech godzin. Jej samolot odlatuje za dwie godziny, a przed nami jest siedem osób. Kiwam się ze zmęczenia. Bolą mnie nogi. Mam zaróżowione od stania łydki. Nigdy nie opuścimy tej kolejki.

Angela poznała swojego męża w Nairobi. Pokazuje mi zdjęcie na telefonie, otagowane „Nadziejacz”. Trochę mnie zawiodła.

Ma pięć siostr i czterech braci – jej ojciec starał się o chłopców, a wciąż trafiały mu się dziewczynki. Ona jest najmłodsza. Gdy była mała, siostra opowiadała jej przerażające rzeczy o chłopakach. Każdy jej chłopak przechodził

ciężkie chwile, gdy przychodził do niej do domu. Pokazujemy sobie zdjęcia na telefonach i udajemy wzajemne zainteresowanie naszymi dziećmi. Tak naprawdę na zmianę opowiadamy o własnych. Mówimy o tym, jak trudno jest być daleko od nich, o tym, jak teraz będzie się im pozwalać jeść pizzę każdego wieczoru i cały dzień oglądać telewizję. Obie cieszymy się jednak, że nie ma ich z nami tutaj, w kolejce.

Kolejka do lotów biznesowych posuwa się do przodu. Zawiadujący nią mężczyzna staje na jakimś pudle i woła do tłumu:

– Ktoś jeszcze do klasy pierwszej albo biznesowej?!

Nam nie pomoże, tylko pierwsza i biznesowa. Angela krzyczy, że to niesprawiedliwe. Dołączam się. Krzyczymy jeszcze długo po tym, jak mężczyzna opuścił swoje stanowisko i wyslizgnął się bocznymi drzwiami. Krzyczymy, że to niesprawiedliwe, że tyle czekałyśmy! Wygwizdujemy go. Nie jesteśmy już nawet złe. To tylko zabawa.

Wszędzie dookoła utworzyły się małe, osobliwe grupki. Otyły Afroamerykanin i wysoka, biała Afrykanerka w praktycznym obuwiu przynoszą sobie nawzajem wodę i ciasto. Mężczyzna robi wielką sprawę z tego, że z zasady nie jada ciast. Niech ona je zje. Dzwoni jej telefon; z pełnymi ustami mówi, że zaraz rozładuje się jej bateria i że nie potrzebuje teraz kierowcy, pojedzie prosto do Bangladeszu. Rozmowa została przerwana, a ona cmoka z dezaprobatą na swój telefon.

Gruby Amerykanin musi wkrótce dotrzeć na miejsce. Nie może się bardziej spóźnić.

– Dziękuję panu b a r d z o – słytać nagle.

To blondynka z początku kolejki. Została obsłużona. Kartę pokładową wetkniętą ma w paszport, który trzyma wysoko nad głową, przeciskając się z powrotem przez zbity tłum. Uśmiecha się. Wszystkie oczy w pomieszczeniu wpatrzone są w jej dokumenty. Słytać szmer podniecenia.

Drzwi prowadzące za ladę otwierają się i wchodzi starszy mężczyzna w wymiętym garniturze. Słyszymy dźwięk drukowania biletów i rozmów telefonicznych nieprzerwanie prowadzonych na głośniku. Starszy mężczyzna kłóci się z kimś przez telefon. Kolejka posuwa się do przodu.

Siostra Angeli miała pięćdziesiąt sześć lat, gdy zabił ją tętniak. Skarżyła się na ból głowy i zaraz potem zapadła w śpiączkę. Była operowana i za-

częła reagować na testy odruchów. Myśleli, że jej się poprawia, lecz lekarze przeoczyli kolejny wylew. Angela mówi, że się udusiła. Nie rozumiem tego, ale czuję, że niegrzecznie byłoby prosić ją o wyjaśnienia.

Pyta o moją pracę, a ja nie kłamię, jak zwykle; nie mówię, że jestem kelnerką czy nauczycielem akademickim – mówię jej, że piszę powieści kryminalne i komiksy. Lubi Danielle Steel, ale przeczyta jedną z moich książek i napisze mi o swoich wrażeniach. Może przyjedzie z rodziną do Szkocji. Może ja będę przejeżdżać przez Vegas podczas tournée i spotkamy się ponownie. Mam czterdzieści trzy lata i wiem, że już się nie zobaczymy. Ale wiem też, że obie szczerze mówimy, że byśmy tego chcieli.

Angela dostaje bilet do Nairobi. Musi bieć, by zdążyć na swój samolot, i żegnamy się ciepłym, serdecznym objęciem. Pytam o imię jej siostry i z konsternacją zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam go już, gdy je powtarzam.

Kolejka, w której stoi mężczyzna wybierający się do Brisbane, posuwa się szybko naprzód. Mężczyzna wyprzedza mnie. Gdy odchodzi ze swoją kartą pokładową, mówi mi, że jednak leci. Za kilka godzin ma lot i postara się dobrze spędzić czas. Wątpię w to.

Obsługuje mnie opryskliwy pomocnik – pomocnik, który w niczym nie pomaga, który był tu z nami cały ten czas, nie interweniując, nie pomagając. Nie patrzy mi w oczy. Wygląda na zmęczonego i zastraszonego.

Jestem mu przesadnie wdzięczna. Muszę jeszcze tylko poczekać siedem i pół godziny na kolejne połączenie. Mogę teraz wjechać długimi schodami ruchomymi do bezcłowych sklepów, siadać i sikać do woli, mogę pić gorącą kawę i jeść ciasto bez owoców i prawie kupić ozdobne upominkowe pudełko papierosów Double Happiness, myśląc, że to czekoladki.

Bardzo, bardzo panu dziękuję, mówię w euforii, ciesząc się, że już po wszystkim, nie wiedząc, że wyczerpany mężczyzna posłał mój bagaż do Mali.

*Saga Ragnara Eriksona* Michaela Morpurgo to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The Saga of Ragnar Erikson* by Michael Morpurgo is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Michael Morpurgo

# Saga Ragnara Eriksona

przełożyła Aleksandra Pastwa

*14 lipca 1965 roku*

Kiedy dzisiejszego ranka wpłynąłem na wody Arnefjordu, z podziwem patrzyłem wokoło na piętrzące się masywy górskie, czarne, nieruchome odmęty, powitalną eskortę morświnów oraz krzyczące ostrygojady, i za nic nie mogłem zrozumieć, czemu Wikingowie kiedykolwiek chcieli opuścić to miejsce.

Było piękne ponad wszelkie wyobrażenie. Czemu ktokolwiek miałby porzucić ten raj, by mierzyć się ze stalowoszarymi głębinami Morza Norweskiego i podróżą w nieznane, kiedy to wszystko jest na wyciągnięcie ręki?

Niewielka wioska na końcu fiordu zdawała się z początku zbyt piękna, by była prawdziwa – kilka domków z szalowanych desek przycupnęło wokół nabrzeża, większość z nich pomalowana na czerwonobrunatno. Na szczycie wzgórza za nimi stał prosty drewniany kościółek z elegancką, ostrą niczym dobrze zatemperowany ołówek, iglicą i zadbanym cmentarzem otoczonym białym płótem. Zdawało się, że na prawie każdym grobie były kwiaty. Mały, krępy szetland pasł się na łące poniżej.

Łódź rybacka cumująca przy nabrzeżu swoje najlepsze lata z pewnością miała już za sobą. Kiedy się zbliżyłem, spostrzegłem, że wioska też nie jest tak dobrze utrzymana, jak mi się z początku wydawało. W niektórych miejscach z domów zlażyła farba, tu i ówdzie brakowało dachówki, a kilka okien zabitych było deskami. Wioska nie była opuszczona, ale sprawiała wrażenie zaniedbanej i jakiejś takiej smutnej.

Gdy podpłynąłem na silniku, coś w wyglądzie wioski sprawiło, że zacząłem czuć się nieswojo. W pobliżu nie było żywej duszy. Tylko kuc. Z kominów nie unosił się dym. Nigdzie nie suszyło się pranie. Nikt nie wędkował przy brzegu, ani jedno dziecko nie bawiło się na drodze ani przed żadnym z domów.

Zawołałem w stronę łodzi z nadzieją, że ktoś jest na pokładzie i powie mi, gdzie mogę przycumować. Nikt nie odpowiedział. Zacumowałem więc przy nabrzeżu i wyskoczyłem na ląd. Szukałem jakiejś kawiarni, gdzie mógłbym się napić, a może nawet zjeść coś ciepłego. Przydałby się również sklep. Zostało mi już niewiele wody, na pokładzie brakowało też piwa i kawy.

Niemal od razu znalazłem miejsce, które wyglądało na sklep. Zajrzałem przez okno. Stoły i krzesła były porozstawiane. Z jednej strony był bar, z drugiej zaś zauważyłem mały sklepik z półkami pełnymi puszek. „Całkiem niezłe” – pomyślałem. W środku nie widziałem jednak żywej duszy. Naciśnąłem klamkę i, ku memu zdziwieniu, drzwi okazały się otwarte.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Pomieszczenie służyło za sklep, kawiarnię, nocny klub, urząd pocztowy – wszystko naraz. W kącie stała szafa grająca Wurlitzer, a dalej po tej samej stronie, naprzeciwko baru, mieściły się poczta i sklep. Było też pianino, zaraz obok lady pocztowej. Na wierzchu leżały otwarte nuty sonaty Beethovena.

Zawołałem, ale nadal nikt się nie zjawiał. Wyszedłem więc i ruszyłem drogą na wzgórze, w stronę kościoła, zatrzymując się, by pogłaskać kuca. Spytałem go, czy nie jest tu samotny, ale najwyraźniej uznał, że to głupie pytanie, bo oddalił się, machnąwszy ogonem.

Drzwi kościoła były otwarte, wszedłem zatem i usiadłem, wdychając panującą w środku atmosferę spokoju, starając się jednocześnie odpędzić myśl, że to miejsce to jakaś wioska-widmo. To absurd, wiedziałem o tym, czułem jednak wzbierający we mnie strach.

Wtem, wprost nade mną, z iglicy, zabrzmiał donośny dźwięk dzwonu. Dwanaście uderzeń. Słyszałem, jak serce dudni mi w piersi. Gdy ucichły ostatnie echa, usłyszałem, jak ktoś kaszle i mamrocze pod nosem. Zdawało mi się, że dźwięk dobiega z góry, z balkonu za moimi plecami. Odwróciłem się.



Staliśmy przez jakiś czas, patrząc na siebie w milczeniu. Odniosłem wrażenie, że był tak samo zdziwiony moim widokiem, jak ja jego. Zszedł po schodach i ruszył wolno nawą w moim kierunku.

Dziwaczne oczy miał ten mężczyzna – niezwykle jasne, zupełnie jak jego włosy. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, ale był nieco zapuszczony, tak samo jak wioska.

– Jak tak na pana patrzę – zaczął – powiedziałbym, że jest pan Anglikiem.

– Zgadza się – odparłem.

– Tak myślałem – pokiwał głową, po czym kontynuował: – Dzwonię codziennie w południe. Zawsze to robię. Żeby przywołać ich z powrotem. Kiedyś wrócą. Zobacz pan, wrócą.

Nie chciałem pytać, kogo miał na myśli. Pomyślałem najpierw, że może ma trochę nie po kolei w głowie.

– Potrzebuje pan miejsca do spania, młody człowieku? Mam aż dwanaście domów do wyboru. Chce się pan pomodlić? Jest i kościół. Zjadłby pan co, wypił? To też się znajdzie. Tak, trochę pan błady. Chyba potrzeba panu czegoś mocniejszego. Chodźmy.

Po wyjściu z kościoła zatrzymał się, by uścisnąć mi dłoń i przedstawił się jako Ragnar Erikson. Gdy schodziliśmy ze wzgórza, opowiadał, kto żył w każdym mijanym przez nas domu – tu kuzyn, tam ciotka – kto hodował najlepsze warzywa w wiosce i kto najlepiej grał na pianinie. Mówił tak, jakby ci ludzie nadal tu żyli, co wydawało mi się niezwykle dziwaczne, bo było już dla mnie całkiem jasne, że w żadnym z domów nikt nie mieszkał. Zauważyłem, że prowadzi mnie tam, gdzie już wcześniej byłem – do domu będącego jednocześnie wioskowym barem, pocztą i sklepem.

– Puścić coś z Wurlitzera? – zapytał. – Dalej, co tylko pan chce: *A Whiter Shade of Pale*, *Sloop John B*, *Rock Around the Clock*. Pan wybiera. Za darmo, nie potrzeba monet.

Wybrałem *A Whiter Shade of Pale*, on zaś poszedł za bar i nalał mi piwa.

– Niewiele osób ostatnio tu zagląda – powiedział. – A ja mieszkam tu teraz sam, więc nie trzymam zbyt wiele w barze czy sklepie. Za to złowiłem dziś małego łososia. Będzie jak znalazł na kolację, do tego trochę sznapsa. Zostanie pan na kolację, prawda? Musi pan mi wybaczyć – dużo gadam, w większości

do siebie, dlatego kiedy mam do kogo gębę otworzyć, nadrabiam stracony czas. Nie było tu nikogo co najmniej od miesiąca.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zbyt wiele w tym wszystkim sprzeczności, wszystko to było jakieś dziwne. Pragnąłem spytać go, dlaczego wioska była opuszczona i czy w tych domach naprawdę ktoś kiedyś mieszkał. I dla kogo bije w kościelny dzwon? Nic nie miało sensu. Nie mogłem jednak zdobyć się na to, żeby zapytać. Zamiast tego nawiązałem uprzejmą rozmowę.

– Świetnie pan mówi po angielsku – powiedziałem.

– To dlatego, że dawniej z ojcem często pływaliśmy na Szetlandy. Musieliśmy więc mówić po angielsku. Co rusz tam podróżowaliśmy.

– Tą łodzią rybacką zacumowaną przy nabrzeżu? – spytałem.

– To nie łódź rybacka, tylko zaopatrzeniowa. Zabieram zaopatrzenie do wiosek leżących nad fiordem. Bo widzi pan, nie ma tu drogi, więc wszystko przewozi się łodzią, nawet pocztę. Wobec tego jestem też listonoszem.

Po kilku piwach zabrał mnie na zewnątrz, z powrotem na nabrzeże, żeby pokazać mi łódź. Gdy weszliśmy na pokład, poczułem, że to łódź z rodzaju takich, którym nie straszny żaden sztorm. Nie miała być szybka, ale wytrzymała. Zbudowana była tak, by podskakiwać na falach w górę i w dół jak korek i płynąć dalej. „Łódź pasowała do mężczyzny” – pomyślałem. Staliśmy razem w sterówce i wiedziałem, że chce coś powiedzieć.

– W mojej rodzinie – rzekł – mieliśmy dwie łodzie. Prócz tej jeszcze jedną, dokładnie taką samą. Jedną zrobił ojciec, drugą ja. To jest stara łódź, łódź mojego ojca. Zbudował ją własnoręcznie, zanim się urodziłem i, jak przed nami Wikingowie, popłynęliśmy nią na Szetlandy. My jednak nie płynęliśmy rabować jak oni. To było w czasie wojny, kiedy Niemcy okupowały Norwegię.

Zabieraliśmy uchodźców przez Morze Norweskie na Szetlandy, często po dwadzieścia osób naraz, ukrytych pod pokładem. Czasem byli to Żydzi uciekający przed nazistami, czasem piloci zestrzelonych samolotów, komandosi, którym dawaliśmy schronienie, czasem też agenci wywiadu. Piętnaście razy płynęliśmy w tę i z powrotem i nie daliśmy się złapać. Naprawdę, szczęście nam sprzyjało. To szczęśliwa łódź. Druga, ta, którą zbudowałem ja, nie była już tak szczęśliwa.

Ragnar Erikson nie był mężczyzną z rodzaju tych, którym można przerwać czy zadać pytanie, ale tego wieczoru w jego cieplej kuchni podczas kolacji

składającej się ze śledzia i łososia, cały czas zastanawiałem się nad losem drugiej łodzi. Nadal też nie ośmieliłem się poruszyć tematu, który nurtował mnie najbardziej – dlaczego nikt prócz niego tu nie mieszkał. Gdy zamilkł, poczułem, że chce się oddać rozmyślaniom, więc właściwy moment nigdy nie nadszedł.

Jednak po kolacji, przy kominku, zaczął wypytywać mnie szczegółowo o to, dlaczego przypląnąłem do Norwegii, o to co robiłem w życiu. Dobrze się z nim rozmawiało, gdyż to, co mówiłem, zdawało się szczerze go ciekawić. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że opowiadam mu o wszystkim: jak, mając trzydzieści jeden lat, zostałem sam na świecie, jak moja matka zmarła, gdy byłem mały, i że kilka miesięcy temu odszedł też mój ojciec. Uczyłem w szkole, ale wcale nie byłem pewny, czy nadal chcę to robić.

– Ale czemu przybył pan tutaj? – zapytał. – Czemu akurat Norwegia?

Powiedziałem mu więc, jak to kiedy byłem chłopcem, miałem obsesję na punkcie Wikingów – uwielbiałem pełną przygód historię o Beowulfie i Grendelu, nauczyłem się nawet czytać runy. Moim życiowym marzeniem było odwiedzić kiedyś Norwegię. Jednak to, że zjawiłem się akurat tutaj to przypadek – szukałem po prostu dobrego, osłoniętego miejsca, gdzie mógłbym zacumować na noc.

– Cieszę się, że pan tu jest – powiedział po chwili. – Jak mówiłem, nikt tu ostatnio nie zagląda. Ale oni się zjawiają, na pewno.

– Kto taki? – spytałem bez namysłu i od razu pożałowałem, widząc jak zmarszczył czoło, patrząc na mnie nagle dość surowo, i przestraszyłem się, że może go uraziłem.

– Ktokolwiek to będzie, będzie mi rodziną i przyjaciółmi, tyle wiem – rzekł. – Zamieszkają w domach, gdzie kiedyś mieszkali pozostali, gdzie nadal żyją ich dusze.

Po tonie jego głosu poznałem, że to dłuższa opowieść, i że może ją zdradzi, jeśli tylko będę cierpliwy i nie będę naciskał. Milczałem więc w oczekiwaniu. I bardzo się cieszę, że tak zrobiłem. Kiedy wreszcie odezwał się ponownie, opowiedział mi całą historię: o opuszczonej wiosce, o drugiej łodzi – łodzi, o której mówił, jakby była przeklęta.

– Pewnie chce pan wiedzieć, czemu jestem tu sam jak palec? – zapytał, patrząc prosto na mnie. Wyglądało, że musiał zebrać w sobie całą odwagę, zanim mógł kontynuować.

– Powinienem sam też wybrać się na wesele, razem ze wszystkimi z wioski, ale nie chciałem. To było zaledwie we Flam, kawałek dalej, na północ stąd, nie tak daleko. Chodzi o to, że odkąd tylko pamiętam, kochałem się w pannie młodej, była miłością mego życia, zawsze jednak byłem zbyt nieśmiały, żeby to wyznać. Przyglądałem się jej za każdym razem, gdy wybierałem się do Flam po zaopatrzenie, spotykałem się z nią, gdy tylko mogłem, chodziliśmy razem pływać, zbieraliśmy jagody, chodziliśmy po górach, ale nigdy nie powiedziałem jej, co czuję. A teraz miała poślubić innego. Nie chciałem tam być, proste. Tego dnia mój ojciec zastąpił mnie więc jako szyper na mojej łodzi. Na pokładzie było czternaście osób – wszyscy mieszkańcy wioski z wyjątkiem mnie i dwóch sióstr, starych panien. Wszystkie robiły razem, te dwie. Jedna była zbyt chora, żeby jechać, więc druga nalegała, że zostanie, by się nią zająć. Patrzyłem, jak łódź niknie w porannej mgle. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem, jak i tych na pokładzie.

Do dziś nikt nie wie, co tak naprawdę się stało. Wiadomo jednak, że wczesnym wieczorem, kiedy wesele już się skończyło, osunęły się skały, potężna lawina zmiotła zbocze do fiordu, wywołując olbrzymią falę pływową. Ludzie oddaleni o całe mile widzieli ją i słyszeli. Nikt nie widział, żeby łódź poszła na dno, ale tak właśnie musiało być.

Przez kilka następnych lat razem z dwiema starymi siostrami dbaliśmy o wioskę. Kiedy umarli – w odstępie kilku dni – pogrzebałem je na cmentarzu. No i zostałem sam. Na początku bardzo często myślałem, żeby odejść, ale ktoś musiał porządkować groby i bić w kościelny dzwon, więc zostałem. Łowiłem ryby, trzymałem też w owym czasie kilka owiec. Miałem własnego konia. Nauczyłem się żyć w samotności.

Odkryłem, że jedno trzyma cię przy życiu, kiedy jesteś sam – robota. Toteż każdego dnia robię coś przy domach: latem otwieram okna, żeby wywietrzyć, zimą palę w kominie, żeby się nagrzało, maluję ramy okienne i drzwi, naprawiam, co się da – żeby były gotowe na dzień ich powrotu. Zawsze jest coś do zrobienia. Wiem, że z upływem lat wygląda to coraz mniej porządnie, ale robię, co mogę. Muszę. Oni nadal tu mieszkają, cała moja rodzina i przyjaciele. Czuję ich obecność wszędzie wokoło. Czekają, i ja czekam, na innych, którzy do nich dołączą.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

– Spokojnie, młody człowieku – odparł, śmiejąc się lekko. – Nie postradałem zmysłów, nie całkiem. Wiem, że zmarli nie wrócą. Ale wiem, że ich dusze żyją. Wiem też, że, jeśli tu zostanę, jeśli nadal będę bił w dzwon, pilnował, żeby w domach było sucho, pewnego dnia ktoś odnajdzie to miejsce, przybędzie tu i zamieszka. Ludzi z pobliskich wiosek to miejsce nadal przeraża. Myślą, że wioska jest przeklęta. Mylą się jednak. To łódź była przeklęta, powtarzam im, nie wioska. W każdym razie nie przychodzą. Większość tak się boi, że nawet mnie tu nie odwiedza.

Mówią, że wioska umiera i wkrótce jej czas się skończy. Ale to nieprawda, tak się nie stanie, póki ja tu jestem. Pewnego dnia ktoś przybędzie i wioska znowu odżyje. Jestem tego pewien.

\*

*Ragnar Erikson zaoferował mi tej nocy łóżko w swoim domu, lecz odpartem, że moja łódź w zupełności mi wystarczy. Wstyd się przyznać, ale po usłyszeniu tej historii po prostu nie chciałem zostać tam ani chwili dłużej. Zbyt łatwo było uwierzyć, że miejsce to – jakkolwiek wyglądało jak z bajki – było przeklęte. Nie starał się mnie przekonać. Jestem pewien, że instynktownie wiedział, co czuję. Powiedziałem, że muszę wstać wczesnym rankiem i obawiam się, że mogę go już więcej nie zobaczyć. Odparł jednak, że na pewno wyjdzie mi na pożegnanie i dotrzymał słowa. Zjawił się na nabrzeżu o pierwszym brzasku. Wymieniliśmy serdeczny uścisk dłoni – przyjaciele przez zaledwie jeden dzień – czułem jednak, że skoro opowiedział mi swoją historię, w jakiś sposób zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie. Poprosił, bym wrócił kiedyś i odwiedził go ponownie, jeśli kiedykolwiek będę w pobliżu. Mimo że powiedziałem, że tak uczynię, wiedziałem, jak wielce to było nieprawdopodobne. Ale, choć od tamtego czasu tyle mnie spotkało, nigdy nie zapomniałem sagi Ragnara Eriksona. To historia, którą lubię często opowiadać mojej rodzinie i przyjaciołom.*

*1 sierpnia 2012 roku. Północ*

Dziś wróciłem do Arnefjord. Minęło ponad czterdzieści lat i często o tym marzyłem, zastanawiając się, co stało się z Ragnarem Eriksonem i jego umierającą wioską. Tym razem zabrałem ze sobą rodzinę, także wnuki,

ponieważ nieważne jak często nie opowiadałbym im tej historii, zdaje się, że nigdy tak do końca mi nie uwierzyli.

U wejścia do niewielkiego fiordu wyjąłem na wierzch lornetkę i od razu zauważyłem wioskę. Wszystko było jak dawniej. Nawet łódź zacumowana przy nabrzeżu, z pokładem – o ile mnie wzrok nie mylił – świecącym pustkami. Z kominów nie unosił się dym; kiedy przybiliśmy do brzegu, nikt nie wyszedł nas powitać. Poszedłem w kierunku wioskowego sklepiku, wnuki rozbiegły się po wiosce szczęśliwe, że znów znalazły się na brzegu, fikały wokoło jak kózki, przyzwyczajając się znów do stałego lądu.

Wtem, gdy zbliżałem się do kościoła, zobaczyłem idącą w moją stronę matkę ze spacerówką.

– Pani tutaj mieszka? – spytałem.

– Tak – odparła i pokazała swój dom. – O tu.

Podbiegła do mnie wnuczka.

– Dziadku, ja wiedziałam! – zawołała. – Wiedziałam, że to tylko opowiadka. Oczywiście, że mieszkają tutaj ludzie. Widziałam ich bardzo, bardzo dużo.

I miała rację. Nieopodal tylnego wejścia świeżo odmalowanego domu leżał zabawkowy traktor; słyszałem też krzyki dzieci dochodzące z oddali, od strony morza.

– Co to za opowiadka? – spytała matka.

Opowiedziałem więc, jak przybyłem tu ponad czterdzieści lat temu i spotkałem Ragnara Eriksona, który w tamtym czasie był jedynym mieszkańcem wioski.

– Stary Ragnar – powiedziała z uśmiechem. – Jest teraz na cmentarzu.

Musiła zauważyć wyraz mojej twarzy.

– Nie, nie – powiedziała. – Nie to miałam na myśli. Nie umarł. Oporządza kwiaty. Nie byłoby nas tu, gdyby nie on. Ragnar uratował tę wioskę. Ragnar i droga.

– Droga? – spytałem.

– Piętnaście lat temu zbudowano tu drogę i nagle wioska stała się miejscem, do którego można było przyjechać, w którym można było zamieszkać. Ale nie byłoby żadnej wioski, gdyby Ragnar odszedł, wszyscy to wiedzą. Mieszkamy tu teraz w szesnaście osób – sześć rodzin. Ragnar jest już stary i nie słyszy zbyt dobrze, ale nadal ma dość sił, by wspiąć się na wzgórze i bić

w dzwon. To jego dźwięk przywiódł nas z powrotem – powiada. I wciąż lubi dzwonić każdego dnia. Takie przyzwyczajenie – mówi.

Wspiąłem się na wzgórze z moją wnuczką, która wybiegła naprzód, wdrapała się po schodach i weszła do kościoła. Wyszła trzymając za rękę starego mężczyznę.

– Powiedziała, kim pan jest. Ale i tak bym pana rozpoznał. Wiedziałem, że pan wróci, nie ma co. Musiał pan słyszeć dźwięk dzwonu. Jeśli dobrze pamiętam, lubił pan *Whiter Shade of Pale* z Wurlitzera. I piwo. Pamięta pan?

– Pamiętam – powiedziałem. – Pamiętam wszystko.

*Ważne pytanie* Gartha Nixa to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The Big Question* by Garth Nix is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Garth Nix

# Ważne pytanie

przełożył Antoni Kaja

Dawno temu – podług ludzkiej miary czasu, gdyż nie na tyle dawno, aby na niebie zmienił się układ gwiazd lub skały obróciły w proch – pewien młodzieniec opuścił dom i udał się na polowanie w góry wznoszące się ponad wioską. Miał ze sobą dwie włócznie oraz nóż. Jedna włócznia była krótsza, przeznaczona do rzucania – to nią właśnie polował. Druga z nich, ta dłuższa, służyła do walki w razie napotkania nieprzyjaciół, choć nikt z wioski nigdy nie napotkał, ani nawet nie widział, jakichkolwiek nieprzyjaciół. Zresztą młodzieniec nigdy w życiu nie widział nikogo obcego, słyszał jedynie legendy o przybyszach, którym dawno temu udało się jakimś cudem wspiąć do jego domu, sekretnej doliny na wysoczyźnie, wtulonej pomiędzy trzy szczyty.

Dwa z nich były wiecznie ośnieżone oraz skute lodem. Trzeci, ustępujący im wzrostem, pokrywał las, wyrastający z samego dna doliny i ciągnący się niemalże po zmrożony czubek góry, pograżonej w cieniu wyższych towarzyszy. Gęstwina pełna była łownej zwierzyny, której mięsem można było zaspokoić głód.

Kiedy młodzieniec – zwany przez swoich Avelm – oskórowywał zdobycz, przyłapał się na spoglądaniu ze zbocza na kobierzec chmur, który oddzielał świat powyżej od tego leżącego w dole. Zastanawiał się, co też kryje się poniżej. Czy były tam zwierzęta, na które mógłby zapolować? A może inni ludzie? Czy polowali oni na jelenie, spożywali sarninę i hodowali kukurydzę?

Tej nocy spytał matkę, najmądrzejszą osobę, którą znał, jak wygląda świat poza ich doliną.

– Nie wiem, Avelu – odparła. Po czym zastanowiła się przez chwilę i dodała: – Kiedy byłam małą dziewczynką, żyła tutaj stara wieszczka... a może

wieszcz o kobiecym głosie... która mieszkała w grocie opodal wielkiego wodospadu. Moja matka twierdziła, że ta wieszczka posiada wiedzę na temat świata zewnętrznego. Nie myślałam o niej przez te wszystkie lata, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Może jeśli się do niej udasz, uzyskasz odpowiedź na swoje pytanie.

Avel pokiwał głową. Wielki wodospad znajdował się cztery dni drogi stąd, u stóp doliny. Długa droga tylko po to, by zaspokoić ciekawość.

– To nie jest aż tak ważne – stwierdził, tuląc do siebie matkę.

A jednak nie był w stanie o tym zapomnieć. Za każdym razem, kiedy udawał się na polowanie i spoglądał z wyższych zboczy na spowite chmurami ziemie w dole, zastanawiał się, co tam się znajduje. Wreszcie zdecydował się udać do wieszczki znad wielkiego wodospadu i zadać jej swoje pytanie.

Wyruszył następnego dnia tuż po świcie, żegnając się z matką, braćmi oraz siostrami. Przygotowywali się oni właśnie do codziennych obowiązków: plewienia pól kukurydzianych, łowienia ryb w rzece, a także – w wypadku jego drugiego pod względem starszeństwa brata, który miał chwilowo przejąć jego obowiązki – polowania.

Inni mieszkańcy wioski machali do niego lub wołali za nim, kiedy schodził w dół tarasowego wzgórza poniżej domu. Wszyscy lubili Avela, bo był budzącym sympatię młodzieńcem, a także dobrym myśliwym, gotowym podzielić się zdobyczą, gdy mięsa dla jego rodziny starczało aż nadto.

Do wodospadu dotarł trzy dni później. Podróż nie sprawiła mu problemu, jako że schodził w dół wzgórza i tylko co jakiś czas musiał zatrzymać się na polowanie lub aby zebrać coś do jedzenia. Służyła mu dieta złożona z królików, jagód oraz korzonków, a samotne noce z dala od rodzinnego zgiełku były całkiem przyjemne.

Wodospad stanowił granicę świata znanego Avelowi. Tu rzeka rozszerzała się, zbliżając się do skraju potężnego urwiska skąd rzucała się w dół, wprost w osnute chmurami ziemie poniżej masywu.

Jaskinia, o której mówiła matka, znajdowała się tuż pod urwiskiem, na samej krawędzi wodnej kaskady. Avel szybko znalazł w miarę łatwe przejście wzdłuż linii stromizny. Jednak ścieżka wiodła wąskim i bardzo stromym występem. Łatwo było stąd spaść, a poniżej czekały jedynie obłoki.

Nie zważając na to, młodzieniec podążył nią ostrożnie, wciąż trzymając się skalnej ściany. Udało mu się dotrzeć do celu bezpiecznie, akurat gdy słońce znalazło się na wprost urwiska.

Mając się na bacności, wkroczył do jaskini i oparł włócznie o ścianę, jak wymagał obyczaj. Wewnątrz było sucho, a grunt pokrywało sitowie nie starsze niż tydzień. Wchodząc w głąb, Avel wyczuł dym, a następnie ujrzał płonący na podwyższonej platformie ogień, z którego poprzez dziurę w sklepieniu uchodził dym.

Obok ogniska, na posłaniu z króliczych skór spoczywała bardzo, ale to bardzo stara kobieta. Jej długie siwe włosy spływały aż do ziemi, a sękatę, poskręcane dłoń trzymała złożone na piersi. Oczy miała zamknięte, tak że Avel nie był w stanie stwierdzić, czy żyje.

– Halo! – zawołał, jednak nie otrzymał odpowiedzi. Postąpił parę kroków w przód. Przypomniały mu się opowieści o zjawach i duchach, cieni w grocie zaś nie były w stanie rozgonić ani płomień, ani nikłe światło dnia. Na dodatek nie wszystkie wyglądały jakby przynależały do tego miejsca, nie poruszały się też tak jak powinny w migotliwym blasku płomieni lub gdy blakły na moment promienie słoneczne.

Nagle jedna z dłoni staruszki poruszyła się. Avel podskoczył. Serce zabiło mocniej w jego piersi. Wciąż nie wypowiadając choćby słowa, kobieta dała znak, aby podszedł. Posłuchał, choć tak naprawdę pragnął obrócić się na pięcie i uciec.

– Wiedziałam, że przyjdiesz. Zajmij moje miejsce. Masz moje błogosławieństwo.

Ponownie uniosła dłoń, a potem zarzęziła, jej oczy utraciły blask i jedna z powiek opadła w połowie.

Wieszczka znad wodospadu umarła, zanim Avel mógł zadać jej swoje pytanie.

Wzrok młodzieńca skierował się ku cieniom. Zdawały się one gęstnieć i przybliżać. Nie wiedział, co powinien uczynić. Staruszka powiedziała, żeby „zajął jej miejsce”, lecz on nie był wieszczem, nie wiedział nic poza zwyczajnymi rzeczami znanymi wszystkim. Musiała wziąć go za kogoś innego. Wiekowi ludzie często widzieli rzeczy, których nie dostrzegali inni.

Najlepszym wyjściem było zostawienie jej tutaj – doszedł do wniosku – i poinformowanie o wszystkim pozostałych. Z czasem zjawi się wieszcz, który zamieszka w jaskini, i jemu będzie mógł zadać swoje pytanie.

Avel opuścił jaskinię. Uczynił to jednak zbyt spieszenie, przerażony perspektywą ścigających go cieni. Jego sandał poślizgnął się na wilgotnym występie. Zerwał się rzemyk na kostce, a ciało wykonało pół obrotu, podczas gdy palce rozpaczliwie chwytały powietrze zamiast twardej skały.

Z przeraźliwym krzykiem Avel wpadł do wodospadu.

Przez chwilę, która jemu zdawała się wiecznością, starał się nabrać powietrza mimo ogromu wody, miotając nogami oraz ramionami, licząc na to, że cudem chwyci się czegoś, co zatrzyma jego upadek. Cały czas odczuwał przerażenie, większe niż kiedykolwiek, któremu niebawem położyło kres łaskawe omdlenie, jako że wszystkie jego wysiłki spełzyły na niczym.

Osunął się w mrok, przekonany, iż oznacza on śmierć. Tym większe było jego zdumienie, gdy ocknął się i odkrył, że jest w stanie oddychać. Duchom bowiem nie zdarza się chyba oddychać?

Kiedy otworzył oczy, poczuł na twarzy miękkiej dotyk słońca. Nie znajdował się w wodospadzie, ani nawet w rzece. Był zawinięty w futra, a opodal, zwróceniu do niego plecami, znajdowali się ludzie. Usiadł powoli, czując ból każdego mięśnia w ciele. Jeden z obcych – mężczyzna mniej więcej w jego wieku – obrócił się i rzekł coś do pozostałych, a oni mu odpowiedzieli. Był to jednak bełkot, wszystkie słowa brzmiały identycznie.

– Jestem Avel – przedstawił się, po czym znowu stracił przytomność.

Kiedy ponownie się ocknął, leżał na wozie ciągniętym przez woły. Zdziwił się, bo jego rodacy nie mieli ani wozów, ani wołów. Jednak nie to było najdziwniejsze. Próbuąc się podnieść, ujrzał ciężkie kajdany z czerwonego metalu wokół swoich kostek, połączone łańcuchem z tego samego materiału. Później miał się dowiedzieć, że to brąz, a on sam stał się niewolnikiem. Jego wybawcy nie wyciągnęli nieprzytomnego, przemoczonego ciała z rzeki z dobroci serca, postrzegali go raczej jako potencjalny towar.

To właśnie z tyłu tego wozu po raz ostatni spojrzął na wodospad. Ginał on w chmurach, sprawiając wrażenie niebotycznego. Ci, którzy go pojмали, nie byli w stanie uwierzyć w jego historię, kiedy już nauczył się ich języka. Według nich ponad obłokami żyli jedynie bogowie. Avel zaś był kłamcą

i wpadł zwyczajnie do rzeki, prawdopodobnie w trakcie ucieczki z jednej z wiosek na nizinie, gdzie był wcześniej niewolnikiem.

Niewolnictwo nie stanowiło jedyne źródła utrzymania grupy, która schwytała młodzieńca: handlowali wieloma różnymi rzeczami, podróżując od wioski do wioski poprzez bujną nizinę, aż do wielkiego miasta, gdzie rzeka wpadała do morza. To tam sprzedali Avela. Stał się własnością kupca imieniem Sernam, choć miał się do niego zwracać po prostu „panie”.

Przez ponad dziesięć lat podróżował wraz z towarzyszami Sernama. Przemierzyli morza, pustynie, góry, podróżując z miasta do miasta. Avel poznał w międzyczasie pięć języków, trzy alfabety i dwa systemy arytmetyczne. Zakochał się również w niewolnicy, Hebeli, i wpadł w rozpacz, kiedy sprzedano ją nowemu właścicielowi.

W jedenastym roku niewoli statek Sernama rozbił się u nieznanego brzegu. Przeżył tylko Avel, ponieważ jako jedyny umiał pływać. Szczęście naprawdę musiało mu sprzyjać, gdyż wiatr oraz fale bezpiecznie doprowadziły go na suchy ląd.

Przygarnęli go ludzie bardziej gościnni niż za pierwszym razem. Z czasem stał się myśliwym i polował w górskiej kniei, dostarczając stawy wiosce zarówno podobnej, jak i odmiennej od tej, w której się urodził. Jej mieszkańcy mieli inny kolor oczu oraz skóry, mówili innym językiem, a także żyli w domach zbudowanych nie z drewna, lecz cegły. Poza tym niewiele się różnili od jego pobratymców. Avel ponownie się zakochał, tym razem w kobiecie o imieniu Kikali. Razem wybudowali dom z cegieł, a potem doczekali trójki dzieci, które Avel nazwał po dawno utraconych braciach i siostrach z doliny na wysoczyźnie.

Maluchy rosły, wioska miała się dobrze, sprawy toczyły się własnym torem... przynajmniej do momentu, gdy pewnego gorącego lata w te okolice przywlokła się wolnym krokiem karawana. Muły, jak to zwykle bywa, skierowały się ku wielkiemu kamiennemu korytu, z którego brał początek chłodny strumień wody z podziemnego źródła. Nikt ich jednak nie prowadził. Przewodnik karawany siedział nieprzytomny okrakiem na grzbiecie muła, a poza nim był tam jedynie martwy chłopiec, przytroczony do ostatniego ze zwierząt.

Mieszkańcy wioski, którzy pomogli mężczyźnie zsiąść z muła, umarli krótko po nim, zanosząc się kaszlem aż do samego końca. Po trzech dniach

w wiosce nie ostała się żywa dusza. Poza Avellem. Krztusił się, pocił, wygrażał niewidzialnym wrogom, ale przeżył.

Zgodnie z lokalnym zwyczajem, choć on sam nie należał do tej kultury, zaniósł ciała do świętego miejsca na górze i pozostawił padlinożercom. Ukończenie tego zadania zajęło mu dużo czasu, gdyż był osłabiony chorobą, a ofiar pomoru było wiele.

Gdy było po wszystkim, położył się obok Kikali oraz swych dzieci, starając się trwać w bezruchu, aby i jego pożarły ptaki. Ale choć nie drgnął mu choćby mięsień, krążyły one tylko w górze, nie kwapiąc się do lądowania.

Wreszcie Avel podniósł się. Mieszkańcy wioski wierzyli, że ciała muszą zostać zjedzone, gdyż inaczej duch zmarłego nie zazna spokoju. On do końca w to nie wierzył, ale nie był na tyle pewny, aby ryzykować losem swojej żony i dzieci.

Pożegnał się we wszystkich znanych sobie językach, a następnie odszedł.

Rok później znów trafił do niewoli. Przemierzał samotnie wybrzeże, trudniąc się rybołówstwem, pomieszkując w opuszczonym szałasie i używając zdobytego koraklu jako łodzi, do momentu gdy wraz ze swoim połowem został schwytany przez galerę o trzech rzędach wiosł oraz taranie z zaśniedziałego brązu.

Wiosłował na galerze przez cztery miesiące. Była to ciężka praca wzmagająca pragnienie, a dla galerników zawsze brakowało świeżej wody. Jednak to właśnie konieczność ciągłego uzupełnienia zapasów wody umożliwiła Avelowi ucieczkę. Ekipa, której był członkiem, została zaskoczona przez piratów przy nadbrzeżnym nurcie.

Załogę galery oraz strażników wybito, niewolników natomiast zabrano do ich nowych panów. Lecz Avel znał język piratów, nauczył się go bowiem od swojej pierwszej ukochanej, Hebeli. Wzięli go tym samym za jednego ze swoich, ofiarowali broń i odzienie, po czym zaproponowali przyłączenie do swojej bandy.

Czasu spędzonego z nimi nie wspominał dobrze. Łupili napotkane wybrzeża, rabując i plądrując, co tylko się dało. Chwyтали też niewolników, aby sprzedać ich na olbrzymich targach odbywających się na plaży każdej pełni. Statki kupujących odpływały po zakończeniu interesów bezpiecznie poza rafy.

Upłynął rok, a może trochę więcej, gdy w porze nowiu Avel opuścił piracką załogę, wymykając się nocą na grzbiecie skradzionego rumaka.

Tysiąc mil dalej wymienił go na wór owoców peklowanych w cukrze, a także przepustkę na statek. Po miesiącu morskich wojaży trafił do miasta u kresu rzeki spływającej z wielkiego wodospadu.

Peklowane owoce miały tutaj sporą wartość, mógł więc zakupić dwa wierzchowce, płaszcz, czekan z brązu, a także nieco prowiantu. Avel zmieniał konie, nie zwalniając tempa i podążając z biegiem rzeki.

Do stóp wodospadu dotarł późnym latem. Poziom wody był niski, błoto ciągnęło się na wiele jardów od brzegu do środka koryta. Sam wodospad wydawał się mniej imponujący, mgła zdawała się rzadsza, a obłoki kłębiły się wcale nie aż tak wysoko w górze. Mogło tak być dlatego, że widział od tamtej pory tak wiele wodospadów podobnych do tego.

Napotkał też wiele szczytów, zdobył je, tak sam, jak i w grupie. Nauczył się odnajdywać drogę poprzez głązy oraz tworzyć w łodzi czekanem uchwyty na dłonie i stopy.

Mimo to przeprawa była ciężka. Do pokonania miał nie jedno urwisko, jak do tej pory myślał, lecz wiele. Wówczas zrozumiał jak przeżył swój upadek dawno temu. Kaskada nie spływała prosto w dół przez chmury. Było ich w rzeczywistości wiele, tak jak i wiele basenów, schodzących ogromnymi stopniami w dół masywu.

Po wielu dniach ciągłej wspinaczki, znajdowania nowej drogi oraz dalszej wspinaczki, Avel dotarł do szczytu wodospadu. Podciągnął się ponad skalną krawędź, za którą rozpościerał się widok na dolinę jego młodości. Była dokładnie taka, jak ją zapamiętał, zupełnie jakby nic się nie zmieniło. Tylko cztery dni drogi dzieliły go od matki – jeśli jeszcze żyła – braci i sióstr; wszystkich ludzi, których niegdyś tak dobrze znał.

Chciał wyruszyć niezwłocznie, lecz powstrzymało go zachodzące słońce i chłód. Zapomniał jak zimno bywało tu w dolinie, był również zmęczony po długiej przeprawie. Spojrzał znów na trasę swej dalszej wędrówki, po czym odwrócił się, by ruszyć wzdłuż krawędzi wodospadu.

Znalezienie ścieżki prowadzącej do jaskini wieszczki nie zajęło mu długo. Dojście było szersze niż mu się wydawało, a po kamieniach znać było, że ktoś próbował uczynić dostęp łatwiejszym.

Zawahał się u wejścia. Znajdowały się tam dwie włócznie, co oznaczało, że ktoś tam przebywa. Potem przypomniał sobie, jak sam zostawił je w tym



właśnie miejscu, a kiedy przyjrzał się obsydianowym czubkom, rozpoznał wzory, które sam wyłupał. To były jego włócznie, nadal w tym samym miejscu po ponad dwudziestu latach.

Podniósł tę służącą do polowania, jednak drzewiec był przegniły i rozpadł mu się w rękach. Ta służąca do walki nie była w wiele lepszym stanie. Pozwolił zniszczonym kawałkom spocząć na ziemi, zachowując dla siebie jedynie obsydianowe groty.

Od dawna nie było już sitowia okrywającego grunt, ani posłania z króliczych skór, a co za tym idzie także ciała wieszczki. Lecz na kamiennej platformie spoczywała sterta suchego drewna, a obok obsydianowe krzesiwo oraz hubka. Avel użył jednak swojego narzędzia z brązu, aby skrzesać iskrę. Następnie rozwinął płaszcz i się na nim położył. Przez jakiś czas spoglądał na groty, obracając je na wszystkie strony w blasku ognia. Wreszcie ułożył je obok swojej głowy. W chwilę później już smacznie spał.

Obudził się krótko po świcie, lecz w grocie nadal było ciemno. Ze snu wyrwały go ostrożne, ciche kroki. Pośród piratów nauczył się spać czujnie.

– Ostrożnie, babciu – wyszeptał ktoś u wylotu groty. Głos należał do młodzieńca mówiącego w języku Avela. Dźwięk ten brzmiał jednocześnie tak znajomo i tak dziwnie.

Usiadł. Z przodu dało się dostrzec dwie sylwetki. Jedna była w sile wieku, wyprostowana, druga, zgięta, dotknięta zębem czasu, opierała się na pierwszej.

– Kto tu idzie? – spytał. Przyzwyczaił się do mówienia w inny sposób, tak że jego język buntował się przeciwko dziwnemu i niewygodnemu kształtowi ust. Przez to jego głos brzmiał bardziej piskliwie.

– Zobaczyliśmy dym – odparł młody mężczyzna. – I postanowiliśmy sprawdzić, czy do jaskini przybyła wreszcie nowa wieszczka.

– Nie jestem kobietą – mruknął Avel, odzyskując powoli własny głos. Podniósł się powoli, przeciągnął. Mięśnie i stawy bolały po wycieńczającej wspinaczce. – Skąd jesteście? Wioska znajduje się parę dni drogi stąd.

– Kiedyś tak było – odezwała się zgięta sylwetka łamiącym się oraz drżącym głosem. Poczyliła parę kroków naprzód, wiekowe oczy świdrowały mrok. – Przenieśliśmy się niżej pewnej straszliwej zimy, kiedy zamarzała rzeka.

Avel przestał się rozciągać. Jego serce prawie wyskoczyło z piersi. Nie był w stanie się odezwać. Znał ten głos.



– Mam pewne pytanie – kontynuowała stara, zgięta w pół kobieta. – Dwadzieścia dwie letnie pory temu mój syn Avel przybył tutaj porozmawiać z wieszczką. Nigdy go już później nie widziano. Co się z nim stało?

Otworzył usta, zamknął je, otworzył ponownie. Wrócił myślami wstecz do tych lat – czasów radości i smutków, szczęścia i niedoli, Hebeli, Kikali oraz swoich dzieci, wszystkich ludzi oraz miejsc, które poznał.

– Znalazł odpowiedź na swoje pytanie – rzekł, czyniąc krok w przód, niezdolny do wzięcia oddechu, i wyciągając przed siebie dłonie. Wschodzące słońce wychyliło się zza horyzontu na tyle, by oświetlić jego twarz, kiedy wziął swą matkę w objęcia. – A potem wrócił do domu.

*Południe* Gillian Philip to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*South* by Gillian Philip is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Gillian Philip

# Południe

przełożyła Anna Hirchen

Lód pokrywa zatokę cienką, śliską warstwą, ale i tak jest w wodzie. Ten chłopak zawsze jest w wodzie. Zupełnie jak jego babcia.

Równie dobrze może to być druga strona: ta jej. Późny i pochmurny dzień w monochromie, widać jedynie biel, kępki trawy i drzewo oraz wzgórza narysowane pociągnięciami węgla, z nabazgrołonymi między nimi wąwozami. Chwilowo nie ma za dużo śniegu.

Jedyny kolor można dostrzec w zasięgu reflektora land rovera – chorowita żółć zimowej trawy, kilka jardów przyszarzałej, różowej drogi. Wyłączam silnik i światła. Drzwi skrzypią w kompletnej ciszy, kiedy otwieram je i schodzę na brzeg, mocniej zawiązując szalik. Kiedy go wołam, zimno pali moje gardło.

– Culley. Pora wracać do domu.

Czekam, przyzwyczajony, ściśnięte serce wali mi powoli, kiedy czekam, aż nie wróci. Któregoś dnia zniknie. Jak jego matka.

Nie dzisiaj.

Gwałtownie wypada z wody, nozdrza mu drgają, przycięte włosy, sztywne od soli, przylegają do jego podłużnej czaszki, błyszczą w nich drobinki lodu. Jedną ręką narzuca ręcznik na głowę, drugą wkłada jeansy, naciągając materiał na wilgotną skórę.

Uśmiecha się do mnie.

– Dziadzio.

– Culley. Twój ojciec się martwi. Jest późno.

Zaskoczony spogląda w niebo.

– Właśnie miałem wychodzić.

Jest potulny jak baranek, skruszony, odrobinę urażony, jak chłopiec ściągnięty z huśtawek w parku.

Gardło ściska mi uczucie ulgi, chcąc przeczekać tę niezręczną chwilę, schylam się, by wyciągnąć jego sweter spomiędzy czarnych kamieni. Bez pośpiechu wciąga go przez głowę; jest dość duży, ale i tak rozciąga się na mocno rozwiniętych ramionach. Znowu się do mnie uśmiecha, jego ciemne włosy są sztywne od soli i mrozu, ale już zaczynają schnąć.

– Zabiorę cię z powrotem – mówię.

– Dzięki. Przepraszam. Trudno pilnować czasu. – Nerwowo drapie się po czole, a mroźne światło sprawia, że niewielka błona między jego palcami wygląda na cieńszą niż zwykle.

Jest łagodnym chłopcem. Nie chce nikogo skrzywdzić, żałuje, gdy zdarza mu się to tak często. Nie martwię się o niego. Nie bardzo.

W land roverze trzymam gwintówkę, ale wiem, że nie będzie potrzebna.

Jego babcia wyglądała tak samo, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Była półnaga, nie łagodna. Pomyślałem, że musi być nienormalna, jeśli przy takim klimacie ma na sobie tylko futrzany kocyk, zarzucony jak płaszcz.

Miałem chwilę czasu, więc poszedłem podglądać pingwiny, było to dla mnie hobby, nie obowiązek, jak dla Mala. Obserwował pingwiny, uchatki, czasem lamparty morskie, które się pojawiały, gdy zatoka była ścięta lodem. W cieplejszej pogodzie nie przyplływały. Obserwował je, liczył, spisywał, a ponieważ nie było jeszcze Internetu, wysyłał te dane poprzez Inmarsat. Pomagałem mu, kiedy nie byłem zajęty naprawą. On kochał swoją robotę, ja swoją. Musi tak być, inaczej nie odnajdziesz się na samotnej wychodni na zapomnianej wyspie.

Na skale siedziała ta niezapowiedziana kobieta, ona też obserwowała pingwiny, a one chyba bardziej bały się jej niż mnie, chociaż przestałem się już im przyglądać. Odłożyłem lornetkę, nie potrzebowałem jej; była tak blisko.

Truizmem jest stwierdzenie, że krew mi zmroziło w żyłach, ale nie ma na to innego określenia. Nie powinno jej tu być. Myślałem, że Mal i ja jesteśmy sami w tej części wyspy i przez idiotyczną chwilę uznałem, że przegapiła swój rejs i ją zostawili. Ale ludzie z rejsów nie ubierali się w ten sposób – nie byli półnagzy, okryci jedynie jedwabistą futrzaną narzutką.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Żołądek ścisnął mi się z lęku przed obłędem. Było grubo poniżej zera, ale na jej bladej skórze nie pojawiła się gęsia skórka, a ona nawet raz się nie zatrzęsała. Włosy miała gładkie, czarne i mokre i przemknęła mi szalona myśl, że się kąpała. Ale to niemożliwe. Nie z taką skórą.

– Wszystko w porządku – uśmiechnęła się. – Jest świetnie. No cześć.

Odejść od niemal całkowicie rozebranej kobiety, na dodatek tak pięknej: to byłoby szaleństwo. A gdy Malcolm to odkryje, a odkryje na pewno, bo języki nam się rozwiążą pod wpływem rumu, nigdy mi nie odpuści.

Zrobiłem więc krok do przodu i zauważyłem, że jej włosy nie były czarne, tylko dziwnie metalicznie-szare, jakby cętkowane. I chociaż była wysoka, wyprostowana i smukła, a jej podłużna twarz przypominała gada – nie mówię, że nie była piękna – jej ramiona wyglądały na zaskakująco muskularne. Pachniała morzem: lodem, solą, trawą i, zdaje się, pingwinim gównem. Zakochałem się.

– Musisz wrócić do bazy – powiedziałem. – Musisz ze mną pójść.

Jestem pragmatykiem. Nie naukowcem, jak Mal, tylko inżynierem. Zajmuję się naprawą. Naprawiam kanalizację, generatory i bezprzewodowe maszty, toalety chemiczne, kiedy to konieczne. Jestem pragmatyczny, myślę racjonalnie, ale w moich rodzinnych stronach krążą opowieści o fokach. Uznałem, że przesady, mity i wierzenia pochodzą z tego samego miejsca co ja. Nigdy nie pomyślałem, że mogą istnieć inne. Nie wiedziałem, że na świecie istnieje odpowiedniość, równowaga, powiedzmy: lustrzane odbicie północy, jakim jest południe.

Myślałem, że historie o fokach powstały, ponieważ te pospolite przypominają ludzi: łagodne, inteligentne i wyrozumiałe. Ale foki południa nie wyglądają ludzko. A nawet jeśli, to jest to zupełnie inny gatunek człowieka.

Powinienem być o tym pomyśleć. Ale tego nie zrobiłem. Nie myślałem w ogóle w trakcie miesiący, a potem lat, gdy Elin była moja.

Mal rachował lamparty morskie, badał je, kochał i szanował, ale również się ich bał. Trzymał się z dala od wody, kiedy łód skuwał zatokę i nie zbliżał się do wybrzeża, kiedy pingwiny gromadziły się tam jak biało-czarny szwedzki stół. Nie chcę, żeby ktoś mnie z nimi pomylił, mówił ze śmiechem.

Elin lubiła Mala. Śmiała się razem z nim, ale nigdy nie byłem zazdrosny. Nie przyszło mi do głowy, że może zdradzić; była zbyt zaborcza, zbyt na-

miętna. Mówiła, że nie chce wracać do małej wioski rybackiej po drugiej stronie wyspy. Lubiła naukowców, dlatego tu przybyła. Lubiła też inżynierów, a mnie szczególnie.

Oczywiście zaszła w ciążę. Nie pomyślałem, żeby zaopatrzyć się w produkty, które by temu zapobiegły. Chciałem, żeby opuściła wyspę, zabrała się ze mną na czerwony statek dostawczy, kiedy przyplynie następnym razem. Odmówiła.

Uparcie odrzucała jakąkolwiek pomoc. Cięża nie mogła być tak długa; musiałem stracić rachubę. Była niespokojna i niezadowolona, wołała spędzać czas samotnie, a któregoś dnia nie pokazała się mimo nawoływań i poszukiwań moich i Mala. Zwyczajnie pojawiła się następnego dnia z noworodkiem.

Uśmiechnęła się, jej cętkowane włosy były przyklepione do głowy, ale wilgotne były nie od potu, ponieważ kiedy całowałem ją w kółko, przyciskając do siebie, wyczułem wodę morską, lód, pingwinie łajno i krew.

Obdarzyłem nasze dziecko agresywną miłością, a strach zakradł się i nie chciał mnie opuścić. Dzieci wszystko zmieniają. Ale nie bezpośrednio; nie od razu. Byłem zbyt zmieszany, by opowiedzieć Malowi o swoich podejrzeniach, a nie chciałem kłócić się z Elin, więc jak dawniej siadaliśmy wieczorami we trójkę – czwórkę, razem z naszą spokojną, kruczoczną córką – piliśmy rum, rozmawialiśmy, śmialiśmy się i mówiliśmy o uszatkach, statku dostawczym i pogodzie nadciągającej znad ostrych szczytów wzgórz.

Elin świetnie rozumiała się z Malem, ale nikt nie zostaje w bazie na zawsze. Nikt poza nią. A teraz także mną i naszą córką. Kiedy Mal postanowił odejść, na jego miejsce przyszedł wybuchowy człowieczek, Thewlis. Niespecjalnie miałem ochotę na zastępcę Mala, ale baza nie należała ani do mnie, ani innych przybyszy. Nie należała do Elin. Następcą Mala przybył, żeby liczyć pingwiny i uszatki, rejestrować je, badać i odsyłać dane z powrotem.

Thewlis szanował lamparty morskie tak samo jak Mal. Wychodził z wody, jeśli jakiś się pojawił. Nie były agresywne, tylko ciekawskie, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie wiemy nic na pewno i możemy tylko pamiętać o szalonych opowieściach Shackletona czy anegdotach z mniej naukowych czasów.

Thewlis wiedział o dzieciach mniej niż o faunie Subantarktyki, ale to nie jego wina. Po prostu nie mógł pojąć, dlaczego trzymamy Sylvie w dziczy. Wychowywanie tu dziecka było szaleństwem. Niedługo osiągnie wiek szkolny, a najbliższa szkoła znajduje się dwie wyspy stąd, co wtedy planujemy zrobić?

Niczego nie planowałem, ale nie chciałem się do tego przyznać, bo wyszedłbym na zwykłego barana.

Thewlis nie lubił i nie rozumiał Sylvie, ale i tak się o nią martwił. Wymagała odpowiedniej opieki zdrowotnej i przyzwoitego wykształcenia. Chciał, żebyśmy ją stąd zabrali. Choć nie... Ja byłem przydatny; znałem bazę na wylot. On chciał, żeby Elin zabrała Sylvie.

Tak nie można, mówił zatroskany, drapiąc się po krótkiej brodzie. To nie środowisko dla dzieci.

Elin stwierdziła, że Sylvie popsowała mu środowisko; w tym tkwił jego problem.

– Myślę, że tak będzie najlepiej – powiedział cicho, kiedy pewnego wieczoru zmusił mnie w końcu, żebym się z nim zgodził, dzień przed planowanym przybyciem czerwonego statku dostawczego, który miał nas zabrać na północ, do cywilizacji, przedszkola i pediatrów. – To miejsce będzie dla niej coraz mniej odpowiednie.

Wiedziałem, że chciał, by chłodne piękno tego miejsca było wolne od dzieci, ale wiedziałem też, że ma rację. Wypiłem więc za dużo, wściekła Elin z impetem wybiegła z pokoju, narzucając futro na zimowe ubrania i trzaskając drzwiami. Musiała przewidzieć, że zmarznie. I rzeczywiście, zniknęła na całą noc, a ja nie spałem przez stres i alkohol. Obróciłem się i wpatrywałem w ciemność pełen niepokoju, dopóki pierwszy bladziutki promień poranka nie pozwolił mi wstać.

Otworzyłem oczy, zeszytywniały i wycieńczony. W zatoce był lód.

Zobaczyłem Thewlisa blisko bazy; właśnie wybierał się na obchód po postrzępionym brzegu. Spojrzał na mnie, pomachał. Odmachałem mu i pomyślałem o usterce generatora, ostatniej rzeczy, którą mogę naprawić przed odejściem.

Westchnąłem i mocno zacisnąłem powieki przez migrenę, dlatego nie dojrzałem poruszającego się cienia. Jeśli w ogóle go zauważyłem, to kątem oka, jak przelotny rozblýsk katarakty.

Usłyszałem jego zachrypnięty ryk i natychmiast zacząłem biec, chwytając po drodze buty, nie zwracając sobie głowy kurtką. Miałem nadzieję, że Thewlis utrzyma się postrzępionej krawędzi lodu, nie przeżyłby, gdyby wpadł do wody, nie kiedy coś wciągało go jak napastliwy wąż.

Wydawało mi się, że biegnę szybko, ale kiedy dotarłem na skraj lądu, płosząc obrażone pingwiny, na lodzie nie było już nic poza rozmazaną krwią.

Znaleźliśmy go dzień później: ja, dwóch rybaków, moje zastępstwo i załoga statku, gdy ten już zadokował. Szukaliśmy godzinami i już myślałem, że więcej go nie ujrzymy. Jeden z rybaków z miasteczka wziął pistolet; było na to za późno, ale tego nie powiedziałem.

Gdy znaleźliśmy jego przemoczone zwłoki, były ledwo naruszone; nawet pomyślałem, że może jeszcze żyje, ale potem przekroczyliśmy go i zobaczyliśmy czaszkę, skruszoną jednym ugryzieniem.

Kiedy powiedzieliśmy o tym Sylvie, pobiegła chlipiąca i zszokowana do matki, która stała poważna w drzwiach bazy; wzięła małą w ramiona i ucałowała jej cętkowane włosy.

Później pokłóciliśmy się tak zażarcie, że reszta zostawiła nas samych – wyszli, żeby zobaczyć, czy da się zapalić w temperaturze minus dziesięciu stopni i mniej.

– To był lampart morski – wrzasnąłem na Elin. – Nie zmieniam planów. Zabieramy Sylvie, kiedy statek będzie gotowy do drogi. Tu jest niebezpiecznie.

– Ale nie jest niebezpiecznie dla n i e j – prychnęła. – Thewlis go sprowokował. Na pewno.

– Jesteś egoistką – krzyknąłem. – Nie chcesz odejść.

– Ona też nie. I nigdy nie odejdzie.

Oczywiście wybiegła znowu, trzaskając drzwiami tak, że aż się odbiły. Przewróciłem oczami. Za bardzo przyzwyczałem się do jej wybuchów wściekłości, żeby się przejąć. Zamiast tego wypłem więcej, żartowałem z załogą i nowym inżynierem, ludźmi z osady i wypłem jeszcze więcej. Sylvie bawiła się spokojnie w kącie swoimi plastikowymi zwierzątkami morskimi, miała posępną minę i od czasu do czasu patrzyła w kierunku drzwi.

Wypłem tyle, że minął już moment, kiedy nic mnie nie obchodzi i nagle zacząłem przejmować się za bardzo. Byłem spity, ckliwy i zły, wstałem tak szybko, że przewróciłem krzesło.

Mrugnąłem i wpatrzyłem się w zestaw morskich zwierzątek.

– Gdzie Sylvie?

Sylvie była niedaleko. Dostrzegłem ją w blasku gwiazd i lodu: lodu w zatoce, na granicy lądu i życia. Maluch śmiał się, machał nogami w lodowatej wodzie i schylał się ku gładkiemu, gadziemu łbu, wystającemu sponad warstwy śliskiego lodu.



– Nie! – krzyknąłem. – Nie!

Zwierzę odsłoniło dinozaurze zęby, odwieczne jak sama śmierć. Sylvie zawahała się, spojrzała na mnie, potem na fokę. Moje przerażone, wściekłe wrzaski zagłuszyły jej warczenie. Przestraszyłem ją. Sylvie zaczęła płakać.

– Tatusiu – jęknęła.

Pędząc w jej stronę, znowu ujrzałem nadciągający rozmyty cień i foka chwyciła jej nogę.

Ja natomiast ledwo złapałem ją za rękę. Spojrzałem na fokę i zrozumiałem, że prędzej rozerwie dziecko na strzępy, niż puści. Patrzyła z nienawiścią, miała na kłach krew mojej córki. Nagle wytrzeźwiałem. Nie byłem pijany, krzycząc „Zastrzel ją! Zastrzel!”.

Mój wzrok rozmył się, oczy szczypały paskudnym żalem, a łeb foki ześlizgnął się pod powierzchnię – w jej wilczych oczach najpierw pojawiło się otępienie, nienawiść, a potem nie było w nich nic poza śmiercią. W końcu foka zniknęła w głębokiej zimnej wodzie, zostawiając smużkę krwi.

Zabrałem Sylvie do domu. Nie kochałem już wyspy. Moja córeczka odbywała wizyty kontrolne i otrzymała leczenie szpitalne oraz edukację, ale już zawsze kulała, kulała i była melancholijna. Kuśtykała nawą w dniu swojego ślubu, kuśtykała, niosąc Cully’ego do chrztu, i ośmielę się stwierdzić, że kuśtykała w dniu, kiedy w końcu weszła do morza i nie wróciła.

Tego dnia, jak i później, ojciec Culley’a zanosił się płaczem z żalu, więc połem go alkoholem i poklepywałem po ramieniu, wiedząc że nie powinienem płakać. Koniec końców, odmawiałem ją morzu wystarczająco długo.

I miałem jej syna, bo była lepsza od swojej matki. Dość egoistyczna, żeby odejść do morza, ale nie dość, żeby zabrać ze sobą swojego chłopca.

Ale i tak się martwię. Chodzę do zatoki, która jest lustrzanym odbiciem tej na dalekim południu i drzę w ciemnościach, licząc sekundy i czekając, aż Culley nie wróci.

I czasem to nie jest najgorsza rzecz, którą mogę sobie wyobrazić, gdy ten uśmiecha się do mnie, jego kły lśnią w blasku księżyca, a on przytula mnie tak mocno i gwałtownie, że mógłby mnie wciągnąć pod powierzchnię.

W land roverze trzymam gwintówkę.

Nie, żebym jej potrzebował.

*Chicago* Allana Radcliffe'a to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Chicago* by Allan Radcliffe is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Allan Radcliffe

# Chicago

przełożyła Magda Kożyczkowska

Gdy wychodzimy z baru jest już ciemno. Deszcz przestał padać. Powietrze jest wilgotne, gorące i zatęchłe. Chodnik mieni się na żółto w świetle ulicznych latarni – ziemia przypomina mozaikę ze śladów stóp.

– Jesteś sam? – na zewnątrz jest tak głośno, że musi krzyżeć.

– Tak – odpowiadam nieco zbyt szybko. Z bliska wygląda młodziej niż w barze. Jest może po dwudziestce. Jego skóra ma kolor plaży, a policzki i nos upstrzone są piegami. Ciemne oczy i grube, czarne brwi osadzone są zadziwiająco nisko na czole, co nadaje jego twarzy melancholijny wyraz, nawet gdy się uśmiecha.

– Imię? – rzuca krótko i rzeczowo, jak nauczyciel otwierający dziennik.

– Alex.

– Al – ex – a potem, jakby po namyśle, klepie się w pierś i dodaje – Tomas.

Przekraczamy rzekę i kołyszemy się między samochodami jadącymi wzdłuż Wacker Drive. Miasto się rozgrzewa. Tomas idzie prosto przed siebie. Muszę podbiegać, żeby zanim nadążyć. Pytam go, skąd jest.

– Chile. – Uśmiecha się wyczekująco, gdy ja próbuję pozbiierać wszystko co wiem na temat Chile, jednak w głowie mam tylko nazwy: Allende, Neruda, *Pinochet*, do jasnej cholery.

– A ty? Jesteś z Chicago?

Parskam śmiechem.

– Ze Szkocji... – odpowiadam niepewnie, lecz Tomas kiwa energicznie głową.

– Ach tak! Byłem w Szkocji z rodziną, gdy miałem czternaście lat. Edynburg... Loch Ness... Piękny kraj.

- Ja jestem z Glasgow...
- Glasgow, no tak. To chyba tam wylądował samolot.

Z hotelu Tomasa jest widok na rzekę. Jego nazwa została wyszyta srebrną nicią na szerokiej markizie, rozciągającej się aż do krawędzi chodnika.

Tomas stuka obcasami po wypolerowanej podłodze jasnego foyer i wyciąga przed siebie ramię, dłonią ku górze, uśmiechając się niczym stary przyjaciel. Mężczyzna za kontuarem kiwa głową, kiedy podaje klucz. Gdy Tomas kroczy ku windzie, ruchem głowy każąc mi podążać za sobą, spotykam wzrok recepcjonisty. Wytrzymuje moje spojrzenie, chłodny i niewzruszony.

Pokój Tomasa znajduje się na końcu długiego, szerokiego korytarza. Za drzwiami, po dwóch przeciwległych stronach węższego przedsionka, znajduje się kolejna para zamkniętych drzwi.

- Tu jest łazienka - naciska jedną z klamek i zapala światło, wykonując niedbałe machnięcie dłonią. Wanna i kafelki są skąpane w tym samym złotym świetle co foyer. Łazienka jest wielkości całego mojego pokoju w hostelu.

Podążam za nim do sypialni, oczarowany miejscem, w którym jego długa, ciemna szyja spotyka kołnierz koszuli. Okno zajmuje całą ścianę - szkło pełne jest gładkiego, czarnego nieba i spiczastych dachów sąsiednich budynków. Pokój niemal w całości wypełnia ogromne łóżko. Na stoliku nocnym stoją dwie ramki ze zdjęciami Tomasa i jego najbliższych. Twarze rozpychające się w próbie zyskania uwagi, bez wysiłku zepchnięte na dalszy plan przez kradnący obiektyw uśmiech Tomasa.

- Drinka? - opiera dłonie na kolanach, badając zawartość minibarku.

Rozsuwam szklane drzwi i wychodzę na balkon. Uderza we mnie podmuch gorącego powietrza. To tyle w kwestii Wietrznego Miasta. Patrzę w dół i czuję nagły ucisk w żołądku. Hotel i sąsiednie budynki przykucnęły tak blisko rzeki, że woda otula je niczym fosa. Wzdłuż mostów ustawił się sznurek ciepłych samochodów. Rzeka jest czarna, poprządkana srebrem. Wzdłuż jej brzegu ku stacji wlecz się pociąg. Z lewej samochody śmigają po autostradzie w jedną i drugą stronę. Chicago. Chwytam się poręczy, odchylam w tył głowę, a następnie całe ciało, ciężar przenosząc na obcasy. Twarz rozciągam w szerokim uśmiechu.

Tomas wręcza mi plastikowy kubek z winem i niewielką butelkę z tym, co z wina zostało. Gdy stukamy się kubeczkami, wyrывa mi się radosny chichot. Tomas patrzy na mnie ze zdziwieniem. Wierzchem ręki dotyka mojego policzka, a potem odwraca ją i przykłada do twarzy i szyi. Opuszcza dłoń i delikatnie ściska moje ramię, po czym pociąga spory łyk i opiera się o barierkę.

Sączę wino.

– No to co sprowadziło cię do Ameryki? – pytam, a Tomas mruży oczy. – To znaczy, do Stanów!

Wzdycha głęboko, jakby to był najnudniejszy z tematów.

– Cóż, właśnie skończyłem studia... – przygląda się miastu to marszcząc, to prostując brwi. – Mogłem albo wybrać się w podróż, albo przez całe lato pracować w firmie telekomunikacyjnej z przyjaciółmi. Ojciec dał mi pieniądze na podróżę – krzywi się. – Nie sądzę, żebym w najbliższym czasie mógł wrócić.

Tomas rozpoczął wędrówkę w Kalifornii. Wspominam o kilku miejscach, ale tylko uśmiecha się pobłaźliwie i niedbale potakuje.

San Francisco?

– Tak, to całkiem przyjemne miejsce. Piękne, kolorowe domy.

Los Angeles?

– Och, to bardzo niewdzięczne miasto, wiesz? Takie brudne. Bałem się wyjść w nocy.

Las Vegas?

– Jedyne co możesz tam robić, to wrzucać pieniądze do automatów.

Wracam myślami do swojego długiego weekendu w Vegas. Akurat odbywała się tam walka bokserska, miasto falowało od tłumów, a wszystkie pokoje hotelowe w Stripie były zarezerwowane. Zatrzymałem się w miejscu o nazwie Relax Hotel, wiele mil od centrum. W hotelu roiło się od rodzin, które przyjechały na weekend. Basen zaatakowała chmara dzieci.

– Przynajmniej tutejsi ludzie są mili, prawda? Przyjaźni.

– Niektórzy – odpowiada po dłuższym wahaniu.

Potem unosi głowę, podchodzi bliżej, czule chwyta moją rękę, mówi coś, co zaczyna się mniej więcej „Sądzę, że powinniśmy...” i prowadzi mnie do sypialni.

Z Tomaszem nie ma zbędnych ceregieli. Otula dłońmi moją twarz i przyciąga mnie tak blisko, że widzę cienką, czarną linię jutrzejszego zarostu wyłaniającą się dopiero sponad górnej wargi i brody. Gdy chwytam jego pas, nie czuję pod palcami miękkości, lecz tylko twarde uchwyty wystających bioder. Dłonie i szyję ma delikatne. Na jego języku czuję przyjemny metaliczny posmak.

Łagodnie popycha mnie na łóżko, nachyla się nade mną i przebiega palcami po moim ciele, od szyi po talię, przyciągając mnie coraz bliżej, dopasowując moje ciało do swojego. Gdy tak płączemy się w pocałunku, dłonie skrywając pod nieswoimi ubraniami, odnajduję spokój w swojej stałej strategii – improwizuję, gram, udaję kogoś innego, postać z filmu bądź serialu, kogoś, kto wie dokładnie co robi.

Później leżymy obok siebie i nie mówimy zbyt wiele. Pytam go, czy wszystko dobrze, a on potakuje i się uśmiecha.

– Tak. Jak najbardziej – ziewa i rozplątuje swoje smukłe ciało, odwracając głowę w moim kierunku. Łóżko jest tak szerokie, że muszę wyprostować ramię, by dosięgnąć jego dłoni. Jutro wkradnie się pomiędzy nas nieśmiałość, towarzysząc nam, gdy będziemy sięgać po ubrania, debatować kto pierwszy może skorzystać z łazienki, leczyć kaca i usilnie ignorować nowo odkryte wzajemne niedoskonałości.

\*

Zabieram go do zatłoczonej, choć obskurnej kawiarni w pobliżu Grant Park. Tomas rozgląda się uważnie, przyciskając do boku listonoszkę z białego płótna. Siadamy na wiekowej, wyświechtanej sofie, tak niskiej, że jego głowa niemal spoczywa na kolanach. Bardzo nas to bawi. Pytam Tomasa, czy poznał już dobrze Stany, na co tylko marszczy nos.

Gdy otrzymujemy śniadanie, siedzimy w milczeniu przy stole i każdy czyta inną część gazety. Od czasu do czasu Tomas śmieje się lub prycha i kręcąc głową, wskazuje mi artykuł, który sprawił mu taką uciechę. Jeden z tekstów szczególnie go rozbawił: „Obama twierdzi, że z systemem bankowym wszystko w porządku”. Czytając go, ociera łzy, jakby oglądał sitcom.

Tomas ożywia się, gdy w pewnym momencie jego komórka zaczyna brzęczeć.

– To mój brat – potrząsa głową rozpromieniony, rozciągając uśmiech tym szerzej, im bardziej wczytuje się w wiadomość. – Wyprawił dzisiaj trzecie urodziny swojej córeczce. Dasz wiarę, że przyszło na nie trzydzieścioro dzieci z rodzinami?

Odkłada telefon i rozmarzony wygląda przez okno. Jego źrenice kurczą się pod wpływem promieni słonecznych, a twarz powoli się wyciąga.

– Masz tylko jednego brata? – pytam.

– Hm? A l e ż s k ą d. – Nachyla się do przodu. – Dwóch braci, dwie siostry i ja. Razem piątka.

– Ja – uderza się w pierś – jestem środkowy. Chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna, chłopak – wylicza na palcach. – Ojciec mówi, że jesteśmy jak z weselnego układu gości. Spójrz – podaje mi telefon. – To ja i moja bratanica, Pilar.

Na zdjęciu szeroko uśmiechnięty Tomas kołysze w ramionach owinięte w biały koczyk, zaspane maleństwo.

– Uroczą. Czy też mieszka w Santiago?

Tomas przygląda mi się zdziwiony.

– Mieszka w moim domu. Wszyscy mieszkamy razem.

– Mieszkasz z bratem?

– Mój brat mieszka w naszym domu rodzinnym razem z – znów pomaga sobie palcami – żoną i ze mną, i naszymi rodzicami, młodszą siostrą i młodszym bratem... Starsza siostra zamieszkała z rodziną swojego męża.

– W Santiago?

– Na tej samej ulicy co my – wsuwa telefon do kieszeni i wzrusza ramionami. – To normalne w Chile.

– Musisz mieć ogromny dom.

– Dostatecznie duży, żebyśmy się wszyscy pomieścili. Służba też z nami mieszka – spuszcza wzrok w nagłym przypływie samoświadomości. – Wiele domostw ma służących. Traktujemy ich jak członków rodziny.

Podnosi kawę i tym razem kieruje pytanie do mnie.

– A jak to jest u ciebie? Opowiedz mi o swojej rodzinie.

– Brat i siostra. Ona mieszka we Włoszech. W Toskanii. Uczy tam angielskiego. Brat mieszka w Nowej Zelandii.

Z brzękiem odstawia filiżankę na podstawkę.

– Pracuje tam – dodaje szeptem, przepraszająco.

– A rodzice?

– No... po jednym z każdego – śmieję się słabo. Zaskoczony Tomas marszczy twarz.

– Zostali sami?

– Ja...

Przywołuję obraz rodziców siedzących w fotelach w pokoju dziennym, uśmiechających się do czegoś w telewizji i przechodzi mnie fala przygnębienia, ciśnienie, napierające na tył oczu i nosa. Podrzucili mnie na lotnisko trzy miesiące wcześniej. Tata zapytał, czy wystarczy mi pieniędzy.

– Zapamiętaj, żeby zadzwonić, jak tylko będziesz na miejscu – powtarzała mama. – Poczuję znaczną ulgę, gdy usłyszę twój głos.

Przypomniałem sobie o telefonie dopiero po trzech dniach.

– Najwyraźniej świetnie się bawisz – głos mamy był lodowaty.

Tomas gapi się na mnie, marszcząc brwi, jakbym był podchwytliwym haśle w krzyżówce. Nagle ogarnia mnie dziecięca wręcz wściekłość. Tomas spuszcza wzrok, raptem zafascynowany jakimś detalem na dywanie.

Gdy wychodzimy na ulicę, zerka na zegarek, zasysa ślinę i wykrzywia się w niezadowoleniu.

– Cóż – przykładą dłoń do czoła, osłaniając wzrok przed słońcem. Pochyliła się w moim kierunku, jakby zamierzał za mną iść.

– Chyba powinienem pójść do pracy – zauważam.

Tomas wzrusza ramionami.

– Może spotkamy się później?

– Ja... – waham się przez moment, nie wiedząc co odpowiedzieć. Zaskoczył mnie. – Yyy.

Mruży oczy. Ma długie, sztywne rzęsy, jak dziewczyna.

– Pewnie. Dlaczego nie.

Zapisuję mu na rachunku adres pubu, w którym pracuję i każe przyjść koło osiemnastej.

W telewizji leci mecz koszykówki. Stali bywalcy kotłują się pod telewizorem. Szum pogaduszek okazjonalnie przerywają okrzyki radości bądź zawodu. Kiedy nie serwuję drinków, czyszczę i poleruję kontuar, zamiatam podłogę, ścieram stołki barowe i uzupełniam zawartość lodówek, ale przede wszystkim, staram się nie zerkać w kierunku drzwi.



Tomas zjawia się kwadrans po szóstej. Wydaje się zbyt wysoki na ten niski, przytulny pub. Podchodzi prosto do baru, uśmiechając się od ucha do ucha.

Stukam w zegarek.

– Która jest niby godzina?

– Chciałem wyglądać dla ciebie jak najlepiej.

– Jeśli tylko na tyle cię stać – ośmielony, ostentacyjnie całuję go w usta.

Gdy się odsuwam, śmieje się mimowolnie.

Z obszaru telewizyjnego rozlega się zawiedzione wycie – Chicago Cubs przegrywają trzy do czterech. Tomas patrzy w narożnik z wyrazem bezgranicznego zdumienia, niczym antropolog, który właśnie natknął się na dotąd nieodkryte plemię. Jego wzrok zatrzymuje się na chwilę na grupie ludzi wlewających sobie piwo do ust, po czym odwraca głowę, unosząc brwi ze zdziwienia.

Wracamy autobusem do hostelu, żebym mógł się umyć i przebrać. Współpasażerowie stoją lub siedzą w milczeniu, wlepiając zmęczone oczy w podłogę lub sufit. Zupełnie jak w metrze w Glasgow. Deszcz bębni o szyby. Tomas głośno uskarża się na brak porządnego lata w Chicago, tak jakby został oszukany przez agenta biura podróży. Ludzie obracają się, żeby na niego spojrzeć, ale on dalej szczebiocze, nieświadomy zainteresowania, jakie wzbudza.

Aby odwrócić jego uwagę od pogody, opowiadam mu rzecz, którą sobie niedawno przypomniałem i postanowiłem zachować na specjalną okazję – historię wystawy zdjęć chilijskich uchodźców w Szkocji, którą obejrzałem kilka lat temu. Choć pamiętam głównie obrazy i ułamki opowieści, jedna z nich szczególnie zapadła mi w pamięć – o muzyku, który został uwięziony i torturowany na Stadionie Narodowym. Utknęło mi to w głowie. Takie użycie stadionu wydawało mi się szczególnie niewłaściwe.

Gdy kontynuuję narrację, zauważam że mój głos przyspiesza i staje się coraz wyższy.

– To okropne! – powtarzam na okrągło. – To takie... o k r o p n e.

Nie wiem, czy to ze względu na moje szybkie tempo, czy może odgłos kropel deszczu rozbijających się na szybie utrudnia mu słuchanie, ale Tomas nie reaguje na moje słowa. Po prostu uśmiecha się do mnie bezmyślnie, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

Mój pokój w hostelu jest wąziutki, niemal zbyt wąski, żeby zmieścić się w nim człowiek. Pojedyncze łóżko i dach nad głową – to wszystko. Tomas musi się pochylić, aby przejść przez drzwi. Patrzę, jak ostrożnie stąpa między stertami majtek i skarpetek, które zostawiłem na podłodze dwa dni temu. Pociąga nosem, a potem odsuwa grube, zielone zasłony i otwiera okno.

– Żeby wleciało trochę świeżego powietrza – mruży, gdy spotykam spojrzenie jego szeroko rozwartych, niewinnych oczu. Jak u dziecka, które ktoś przyłapał na robieniu czegoś niewłaściwego.

Idę pod prysznic, a kiedy wracam, Tomas leży wyciągnięty na moim łóżku, wpatrując się w sfatygowany egzemplarz spisanej przez Kitty Kelley biografii Franka Sinatry, którą znalazłem w hotelu w pobliżu Wielkiego Kanionu. Przeczytał już z dziesięć stron. Siadam obok niego, owinięty w talii ręcznikiem. Drugi ręcznik zwisa z mojego ramienia. Strząsam na niego wodę z włosów. Tomas śmieje się, rzuca książkę na podłogę i chwyta moją dłoń.

Przez jakiś czas siedzimy na łóżku nachyleni ku sobie. Tomas pyta, czy uważam, że mężczyźni z Ameryki Północnej są przystojni.

– Zazwyczaj mają ładne zęby.

– Masz tu wielu chłopaków?

– Nie.

– A czy masz chłopaka w Szkocji? – dopytuje.

Potrząsam głową i z uśmiechem przypominam sobie piosenkę, którą mama zwykła przy mnie śpiewać. „Mam chłopca w Ameryce i drugiego w Dundee”.

Ściskam jego dłoń.

– A ty? Czekasz na ciebie w domu jakiś chłopiec?

Jego uścisk słabnie.

– Miałem chłopaka przez jakiś czas, kiedy studiowałem. Victor. Miał na imię Victor. – Spuszcza głowę. Kąciki jego ust opadają lekko. – Ale potem przyjaciel rodziny powiedział mojemu ojcu. A ojciec – przymyka powieki na to wspomnienie – był taki wściekły.

– Och. Przykro mi.

Tomas kręci powoli głową.

– Nie sądzę, żeby ojciec kiedykolwiek zrozumiał.

Obaj gapimy się na swoje dłonie. Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę wymyślić niczego, co nie brzmiałoby lekceważąco lub nieczule.

Tomas przerywa ciszę głębokim westchnieniem. Podnosi głowę, ściąga ramiona do tyłu i uśmiecha się do mnie.

– Więc... – zaczyna, kładąc płasko dłoń na mojej piersi, a potem przesuwa ją w dół mojego płaskiego brzucha.

Całujemy się przez minutę albo dwie, po czym delikatnie mnie odpycha, zsuwa dżinsy i ściąga koszulkę przez głowę.

Choć oboje jesteśmy szczupli, z trudem mieścimy się na wąskim łóżku. Chwytamy się siebie nawzajem, żeby nie spaść. Śmiejąc się, próbujemy znaleźć wygodną pozycję, wszczepieni w siebie nawzajem, jakbyśmy dzielili wspólną butlę z powietrzem, którą stracimy, jeśli tylko się od siebie oddalimy.

*Przyszłość według Luke'a* Jamesa Robertsona to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The Future According to Luke* by James Robertson is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

James Robertson

# Przyszłość według Luke'a

przełożył Kamil Głoński

Luke Odludek był najgorszym prorokiem w historii ludu Lakota. Wpadał w transy, a kiedy dochodził do siebie, mówił, że widział przyszłość. Ale tak nie było, bo niemal wszystko, co przepowiadał, działo się dni, miesiące albo lata wcześniej. Nawet cały wiek poprzedzający ten ubiegły. W istocie nie tyle widział przyszłość, co zapominał przeszłość, a później przypominał ją sobie, jakby znów miała się wydarzyć. Jego przyjaciele, Dean Liboux i Johnny Mały Orzeł, nie mieli mu tego za złe, mimo to nie wierzyli mu zbyt, gdy prorokował.

Dean i Johnny często rozmawiali o nieudanych przepowiedniach Luke'a i stwierdzili, że jego głowa to zaśmiecona przyczepa kempingowa, w której rogu stoi telewizor, grający nieustannie stare westerny, kreskówki, reklamy i filmy dokumentalne. Trudno się dziwić, że się pogubił. Jednak nie mieli mu tego za złe. Ich głowy wcale nie były aż tak różne.

Któregoś razu Luke powiedział, że widział białych żołnierzy spadających na indiańską wioskę głowami w dół, upuszczając kapelusze. To oznaczało wielkie zwycięstwo, wytłumaczył.

- Masz na myśli starą wioskę? Z tipi i całą resztą? - zapytał Dean.
- Raczej tak - odparł Luke.
- Raczej? - zripostował Dean.
- Czy coś takiego nie przyśniło się przypadkiem Siedzącemu Bykowi przed bitwą nad Little Big Horn? - zapytał Johnny.

Luke nawet nie mrugnął.

– Ta, masz rację. Ha, i co wy na to?

Mijały dni, tygodnie, a Luke’a nie było w okolicy. Potem Dean znów go spotkał.

– To kiedy nadejdzie to wielkie zwycięstwo? – domagał się odpowiedzi.

– Już nadeszło – odparł. – Otworzyli przecież nowe kasyno.

– Wiatr na Prerii? Co to ma w ogóle do rzeczy?

– W pierwszą sobotę po otwarciu grupa pracowników z Air Force przyjechała z Ellsworth i przerznęła dwa tysiące dolarów w blackjacka. To nie jest zwycięstwo?

– I pewnie powiesz mi jeszcze, że przed wejściem zdjęli kapelusze? – zakpił Dean.

– Raczej tak.

– Ale tam nie ma żadnego tipi. Mają hotel na siedemdziesiąt osiem łóżek, ale żadnego tipi.

– Mają tipi na swojej stronie internetowej – odparł Luke. – Sam sobie sprawdź. Zupełnie jak w mojej wizji.

Dean nie miał komputera i nie znał prawie nikogo, kto miał. Znał całkiem sporo osób, które miały prąd albo telefon stacjonarny, ale komputery były wyjątkową rzadkością w rezerwacie. Luke też go nie miał, więc stronę internetową musiał zobaczyć gdzieś indziej. Zdarzało mu się znikać na długi czas, a gdy znów się pojawiał, zmyślał historie o tym, jak prowadził ciężkie życie na dzikich i skalistych pustkowiach, czekając na wizje. Często jednak widywano go wtedy w Rapid City albo Sioux Falls. Raz nawet w Denver. Może w Denver zobaczył tę stronę internetową.

Nie było nic przesadnie niezwykłego w jego zniknięciach: wielu ludzi odchodziło z rezerwatów, a potem do nich wracało, wielu spędzało czas w miastach, a i same wizje nie były rzadkością. Nawet Johnny i Dean mieli wizje. Ale ostatnimi czasy Dean starał się ich unikać. Nie palił zioła i nie jadł magicznych grzybków. Wciąż lubił pić, ale ograniczał się do Budweisera. Stwierdził, że picie wódki albo tych dziesięcioprocentowych piw to gwóźdź do trumny, a on nie wybierał się jeszcze na drugą stronę.

Co do Johnny’ego, cóż, Dean nie wiedział, czego Johnny chciał od życia. Miał dziewczynę z dzieckiem, które zrobił jej inny facet. Wydawał się ją

lubić, dzieciaka zresztą też, ale nie spędzał z nimi dużo czasu. Wolał pić ze swoimi kumplami. Dużo facetów tak robiło, czy mieli dziewczynę, czy nie. Życie było ciężkie, a picie trochę je ułatwiało. Być może nic więcej się nikomu od życia nie należało.

Johnny i Dean byli dobrymi kumplami do picia, bo obaj nie lubili się bić – ze sobą czy kimkolwiek innym. Starali się unikać kolesi, którzy byli znani z tego, że po pijaku się biją. Dostawanie od nich za bardzo bolało, tak samo jak konieczność przyjęcia przeprosin, gdy wytrzeźwieli. Obaj lubili jeździć z Lukiem, mimo że był gównianym prorokiem, bo też nie lubił się bić. Siadali we trzech i narzekali na wszystkie przykrości, które spotkały lud Lakota, a Luke przepowiadał przykrości, które miały dopiero nadejść.

Oczywiście nie trzeba było być prorokiem, żeby to robić. Wystarczyło mieć oczy szeroko otwarte. Dla przykładu Luke mógł ci powiedzieć, że w przeciągu następných trzech miesięcy będzie X wypadków samochodowych, w których zginie Y Indian, a ty wiedziałeś, że jego prorocstwo, kilka cyferek w tą czy w tamtą, się spełni. Mógł podobnie przewidzieć, ilu ludzi na terenie rezerwatu zginie od zatrucia alkoholowego, ilu przedawkuje, ilu zamordują, ilu popełni samobójstwo, ilu zostanie napadniętych, ilu zaaresztują, ilu dostanie nową robotę, a ilu straci starą, ilu dożyje pięćdziesiątki, a ilu nie – aż w końcu, po pięciu czy sześciu piwach, ktoś mu powie:

– Luke, nie mówisz nam nic nowego.

Luke odpowie wtedy:

– Ta, ale czy nie miałem racji z Little Big Horn?

Albo:

– Czy nie miałem racji z kasynem?

I nikt się z nim nie kłócił, wszyscy reagowali śmiechem – bo co można było zrobić? Zresztą nie piło się po to, by się kłócić, tylko żeby się upić.

Sprzedawanie, kupowanie albo picie alkoholu było nielegalne na terenie rezerwatu. Żeby więc się napić, Dean i Johnny brali samochód i jechali na granicę, do miejscówki Jubala Schele, do Buffalo Saloon. Tego dnia zrobili zrzutkę i uzbierali parę dolarów – akurat żeby starczyło na benzynę do zajeżdżonego auta Johnny'ego – i ruszyli w drogę. Po kilku milach minęli Luke'a Odludka, więc zabrali go ze sobą.

Był zimny, jasny, listopadowy poranek. Kiedy dotarli do Buffalo Saloon i wysiedli z auta, Dean dostrzegł śnieg na odległym szczycie Black Hills. Pokazał swoje odkrycie reszcie.

– Ta, śnił mi się – powiedział Luke.

– Widziałem go w prognozie pogody – dodał Johnny.

Bar był położony przy bocznej drodze łączącej drogę prowadzącą na poligon i autostradę do Custer. Jedynym powodem, dla którego się tam znajdował, było serwowanie alkoholu Indianom. Na dachu wisiał duży, stary znak DLA INDIAN, który w pewnym sensie potwierdzał przeznaczenie baru, jednak tak naprawdę w latach pięćdziesiątych pod znakiem było jeszcze I PSÓW WSTĘP WZBRONIONY. Dean zapytał Jubala, czy to prawda. Zrobił to bardzo grzecznie, jednak Jubal spojrzał na niego podejrzliwie, jakby ten miał sprawiać jakieś problemy, mimo że byli jedynymi klientami.

– A co jeśli tak? – zapytał Jubal. – Ten znak to relikw. Pozostałość minionych dni.

– Minione dni – powtórzył gorzko Johnny. – Już nie wrócą, co nie, Jubal?

– Z pewnością – Jubal mruknął, dając do zrozumienia, że za nimi tęskni.

– Ten znak. Prawdziwa pieprzona pamiątka z Dzikiego Zachodu.

– Może spróbuj go sprzedać na eBay’u? – zaproponował Johnny.

– A czemu miałbym to robić? – zapytał Jubal. – Kiedyś może sprzedam całe to miejsce, a ten znak jest jego częścią. Jest wpisany w to miejsce. Więc chyba go zostawię tak, jak jest. Podać wam chłopcy jeszcze po piwku?

Kiedy Jubal odszedł na bok, Johnny powiedział, że ciężko o większą ironię niż trzech mężczyzn Lakota w wieku wojownika pijących alkohol w barze białego mężczyzny położonym pomiędzy miastem o nazwie Custer a poligonem Amerykańskich Sił Powietrznych. Dean z kolei powiedział, że bardziej ironiczne byłoby, gdyby tych trzech Indian śmiało się z tego. Więc się z tego śmiali, a wtedy wrócił Jubal z piwami i zabrał pieniądze z brudnego stosu dolarów i ćwierćdolarówek leżącego na środku stołu. Jubal pozwalał im pić ile tylko chcieli, ale nie sprzedawał na zeszyt – nie Indianom pijącym na zapleczu. Gdyby w pierwszym pomieszczeniu byli jacyś biali klienci, być może turyści zmierzający w stronę Mount Rushmore, z pewnością pozwoliliby im pić na kreskę. Ale nigdy tu ich nie było.



Dean poszedł do męskiej toalety, żeby się odlać. Ściany pomalowano na ciemny, ceglany odcień przechodzący w brąz, gdzieś tam straszły ciemniejsze plamy. Niegdyś, na wiele lat zanim Dean jeszcze się urodził, w Buffalo Saloon miała miejsce niesławna bójka pomiędzy Indianami z rezerwatu a obcymi Indianami z miasta. Walczyli ze sobą w barze, wtedy ktoś poszedł za kimś do męskiej toalety, wyciągnął broń i go zastrzelił. Sama myśl o tych wydarzeniach przyprawiła Deana o dreszcze. O ile dobrze pamiętał, mężczyzna nie zginął na miejscu, ale później, w szpitalu. Przez jakiś czas Buffalo Saloon cieszyło się złą reputacją i przyciągało tłumy. Jubal powinien wtedy sprzedać knajpę. Teraz było tu przeważnie spokojnie. Były inne miejsca poza terenem rezerwatu, gdzie można było pójść i upić się dużo taniej – sklepy z alkoholem, nie bary. Tam właśnie chodziła dziś większość ludzi.

Mimo całej swojej niechęci do bójek Dean żałował, że nie było go wtedy u Jubala. Chciał, żeby coś się działo. Nieważne: coś dobrego czy coś złego. Po prostu coś. Czuł, jakby nie żył w pełni, jakby ktoś podczas snu włożył w niego rękę i ukradł mu niezbędny do życia organ. To było dziwne uczucie: nie mógł sobie przypomnieć, jak to jest tego n i e c z u ć, ale odkrył to w sobie dopiero rok temu. Ktoś mu coś ukradł – zdolność do złości, czy po prostu robienia czegokolwiek. Być może zbyt dużo pił. A może miało to związek z tym, że próbował odstawić picie? Cholera, miał dopiero dwadzieścia pięć lat, pewnie z tym skończy. A jeśli tak, to czy to uczucie wciąż w nim będzie, czy odejdzie na zawsze?

W barze Luke zaczął opowiadać Johnny'emu o swoim nowym prorocztwie.

– Musisz tego posłuchać – powiedział Johnny. – Zaczynaj od początku, Luke.

– Miałem wizję o was, chłopaki – powiedział. – O was dwóch. Nie wiedziałem tylko, który był który.

– Ja to Johnny – wypalił Dean, w tym samym czasie, kiedy Johnny powiedział:

– Ja to Dean.

– W wizji... – kontynuował Luke – w wizji nie wiedziałem, który to który.

Chcecie słuchać czy nie?

Chcieli.

– Stoicie na drodze. Na prostej drodze wiodącej prosto przez prerie. Podjeżdża pick-up i zatrzymuje się koło was. Kierowca jest biały. Ma na

głowie biały kapelusz, a na tylnym siedzeniu leży strzelba. Jednemu z was, nie wiem któremu, proponuje podwózkę, a ja mówię nie, nie, nie wsiadaj.

– A co ty tam robiłeś? – zapytał Dean.

– Niby tam byłem, ale tak nie do końca, wiecie o co mi chodzi. I krzychałem, żebyś nie wchodził do pick-upa, ale mnie nie słyszałeś.

– I w końcu wsiadam? – zapytał Johnny.

– A ja? – dodał Dean. – Ja wsiadam? – Wciąż nie brali Luke’a na poważnie.

– Żaden z was nie wsiada. Najpierw proponuje ci podwózkę. Potem proponuje ci koc. Krzyczę, żebyś go nie brał, bo przenosi ospę. Potem proponuje ci whisky. Krzyczę, żebyś jej nie brał, bo się strujesz.

– A my co na to? Po prostu stoimy i gapimy się na gościa, który proponuje nam różne rzeczy? – zapytał Johnny.

– Mniej więcej. Tak jak wam powiedziałem, nie jestem w stanie powiedzieć, z którym z was rozmawiał. Drugi z was patrzył się gdzieś w dal, w kierunku prerii. Jakby na coś czekał.

– Na co? – dopytywał się Johnny.

– Poczekaj, to ci powiem – odparł Luke. – Biały mężczyzna proponuje ci zapisany po brzegi skrawek papieru. Proponuje ci garnek i broń. Jakby miał te wszystkie rzeczy na siedzeniu i ci je pokazywał. Para dzinsów, telewizor, komórka. Za każdym razem jak coś wyjmuję, krzyczę nie bierz tego, nie bierz tego, niech sobie pojedzie.

– Ja bym wziął komórkę i dzinsy – powiedział Dean.

– Ja bym wziął broń – odparł Johnny. – Wpakowałbym dupkowi kulkę w łeb i zabrał całą resztę.

– N i e b i e r z b r o n i! – niespodziewanie wykrzyknął Luke.

Od frontu dobiegł ich głos Jubala:

– Hej! Spokojnie tam.

– Cokolwiek by się działo, nie bierz broni – dodał Luke, tym razem ciszej. Cały zlany był potem i trząsał się, jakby miał gorączkę. Johnny spojrzał na Deana. Dean spojrzał na Johnny’ego.

– Spokojnie, ziomek – Johnny powiedział do Luke’a. – Nie wezmę broni.

– Drugi z was wciąż stoi na drodze i czeka – kontynuował Luke. – W końcu ktoś nadchodzi. Jeździec na koniu. Stary wojownik, cały umalowany, w pióropuszu i całej reszcie. Ale widzę wszystko za nim, jakby był stworzony

z powietrza. Duch. Zatrzymuje swojego konia i spogląda na was, przez długi czas nic nie mówi. Nic wam nie proponuje, bo nie ma nic do zaproponowania. I wtedy mówi.

– Co mówi? – dopytywał się Dean, po tym jak Luke zamilkł na kilka sekund.

– Mówi, że nadchodzi już czas. Wszystkie duchy powracają. Bizony powracają. Jelenie i inne zwierzęta powracają.

– Litości – powiedział Johnny. – To już? To jest twoja przepowiednia? Słyszeliśmy ją już chyba z tysiąc razy.

Ale Luke Odludek zdawał się tego nie słyszeć. Lał się z niego pot, a on mówił, jakby sam był starym duchem wojownika.

– Uran wraca do ziemi. Śmieci wracają tam, gdzie powstały. I samochody, i rakiety, i zanieczyszczenie. Ludzie nie wiedzą, jak żyć w harmonii z ziemią. *Wasichus* nigdy tego nie wiedzieli, a większość Indian zapomniała lub zginęła, starając się pamiętać. Ale czas nadchodzi. Nie wsiadajcie do samochodu z białym mężczyzną. Nie bierzcie od niego żadnych prezentów. Po prostu czekajcie. Nie zapomnijcie, kim jesteście.

Luke skończył i na minutę zapadła cisza. Wtedy Luke wytarł twarz i powiedział:

– I odjechał gdzieś w głąb prerii. Spojrzałem i zobaczyłem, że drogi już nie ma. Nie było pick-upa i jednego z was, ale drugi wciąż tam stał, gapiąc się w pustkę.

– Pieprzone duchy – skomentował Johnny.

Luke położył głowę na stole. Nie trzeba mu było dużo, żeby się upił, ale wtedy wyglądał bardziej na zmęczonego niż pijanego, jakby wizja wyssała z niego całą energię. Po minucie już spał.

Johnny spojrzał na Deana. Dean wzruszył ramionami.

– Cóż, to, że on skończył pić, nie znaczy, że my musimy – powiedział Johnny i zawołał Jubala.

Jubal przyniósł im więcej alkoholu. Dźgnął kciukiem Luke'a.

– Nie może tutaj spać.

– Chyba dobrze mu to wychodzi – odparł Johnny.

– Mówię, że nie może tutaj spać. Możecie go stąd zabrać i może sobie odespać w jednym z aut na podwórku. Pięć dolarów za taki przywilej. Wtedy dam mu nawet koc.

– Niedługo wychodzimy – powiedział Dean. – Po prostu zostaw go w spokoju, OK? Jesteśmy twoimi najlepszymi klientami.

– Jesteśmy twoimi jedynymi klientami – poprawił go Johnny. – I nigdzie się nie wybieramy.

– Nie może tutaj spać – powtórzył Jubal. – Możecie go wynieść na podwórko albo zostawić na ulicy, ale tutaj nie zostanie.

– To będzie zimna noc – powiedział Dean. – Może zamarznąć. Może już się nie obudzić.

– Dlatego dostanie koc – odparł Jubal.

– Daj mu tu poleżeć, aż skończymy piwo. Potem go stąd zabierzemy.

Jubal odszedł, mrucząc pod nosem.

– Jestem pijany – powiedział Johnny. – Może wszyscy prześpimy się w jednym ze starych wraków Jubala.

– Daj mi kluczyki – odpowiedział Dean. – Ja poprowadzę. Kupimy na drogę trochę piw, zapakujemy Luke’a do auta i pojedziemy sobie kawałeczek, a potem gdzieś staniemy. Napijemy się jeszcze trochę i jeśli nie będę w stanie podwieźć cię do mnie, prześpimy się w aucie. W kupie będzie nam cieplej. Będzie padać śnieg, Johnny. Nie zostawimy Luke’a samego, tutaj czy gdziekolwiek indziej.

– Nie mówiłem, że tak zrobimy – powiedział Johnny.

– Będziemy mieć lepsze sny w twoim aucie niż na podwórku Jubala. Indiańskie sny.

Johnny położył dłoń na plecach Luke’a.

– Myślisz, że śni o nas?

Dean się zaśmiał.

– Tak, myślę, że może tak być. Myślę, że dba o nas, więc my musimy dbać o niego.

Dokończyli piwo, przeciągnęli Luke’a przez pierwsze pomieszczenie w barze i wyszli na ulicę. Właściwie nie tyle ulicę, co raczej drogę z barem i znakiem mówiącym GŁÓWNA ULICA. Jubal wyglądał, jakby pierwszy raz w życiu widział Indian opuszczających Buffalo Saloon w stanie połowicznej trzeźwości. Nie próbował jednak ich przekonać, żeby zostali. Może tak samo jak oni miał tego wszystkiego dosyć. Może wiedział, że niebawem pojawi się kolejna grupa.

Wcisnęli Luke'a na tylne siedzenie auta Johnny'ego i Johnny dał Deanowi kluczyki, po czym wrócił do środka po sześciopak.

Luke się nie ruszał.

Dean stał na drodze w chłodnym powietrzu i patrzył, jak pokryte śniegiem wzgórza rozplywają się w zmierzchu. Zdawało mu się, że bardzo, bardzo daleko widział światła zbliżającego się auta. Potem zniknęły i nie było już nic oprócz otaczającej go ciemności.

Drzwi do Buffalo Saloon trzasnęły i z baru chwiejnym krokiem wyszedł Johnny.

– Hej, Dean. Wszystko w porządku? – zapytał.

– Ta, w porządku. A u ciebie?

– Mam tutaj kilka puszek. Będzie dobrze. Co żeś tam widział, Dean? Widziałeś coś?

Dean popatrzył jeszcze chwilę w ciemność. Na niebie zbierały się chmury. Było widać kilka gwiazd, ale niedługo miały zniknąć.

– Nie wiem – odparł. – Może widziałem. A ty coś widzisz?

Johnny stał obok niego z brązową siatką pełną puszek u boku. Drugą rękę położył Deanowi na ramieniu, żeby się podeprzeć. Przez długi czas patrzyli w noc, nic nie mówiąc, podczas gdy na tylnym siedzeniu auta Luke spał jak dziecko.

*Witaj w Lenogrodzie!* Andiego Stantona to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Welcome to Flaxland!* by Andy Stanton is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Andy Stanton

# Witaj w Lenogrodzie!

przełożyła Anna Żbikowska

Lenogród! Już sama nazwa przywołuje na myśl wizje romantycznych schadzek o północy, małych pomarańczy dofinansowanych przez państwo lub kogoś mówiącego „Lenogród”. Jeśli trzeba ci barwnego zgiełku, to nie musisz wychylać nosa dalej niż za niezliczoną liczbę historycznych rynków, które zaśmiecają kraj niczym te wszystkie nieodkryte błyskotki. Jeśli gustujesz raczej w zdumiewającej architekturze, starożytnych grobowcach i dekoracyjnych budowlach, ogrom tutejszych bogactw sprawi, że oblejesz się rumieńcem. A może po prostu chcesz się zrelaksować w wielkim basenie, mając pewność, że twój hamburger już sunie do ciebie na tacy. Czegokolwiek szukasz, nigdzie paradoks kultury, sztuki i tradycji szlifierstwa pomieszany z dynamicznym pędem za komunikacją nie jest większy i dobitniej wyrażony niż w tym „kraju niustających zmian”.

## HISTORIA

Pierwotnie było to miejsce handlu dla mnichów sprzedających relikwie (na przykład kość świętego, kawałek TEGO właśnie krzyża, sandał) i owoce (na przykład melony). Centralne położenie i rozległa sieć krzaczorów czyniły z Lenogrodu przyjemne miejsce do życia nie tylko dla mnichów, ale także dla normalnych ludzi. W 1302 roku przybyli pierwsi osadnicy, aby zbudować drewniany dom. Ten właśnie dom przetrwał do dzisiaj, w takim sensie, że jego atomy istnieją gdzieś we wszechświecie. Niestety sam dom już dawno przepadł.

W rzeczy samej całkiem możliwe jest, że tak naprawdę nigdy nie istniał.

Pierwsi osadnicy byli znani jako „El Ninos Tarangeos” lub „Tłusćciochy z południa”. Gdy zdali sobie sprawę, że kluczem do sukcesu jest bogato urodzajna gleba, wywieźli ją kawałek po kawałku na sprzedaż dla szybkiego zysku do sąsiednich państw.

W rezultacie ziemia szybko stała się jałowa i od tamtego czasu w większości nie nadaje się do uprawy. Życie w czternastym wieku było pod każdym względem surowe i bezlitosne: na dwieście czterdzieści mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy jako pierwsi przybyli do osady, ani jedno nie dożyło dnia dzisiejszego.

W 1360 roku król Carlos XIICMXCLXII Kataloński odwiedził świeżo upieczone państwo i tak oto je opisał:

*Jest to miejsce nędzne, odpychające i wstrętne dla zmysłów. Gdybym miał ocenić je w skali od jeden do dziesięciu, gdzie jeden oznacza nie tak cuchnące, a dziesięć nieznośnie cuchnące, prawdopodobnie dałbym osiem.*

Jednak potem zmienił swą lichą ocenę na dziewięć.

Do końca szesnastego wieku Lenogród był państwem lennym, rządonym przez elitarną grupę baronów i książąt, którym życie upływało na beztrojskim nieróbstwie, podczas gdy ich podwładni harowali jak woły na polu. Ale renesans zmienił wszystko. Teraz baronom i książętom życie upływało na beztrojskim tworzeniu obrazów i klasycznych posągów, podczas gdy ich podwładni harowali jak woły na polu.

Dla Lenogrodu renesans był zaiste epoką pełną cudów – rzeczy, których poprzednio nie doświadczono, a przewidywano oczyma duszy, by później namalować je szczecinami na płótnach rozciągniętych na sztalugach postępu; słowo przybierało formę ciała dzięki zbiorowemu rozluźnieniu pełnego polotu jelita spływającego po wewnętrznym pejzażu narodu niczym oczyszczający, brunatny deszcz.

Jednym z najbardziej znanych obrazów z tego okresu jest *El Ninos Tarangeos* („Adonis w lesie”) Giuverchiego, który wisi teraz w Galerii Narodowej Lenogrodu. Dzieło jest doprawdy znakomite, większość drzew ma z grubsza odpowiedni kształt. Jako kolejną słynną pracę lenogrodzkiego



renesansu wymienia się rzeźbę przedstawiającą Adama i Ewę, obraz rzeźby oraz rzeźbę obrazu rzeźby, którą jeden ze współczesnych krytyków nazwał „bezmyślną”.

Moda na sztukę i słodkie rozmyślenia nie trwała wiecznie. W 1730 roku narodowe pędzle zamieniono na miecze: wybuchła Wojna Domowa, dokładnie tak, jak przewidział to wielki prorok Streptokok dwa dni wcześniej. Wojna szalała przez prawie dwadzieścia lat, niemalże niewyobrażalną długość czasu. Dla porównania, jest to nieomal 631 138 519 sekund lub tak długo jak szesnaście tuzinów autobusów piętrowych. Śmierć zebrała straszliwe żniwo. Była tak okrutna, że niektórzy umarli aż dwa razy.

Na początku konfliktu wściekły tłum zdetronizował króla, po czym ten czmychnął do północnej Francji. Jednak nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Został stolarzem i modelował stoły z umyślnie krzywymi nogami, by eksportować je z powrotem do ojczyzny w ramach powolnej, lecz nieustępliwej kampanii przeciw swym krytykom. Ów podstęp w końcu wydał owoc: przekonawszy się, że ich plany i mapy nie utrzymują się na koślawych stołach, rewolucjoniści byli zmuszeni przyznać się do klęski. Ich plany leżały w gruzach, a w 1719 roku król wrócił do domu, aby odzyskać koronę, a tym samym położył kres temu nieszczęsnemu epizodowi. Kraj stopniowo powracał do normalności – jednak naród wiele wycierpiał i pewna krzta niewinności przepadła na wieki.

Na Placu Parlamentarnym wzniesiono pomnik wojenny w kształcie tańczącego clowna, który symbolizuje gorycz konfliktu. Stoi tam do dziś – przejmujące wspomnienie tragicznych czasów.

Po tych wydarzeniach przez kolejne kilkadziesiąt lat nic takiego się nie działo.

## LENOGRÓD – LUDOWOŚĆ I LEGENDY

Często mówi się, że Lenogród to magiczne miejsce i nigdzie te słowa nie brzmią tak prawdziwie jak w okolicy licznych jaskiń, które oblepiają północno-wschodnie wybrzeże kraju niczym plaster miodu. Mila po mili te geologiczne cuda kryją więcej duchów niż jakakolwiek inna część świata. Oczywiście nie wszystkie zjawy są życzliwe, niektóre bywają wręcz groźne. Ale ogólnie są przyjaźnie nastawione, a jeśli jakiś podróżny zbłądzi, praw-

dopodobnie przygarną go na noc i zabawią pokazem nekromancji i fosforyzujących emanacji. Najstynniejszym nadprzyrodzonym rezydentem jaskini jest El Ninos Tarangeos (dosłownie: Żołnierz na opak), którego koszmarne aparycja kłóci się z jego łagodną naturą i znajomością lokalnej flory. Niech cię jednak nie zwiedzie jego łagodna natura i znajomość lokalnej flory – jeden fałszywy ruch i jesteś martwy, ot, kolejna ofiara jego kłapiących zębów. Co więcej, niektóre jaskinie są trujące. A nie, wszystkie są.

Przez wieki Lenogród terroryzowały czarownice, dla których kraj stanowił dogodne miejsce postoju podczas długich corocznych migracji. Skwaszały mleko, odkwaszały kwaśną śmietanę i pustoszyły regionalne sery – powstrzymanie tej zarazy zdawało się niemożliwe. Jednakże w 1873 roku wymyślono rozwiązanie w postaci małych tabliczek umiejscowionych na polach:

*Jeśli jesteś czarownicą – proszę nie przychodź tutaj.*

Od tamtej pory Lenogród stał się wolny od czarownic, z czego jest całkiem zasłużenie dumny. Co się tyczy innych cudownych stworzeń, w najlepszych wypadkach dowodów jest niewiele. Krążą plotki na temat istnienia mikroskopijnych olbrzymów na kresach zachodnich, ale w czasie pisania tych słów, informacja pozostaje wciąż niepotwierdzona. Wiele mniejszych wiosek donosi o „anty-wampirach”, osobliwych stworzeniach, które wpompowują krew i suplementy witaminowe w ciała zwierząt domowych i bydła, ale tutejsi ludzie są niezwykle przesądni i ów istotą może być nie kto inny jak zwykły weterynarz.

## ROZRYWKA I ŻYCIE NOCNE

Brak.

## KUCHNIA

Potrawą narodową jest „El Ninos Tarangeos”, inaczej „Bestialski talerz”. Zazwyczaj podaje się go w ogromnej ceramicznej wazie i zawiera pokaźny wybór lokalnych mięs. Do najbardziej typowych należą: dziki królik,

koza, diabelska mucha, kurczak, wołowina i wieprzowina. Danie różni się w zależności od regionu i scenerii. W drogiej restauracji możesz spotkać się z uzupełnieniem potrawy o rybią ikrę, sarninę oraz wędzoną szynkę, w małych górskich barach przyozdobią ją byle głównem, jakie akurat się napatoczy. Potrawą delektują się wszystkie warstwy społeczeństwa, stąd też czasami nazywa się je „El Ninos Tarangeos” („Drabina łącząca nas wszystkich”). Owoce morza są tu świeże i liczne. Uważaj na ostrygi, bo niektóre mogą dosłownie stanąć w płomieniach, gdy się za nie weźmiesz. Nie poleca się lokalnego gatunku kraba, ponieważ jest zdolny do reinkarnacji w żołądku i powzięcia szaleńczej zemsty. Piotrosz, tuńczyk i marlin są w porządku. Jeśli znasz odpowiednich ludzi, możesz zdobyć mięso wieloryba.

Orzechy, nasiona i jagody są tu znane, ale traktowane z rezerwą. Herbata jest słodka i żwirowata, może zawierać części kostki Rubika albo paski rzepu, zależnie od tego, kto jest u władzy. Lokalna odmiana melonów – mięsista i smakowita – sięga czasów mnichów i koniecznie musisz jej spróbować.

Kuchnię lenogrodzką cechuje pewna osobliwość, otóż restauratorzy mogą często żądać od ciebie, abyś stanął u podstaw wysokiej ściany, podczas gdy oni opuszczają jedzenie na sznurkach prosto do twych ust. Co więcej, regulowanie rachunku przez dzieci uważa się za *de rigueur*. Stosunek mieszkańców Lenogrodu do wegetarian jest dość złożony. W niektórych częściach kraju wegetarianizm uznaje się za lekkie zboczenie, takie jak transwestytyzm czy lizanie wnętrza zamrażalnika. Niemniej jednak szefowie kuchni są raczej tolerancyjni i w razie konieczności chętnie coś upichcą. Weganie pod żadnym pozorem nie mają wstępu do kraju.

Jedno słowo ostrzeżenia: za żadne skarby świata nie próbuj tutejszej odmiany melona.

## PRZEMIESZCZANIE SIĘ, WALUTA, TRANSPORT

W Lenogrodzie istnieje takie powiedzonko: „Możesz przemieszczać się samochodem, pociągiem, autobusem, łódką, samolotem, rowerem, motorem, skuterem wodnym, poduszkwowcem, na piechotę lub jakoś inaczej”.

Transport publiczny jest tani, ale znany z niepunktualności. Lenogrodzcy kierowcy autobusów są całkowicie zafascynowani możliwością nowych doznań i nieustannie wybałuszają oczy na widok cudów tego świata, często też zjeżdżają z wierzchołka klifu dla samego dreszczyku emocji lub zatrzymują się po drodze, aby wykonać zaimprovizowaną solówkę na bębnie, ciągnącą się do godzin porannych. Pociągi stanowią bezpieczniejszą opcję, ale bywają zagazowane. Łapanie stopa nie należy do najlepszych pomysłów, gdyż, według prawa stanowego, każdy, kto wejdzie do prywatnego pojazdu, staje się dożywotnim mieniem właściciela.

Od 2006 roku walutą narodową jest euro. Jedno lenogrodzkie euro odpowiada w przybliżeniu ośmiu eurocentom. Przygotuj się na targowanie w sklepach i punktach usługowych, niekiedy nawet przez kilka dni. Wybieganie ze sklepów z przyciśniętymi do piersi rzeczami, za które nie zapłaciłeś, jest zdecydowanie fe.

W Lenogrodzie opłaty za rozmowy telefoniczne nalicza się według odległości między rozmówcami, więc jeśli wykonujesz długodystansowe połączenie, opłaca ci się najpierw przejść kilka mil.

Miej świadomość, że rząd przechwytuje wszystkie maile i często dla żartu zmienia niektóre słowa czy wyrażenia. Wielu zwiedzających Lenogród po powrocie do domu usłyszało pytanie, co mieli na myśli, pisząc „tę uwagę na temat słonia i księdza”. W wypadku sytuacji awaryjnej najbliższy Konsulat Brytyjski znajduje się w Lizbonie.

To by było na tyle! Życzymy ci wszystkiego, co najlepsze, podczas pobytu i mamy nadzieję, że będziesz się świetnie bawić w tym fascynującym i czarującym miejscu. Parafrazując Bastiferausa, najwybitniejszego żyjącego narodowego pisarza (1830–1892): *Całe życie tutaj... jest... w... miejscu... gdzie... topielec... krzyż Jezusa... nie... jest... przesądzony... grabie.*

Świat pełen cudów już na ciebie czeka. Witaj w „ukrytym klejnocie Europy”.  
Witaj w Lenogrodzie!

## KILKA PRZYDATNYCH ZWROTÓW

Dzień dobry – *Nistra*

Do widzenia – *Nistraa*

Proszę – *Nistraaa*

Dziękuję – *Nistraaaa*

Betoniarka – *El Ninos Tarangeos*

*Rzeczy, które wzięłam ze sobą, wiedząc, że opuszczamy dom na zawsze* Jenny Valentine to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The things I brought with me when I knew we were leaving home forever* by Jenny Valentine is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Jenny Valentine

# Rzeczy, które wzięłam ze sobą, wiedząc, że opuszczamy dom na zawsze

przełożyła Aleksandra Wolak

Moja babcia była najchudsza kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Nogi niczym trzciny wystawały z ołowianych sadzawek jej butów. Nadgarstki tonęły w rękawach – ruchliwe, stanowcze i kruche. Wciąż wybrzuszący się materiał jej ubrań trzymał się w miejscu za pomocą sznurka i dodatkowych szwów.

Właściwie mogłaby się zmieścić w mojej walizce, gdyby starczyło nam czasu.

Była taka zwinna i lekka. Kiedy byłam mała, myślałam, że wiatr może ją unieść i porwać, lecz nigdy do tego nie doszło. Samą swoją obecnością w jakimś miejscu sprawiała, że stawało się ono bezpieczne.

A przynajmniej tak mi się zdawało, przez całe lata.

Spędzałyśmy nasze dni razem. Jej pajęczę, wychudzone ręce nauczyły mnie jak robić chleb, jak chwycić kurę, by oszołomiona zawisła w uścisku, jak nad parą odkleić znaczek z koperty i użyć go ponownie, jak coś posadzić i sprawić, by rosło.

Widzę ją teraz. Ze słońca wchodzę przez cieniste drzwi, jej dom jest jedyną stałą rzeczą wśród szalejącego tornada, jedyną rzeczą, która się nie zmieniła. Ciche tykanie zegara, portrety rodzinne, zapach gotującego się jedzenia, sfatygowany koronkowy obrus, który zrobiła, zanim wyszła za męża, wciąż naprawiany i używany, mroczna cisza. A oto i ona, na zewnątrz w ogródku, przeganiająca kury, sadząca nagietki, podczas gdy wojna szaleje dokoła.

Kiedy przyszli ci mężczyźni, nie chciała ich wpuścić. Odezwała się, a pierwszy z nich uderzył ją tak, że poleciała jak piórko w powietrze, niemal w zwolnionym tempie, unosząc się, a potem nagle lądując w rogu na zgiętych nogach i rękami uniesionymi na spotkanie ze ścianą.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby moja babcia upadła.

Jak szarańcza włali się do domu, który skurczył się wokół nich, pustoszony, plądrowany. Deptali ziemię, papierowe twarze i potłuczone szkło.

– Nie ma ich tu – powiedziała ze swojego kąta, jak gdyby szukali moich rodziców w filiżankach i książkach, w rozdartych, krwawiących poduszkach.

– Nie ma ich tu – powtórzyła głośniej, jej język zgrubiał od krwi, zęby nią okolone.

Zły rodzaj krwi, podobno. Zła rasa.

A ja tylko krzyczałam.

Babcia przypomina mi to teraz. Siedzi przy oknie nad robótką i spogląda na mnie zza okularów.

– Cóż to był za dźwięk – mówi, kręcąc głową ze szpilkami w ustach. – Jak wściekły kot.

– Przepraszam, babciu – mówię, a ona się uśmiecha, szpilki połyskują.

To dzięki jej pieniądzom mogliśmy wyjechać. Gdy je liczyła, banknoty wypadały jej z rąk, musieliśmy schylać się i szukać ich gorączkowo na zakurzonej podłodze. Nigdy wcześniej nie widziałam tyle pieniędzy, miała je ukryte w butach, wszyte w ubrania, zakopane w ogrodzie. Nie chciała jechać



z nami. Śmiała się i kręciła głową, kiedy ją o to zapytałam. Zanim skończyłam machać, odwróciła się do mnie plecami.

W nocy w naszej chacie jest ciemno.

Nie tak ciemno jak wtedy, gdy tu przyjechaliśmy, w grobowej ciszy, nie mając odwagi oddychać. Było wtedy tak duszno i tak kompletnie, całkowicie ciemno, że po jakimś czasie zaczęłam się zastanawiać, czy coś takiego jak światło w ogóle istnieje, czy tylko to sobie wyobraziłam. Więc nie tak ciemno jak wtedy, bo takiej ciemności nie ma, ale na tyle ciemno, że nie możesz zobaczyć swojej ręki przed oczami, nie możesz zobaczyć, co ona robi.

Jest zbyt głośno, by spać. Nie wiem, jak oni wszyscy mogli zasnąć. Wiatr przylatuje do nas znad pół i próbuje dostać się do środka przez wszystkie szpary, szczeliny i dziury na raz i narzeka, gdy mu się to nie udaje, wyje, z wysiłkiem szukając innej drogi.

Mój ojciec śpi, jaskinia jego gardła zapadła się, a oddech ma głośny i płynny. Myślę, że tego właśnie pragnął cały dzień – zapomnienia.

Ojciec pije, żeby zapomnieć. Pije, bo nie musi już mieć pewnej ręki. Bo uciekliśmy, zostawiając jego matkę w domu i, w przeciwieństwie do mnie, on nie może jej zobaczyć. Bo trafiliśmy właśnie tutaj. Jak ogolić się zardzewiałą maszynką, kiedy pięć innych rodzin stoi w kolejce do tego samego kranu? Jak utrzymywać standard? Jak profesor może znaleźć sobie lepszą pracę niż zbieranie ziemniaków? Mój ojciec pije, bo życie, jakie miał, już się skończyło.

Kto by go za to winił?

Moja mama śpi cicho, ale zanim zaśnie, modli się. Nie na tyle głośno, że bym mogła usłyszeć słowa, jakie kieruje do Boga (czyja to wina, pytam, że tu jesteśmy), ale wystarczająco głośno, że słyszę delikatne mlaśnięcia, ruchy, jakie wykonują jej usta, gdy dziękuje za to, co nam zostało, cokolwiek by to nie było. Jej dźwięki są ładne, nasłuchuję ich w ciemnościach, choć czasem myślę, że moja mama jest niemądra.

Dopiero kiedy wszyscy usną, mama zamilknie, tato zacznie chrapać, a jedynym moim towarzyszem staje się wiatr, dopiero wtedy sięgam po walizkę ukrytą pod moim łóżkiem i otwieram ją.

Wychodzi z niej moja babcia, słońce pada na jej luźną, pomarszczoną skórę, na podążające za nią kury, na jej cienkie kończyny.

Przynosi mi rzeczy, o które prosiłam.

Słoik światła.

Domowe światło, które od razu łączy się w płaszczyzny słońca i cienia. Światło, które ogrzewa twoją skórę od samego rana, przez cały dzień. Światło, które wszystko zanurza w czystym złocie.

Zapamiętałam je i tęsknię za nim. Tutaj światło jest słabe i szare, pada jednakowo płasko i nie daje ciepła. Jest jak ta chwila przed wschodem słońca, ale przeciągnięta w nieskończoność, bo słońce nigdy nie wschodzi. Jest ciągłym oczekiwaniem.

Babcia z uśmiechem otwiera dla mnie słoik i nagle powietrze wypełnia się gorącym złotem, czerwienią ziemi w jej ogrodzie i ostrym pomarańczem nagietków. Nasza czarna chata kipi kolorami. Przez chwilę widzę prawdziwą zieleń mojego koca, żywy brąz własnych ramion, błękit żył pod skórą. Jest tak, jakby ktoś zapalił zapałkę, dopóki babcia nie zamknie słoika, starając się nie zmarnować ani odrobiny tego, co w środku, i nie obudzić pozostałych. Nagle znów jest ciemno, wiatr wyje i tylko słaba poświata pozwala cokolwiek zobaczyć.

Moja księga roślin.

Zrobiłyśmy ją razem, babcia i ja, była wypełniona nasionami i suszonymi kwiatami, moim powolnym, starannym pismem i jej zgrabnymi rysunkami liści. W księdze zawiera się cały ogród, wszystkie jego sekrety i rzeczy, o których wiem, że są prawdą, bo to ona mi o nich powiedziała. Podaje mi księgę, która jest cięższa niż pamiętam, gruba, rozpada się w rękach od wilgoci. Okładka odpadła, pomarszczona i ubłocona przez buty żołnierzy. Nasz książkowy ogród czai się pod moimi palcami, gotowy, niecierpliwy. Przewracam strony, a one wzdychają i szeleszczą, objijając się o moje dłonie, jak skrzydła ciem.

Jak odciąć pęd róży i wyhodować z niego nowy krzew. Jak poślubić dwa drzewa. Jak wyhodować pomidory ze skórką niczym woda. Jak zwabić

pszczoły. Jak zrobić lekarstwo z każdego kwiatu. Jak przechowywać nasiona, aby nawet za kilka pokoleń dały się obudzić z suchego snu.

Kiedy czytam nasz ogród, słyszę je – jej czerwono-srebrne radio.

Stoi na półce w kuchni mojej babci, ma pękniętą rączkę i pokrętko, które przeskakuje i trzeszczy, kiedy się obraca. Ona zbliża je do mojego ucha, piosenka pobrzmiwa niewyraźnie wśród trzasków i szumu niczym ciągły aplauz, owacja na stojąco. Ja też biję brawo, gdy z rzadka usłyszę mój ojczysty język, wypowiedany z nonszalancją, codzienny. Ponad nim słyszę warkot samochodów i klaksonów, chór ptaków, psów i głosów, stukot kół i pospiesznych kroków, dźwięki domu.

Moja mama wierci się przez sen, a ja spoglądam w górę i nagle słyszę mruczenie, słodki pomruk naszego kota, który rozciąga się w walizce niczym jogin, mruga, wygląda na zewnątrz. Właściwie to nie jest nasz, zwykły dachowiec, który lubił przechadzać się po naszym podwórku i straszyć kury, pojawiał się ni z tego, ni z owego na parapecie kuchennego okna albo na całe popołudnie zwijał się w kłębek na krześle. Wyciągam do niego rękę, zastanawia się nad nią chwilę, zanim pozwala mi podrapać się za uchem, jego głowa mocno wciska się w moje dłonie, przyjemne mruczenie nie ustaje. Nie pomyślałam, by o niego poprosić, ale przyszedł i tak. Maszeruje wzdłuż moich nóg, zawraca, sprawdza, czy łóżko jest wystarczająco wygodne, i mości się na moich kolanach, ciepły, miękki i żywy.

Babcia wyciąga dłoń, by go pogłaskać, a ja pytam:

– Przyszło coś od Julii?

Odwraca wzrok i kręci głową, zmarszczki wokół jej ust niczym szwy, związują jej usta.

– Dałaś jej moje listy?

Potakuje. Oczywiście, że dała.

Podaję jej ostatni z nich, nagryzmołony małymi literkami na rozdartej, wygładzonej papierowej torbie.

„Kochana Julio” – zaczyna się tak, jak wszystkie pozostałe. „Mam nadzieję, że masz się dobrze”.

Jestem pewna, że wcale tak nie jest.

Myślę o mojej najlepszej przyjaciółce, która została w domu beze mnie. Stoi na ulicy, tam, gdzie widziałam ją ostatni raz, wciąż macha, niezdolna do ruchu, zatrzymana w czasie i kadrze, w którym ją zamknęłam. Mam nadzieję, że dzięki temu nie stanie jej się nic złego.

Kogo chcę oszukać?

Babcia chowa mój list do walizki, ja głaszczę śpiącego kota i nie rozmawiamy o Julii, na dworze robi się jasno. Wiatr niesie krzyk wron po polach, ludzie kręcą się i budzą, a ona pakuje także resztę rzeczy: słoik wypełniony światłem, naszą księgę roślin, swoje radio. Kot wstaje i, skłoniony ruchem jej ręki, wspina się do środka. Żegnamy się.

Znów jest rano.

Jestem gdzie indziej, gdziekolwiek to jest.







*Bain de Soleil* Davida Vanna to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Bain de Soleil* by David Vann is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

David Vann

# Bain de Soleil

przełożyła Barbara Kubica

Williams College w Massachusetts. 1985 rok. Przyjechałem z Kalifornii w porwanych dżinsach. Chodziłem bosy po rozżarzonych węglach, medytowałem, zgłębiałem chirurgię eteryczną, mając nadzieję zostać mistykiem. Jeden z moich współlokatorów miał zielone portki w kaczki. Nie pojmowałem tych spodni. Nigdy by mi nawet przez myśl nie przeszło, że na tym świecie może istnieć coś takiego. Jeździł Saabem 900 Turbo, miał czarny komputer, bez nazwy marki. Posiadał nowe narty i koszule w każdym odcieniu różu oraz błękitu i nie był samotny.

Oczywiście starałem się zdobyć przyjaciół. Próbowałem na przykład z Essicą Kimberly, dziedziczką fortuny Kimberly-Clark, której logotyp widnieje na każdym uchwycie na rolkę papieru toaletowego. Rozbawiło ją to, ale nie skusiła się.

Próbowałem zaprzyjaźnić się z przyjezdnymi z Oregonu, ale byli lepiej przystosowani. Próbowałem z grupą afroamerykańskich studentów, ponieważ byli rozgoryczeni pobytem w tym miejscu, ale nasza gorycz nie była taka sama. Próbowałem z Annie, dziewczyną mającą skłonności samobójcze, ale ciągle gdzieś znikwała i być może się zabijała.

Tak więc wraz z nastaniem śniegów zszedłem do piwnicy. Mieliśmy tam urządzenie grzewcze, które buczało w bardzo miły sposób. Zamykałem oczy i nuciłem do tego buczenia, w harmonii. Robiłem tak godzinami.

Wychodziłem również na zewnątrz i wirowałem w śniegu, zwłaszcza w księżycową noc. Obracałem się w kółko tak szybko, jak tylko potrafiłem, wpatrując się w księżyc, czasami niemal przez godzinę, aż miałem takie zawroty głowy, że przestawałem czuć się samotny. Nigdy przedtem nie piłem

żadnego napoju alkoholowego, ani też jeszcze nie próbowałem narkotyków, więc wirowanie i grzejnik w piwnicy stanowiły dla mnie szczyt rozrywki.

Lecz wtedy wreszcie, na wiosnę, podczas projekcji „Charliego i fabryki czekolady”, zawarłem przyjaźń, z Jamiem. Nauczył mnie jeździć na monocyklu i obaj przeprowadziliśmy się na Zachodnie Wybrzeże. Przeniosłem się na Stanford, a on dostał się na studia doktoranckie do Berkeley. Tamtego roku zawijaliśmy się w stary śpiwór wojskowy mojego ojca i turlaliśmy się z pagórków za kampusem Stanforda, tocząc się z hałasem, frunąc i krzycząc, bawiąc się może jak jeszcze nigdy w życiu. Jeździliśmy na monocyklu po całym Berkeley. Jedliśmy wegańską chińszczyznę z brązowym ryżem i śmialiśmy się ze spodni w kaczki.

A potem, latem, poleciliśmy do Francji, i to wtedy wszystko się zmieniło.

Rodzina Jamiego z Paryża miała córkę, która kończyła szkołę średnią. Pewnego dnia wrzasnęła. Wrzasnęła na środku korytarza i upadła na podłogę. Myślałem, że ktoś umarł. Jednak tylko zerwał z nią chłopak. Krzyczała i wyła całą noc. Nie żartuję, dwanaście godzin bez przerwy. Była gotowa odgryźć sobie nogę. Ból, który odczuwała, był przejmujący i zwierzęcy. Tłukła czołem o podłogę, dopóki matka nie odciągnęła jej głowy do tyłu.

Nie wiedziałem, jak zareagować, ale też nikt nie oczekiwał mojej reakcji. Znów stawałem się samotnikiem. Jamie zajmował się rodziną, a ja nabawiłem się zapalenia oskrzeli, byłem cały czas senny, pozbawiony energii. Chciałem pograć na mojej gitarze, ale w mieszkaniu nie było wolno ze względu na cienkie ściany, na ulicy było to nielegalne bez pozwolenia, a kiedy przysiadłem na trawniku w parku, dowiedziałem się, że to też było sprzeczne z prawem. Usiadłem więc sam w sypialni i po prostu ją trzymałem. Moje ramiona przynajmniej coś obejmowały. Czułem się nieco żałośnie.

Nigdy nie uczyłem się francuskiego, a rodzina Jamiego odzywała się do mnie po angielsku jedynie po to, żeby powiedzieć rzeczy takie jak: „Biedny amerykański chłopiec, nigdy nie próbowałeś prawdziwego majonezu”. Uważali mnie za niezmiernie irytującego, głównie dlatego, że za dużo gwizdałem przez pierwszy dzień lub dwa. Zawsze gwizdałem, ale większość ludzi tego nie lubi. Przez wszystkie lata polowań w dzieciństwie, kiedy wędrowałem przez dziesięć lub dwanaście godzin z bronią i psem, gwizdałem, a potrafiłem uzyskać dwa tony jednocześnie, melodie w harmonii. Marzyłem, że



zostanę pierwszym bluesowym muzykiem, który będzie w stanie zagwizdać dwa dźwięki naraz. Raz udało mi się uzyskać trzeci dźwięk, niski i gładki, ale stało się to tylko raz i nikt mi nigdy nie wierzy.

Nie jestem pewien, jak do tego doszło, ale Jamie mnie rzucił. Zdał sobie sprawę, że jest gejem i zostawił mnie dla gościa o imieniu Duncan. Nigdy nie poznałem Duncana, ale rzekomo był Brytyjczykiem i oferował szersze perspektywy. Tak więc pojechałem do Quiberon w Bretanii, ponieważ leżało z dala od Paryża. Przepłynąłem promem na jakąś wyspę i rozbiłem namiot na odsłoniętym cyplu.

Niska, dzika trawiasta roślinność zbrązowiała na słońcu. Małe polne kwiatki nie dawały za wygraną. Wyspa była piękna, ale letnie słońce świeciło intensywnie i brakowało cienia. Nie rosło tam ani jedno drzewo. Nie miałem filtru przeciwsłonecznego ani kapelusza. Próbowałem posiedzieć w swoim namiocie, ale było tam jak w piekarniku.

Poszedłem do miasta po krem z filtrem. Wioska z jedną ulicą. Moje czoło, nos i kark piekły. Nawet ramiona i nogi. Spiekłem się na raka. Szyldy były dla mnie nieczytelne, ale w końcu znalazłem sklep, niski skład bez świateł w środku, bardzo ciemny po oślepiającym blasku. Potrzebowałem też okularów przeciwsłonecznych. Wyruszyłem na tę wycieczkę załośnie nieprzygotowany.

Przyjrzałem się każdemu produktowi wystawionemu na drewnianych półkach w bardzo małym sklepiku, ale nie znalazłem nic, co wyglądałoby na krem do opalania. Żadnego kapelusza, żadnych okularów przeciwsłonecznych. Nadmuchiwane piłki plażowe, ręczniki, żywność, wino, chleb. Chwyciłem słoje korniszonów, najmiłsze wspomnienie z Paryża. Czekałem w kolejce, a kiedy dotarłem do lady, wszyscy czekali. *Une baguette*, poprosiłem. I następnie zacząłem powtarzać w kółko jedyne zdanie, które znałem po francusku: *Je voudrais un pain aux raisins s'il vous plait*. Poproszę pieczywo z rodzynkami. Musiałem powtórzyć kilka razy, ale w końcu podano mi chleb z rodzynkami.

– Krem do opalania? – zapytałem po angielsku.

Puste spojrzenia dookoła, a także pewne wrażenie zniecierpliwienia.

– Krem do opalania? – zapytałem ponownie.

– Hm – powiedziałem. Byłem zdesperowany. Wtedy przypomniałem sobie o marce kremu z filtrem ze Stanów Zjednoczonych: Bain de Soleil. Pogłaskałem się zatem po policzku, nachyliłem się blisko i powiedziałem Bain de Soleil.

Kobieta za ladą cofnęła się o krok. Rozejrzałem się naokoło po innych klientach. Pogładziłem dla nich mój spalony policzek, mówiłem Bain de Soleil, Bain de Soleil. Wpatrywali się w podłogę.

„Kąpiel w słońcu” lub „kąpiel słoneczna”. Oto co tak naprawdę mówiłem. Mogło się zatem wydawać, że to polecam, chwając się moim poparzeniem. Albo może wyglądało to tak, jakbym objaśniał mój stan umysłu? Lub nawet jak gdybym chciał, by ktoś przygotował mi kąpiel słoneczną.

Po prostu w kółko to powtarzałem, jak wariat. Bain de Soleil, Bain de Soleil. Nie wiedziałem, co innego robić. Nikt nie chciał na mnie spojrzeć. Byłem sam, co zaczynało wydawać się moim naturalnym stanem, czymś, od czego nigdy nie będę w stanie uciec. Miałem nadzieję, że Williams College był anomalią.

Zapłaciłem za chleb, korniszony i kawałek sera i wyszedłem. Żar słoneczny nie zelżał. Chodziłem w tę i z powrotem po wiosce w poszukiwaniu jakiegoś innego sklepu, lecz żadnego nie znalazłem. Polna droga, żadnych samochodów, dostęp wyłącznie promem. Wróciłem do sklepu.

Przywitały mnie ostrożne spojrzenia. Mogli pomyśleć, że będę próbować oddać ser lub nadgryzioną bagietkę. Miałem na sobie wyłącznie T-shirt i krótkie spodenki i od paru dni nie brałem prysznicu. Nawet samemu sobie wydawałem się nieco podejrany.

Rozejrzałem się za kapeluszem i znalazłem parasol. Mało przydatny przedmiot w miejscu, które nie widziało deszczu, lecz odczułem wdzięczność. Był drogi, ale kupiłem go i wyszedłem. Otworzyłem mój parasol i poczułem obecność rzucanego przezeń cienia. Pieczenie ustało. Po raz pierwszy od kilku dni byłem szczęśliwy. Czułem, że moje życie wraca na właściwe tory.

Opuściłem wioskę i wróciłem na cypel, ale wkrótce okazało się, że mam towarzystwo. W ślad za mną ruszyła grupa składająca się z tuzina chłopaków młodszych ode mnie o kilka lat. Szli jakieś pięćdziesiąt stóp za mną i śmiali się. „Ty piękny amerykański chłopiec”, mówili i udawali, że niosą parasole. Podrygiwali i dygali. Zacząłem się bać. Przewaga była po ich stronie. Wierzyłem, że jeżeli się odezwę, zaatakują mnie. Czekali tylko na pretekst.

Tak więc wszedłem do mojego namiotu, zamknąłem się w nim od środka i, prażąc się w tym piekarniku, żywiłem nadzieję, że zostawią mnie w spokoju.

Gwizdali przez dłuższy czas, podeszli bliżej i kopali mój namiot, bębnilo w sufit dłońmi. Wyciągnęli paliki i pozwolili konstrukcji się zaważyć. Na tym jednak się

skończyło. Nie pobili mnie, choć mogli to zrobić z łatwością. Siedziałem wystraszony, pociełem się i czekałem, aż ich głosy i kroki znikły w oddali, a wtedy poczekałem jeszcze trochę dłużej. Rozpłakałem się, ponieważ było mi siebie ogromnie żal. Płakałem także z powodu Jamiego, bo był moim najlepszym przyjacielem i nigdy więcej go nie zobaczę.

Po prostu nic z tego nie rozumiałem. Myślałem o tej dziewczynie z rodziny Jamiego, jak tłukła czołem o podłogę, bez ustanku. Nigdy nie byłem zakochany i nie chciałem się zakochać, jeśli miałyby to oznaczać coś podobnego. Nie rozumiałem, jak Jamie mógł mnie tak po prostu zostawić i zastanawiałem się, czy byłem dla niego raczej obiektem romantycznego zainteresowania niż przyjacielem. Czasami w nocy grał w pewną grę, ściągając ze mnie koc i pościel. Tak mocno się śmiałem, że ręce opadały mi z sił i nie mogłem się opierać. Zaczynał w jednym rogu i po prostu ściągał koc cał za całem, a kiedy koca już nie było, ciągnął za kołdrę, a kiedy już ją ściągnął, zabierał się za prześciera-dło, aż zostawałem sam na gołym materacu, śmiejąc się. Uwielbiałem tę grę i nigdy nie miała dla mnie podtekstu seksualnego, ale z perspektywy czasu była to zabawa, która obejmowała łóżko i w pewnym sensie odzieranie mnie do naga. Chciałem porozmawiać z Jamiem, choć raz, żeby poznać jego wersję historii. Nie rozumiałem też, dlaczego nie mogliśmy nadal się przyjaźnić. Czy jest miejsce tylko dla jednej osoby? Jeśli tak, był to najgorszy aspekt miłości.

Znalazłem suwak zamka i wy dostałem się z namiotu. Ani żywej duszy. Tylko lekka bryza, słońce już nieco niżej. Byłem przemoczony od potu i kręciło mi się w głowie. Wbiłem z powrotem paliki, chwyciłem parasol i wybrałem się na przechadzkę po cyplu.

Pojawiły się meduzy. Były wszędzie, zapychając zbiornik wodny, uniemożliwiając pływanie. Miało to trwać tygodniami. Nie zapuszczałem się dalej niż do plaży. Były niczym pomarańczowo-czerwone światła ostrzegawcze zasiedlające każdą wolno przelewającą się falę. Byłem pewien, że woda była chłodna i o wiele spokojniejsza niż w Kalifornii. Chciałem popływać, ale nie było o tym mowy.

Wciąż oglądałem się za siebie. Zastanawiałem się, czy chłopcy mogą wrócić w nocy. Wyobraziłem sobie kije baseballowe. Tak więc zaczekałem, aż zapadną ciemności i wtedy ruszyłem bez latarki i przeniosłem mój namiot daleko do niewielkiego fałdu między cyplami, do miejsca, gdzie mogłem się ukryć, jak wyrzutek, i miałem nadzieję, że nie tak będzie wyglądać moje życie.

*Prochy Sullivana* Alana Warnera to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Sullivan's Ashes* by Alan Warner is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk))

Alan Warner

# Prochy Sullivana

przełożyła Marta Crickmar

Siedziałem z kuzynem Johnem, trzecią żoną Sullivana Aileen oraz sierżantem na posterunku w Tobermory. Po raz kolejny czytaliśmy skserowany fragment testamentu Sullivana:

*Nie życzę sobie mszy pogrzebowej, chcę natomiast zostać skremowany podczas prywatnej ceremonii, a moje prochy mają być rozsypane z wiadomej srebrnej urny przez piękną półnągą kobietę, galopującą na białym koniu po plaży w zatoce Calgary na wyspie Mull – bez względu na koszt, niesprzyjające warunki atmosferyczne i trudności związane ze znalezieniem na Mull pięknej kobiety.*

– Jasne. Nie mógł sobie darować uszczypliwości nawet na progu śmierci – skwitowała Aileen, jedyny tubylec wśród nas.

Spojrzeliliśmy na sierżanta. Był to uprzejmy i praktyczny człowiek, jednak dopiero od niedawna zajmował to stanowisko.

– Ta cała urna to zwykłe stare, poobijane wiaderko do szampana z Grand Hotelu w Brighton – obwieścił kuzyn John.

– Zgadza się – przytaknęła Aileen. – I gdyby Sullivan pił mniej szampana, może miałby mi co zostawić. N a m co zostawić.

– Ale przecież napisał, że zostawia ci wiaderko – John przekartkował dokument w poszukiwaniu odpowiedniego fragmentu.

Aileen rzuciła kuzynowi Johnowi groźne spojrzenie.

– I możesz być pewien, że zrobię z niego użytek, jak tylko pozbędę się jego resztek.

Sierżant miał pytanie natury praktycznej.

– W jaki sposób zabezpieczycie prochy w wiaderku do szampana wobec dużego prawdopodobieństwa szalejącej wichury?

– Myślałem, że zakleimy urnę folią spożywczą, którą ta panna mogłaby potem przekłuć swoimi długimi paznokciami... – Sierżant i ja przytaknęliśmy, chociaż obydwaj odnieśliśmy wrażenie, że kuzyn John nieco się zapędził.

– Poza tym doktor Frazer będzie musiał stać w pogotowiu – kontynuował kuzyn John. – Żeby leczyć odmrożenia. Najlepiej byłoby zatrudnić młodą, zdrową dziewczynę. Jedną z tych, co doręczają wiadomości, robiąc przy tym striptiz. Te pannie są odporne na zimno. Mam dla nich dużo szacunku.

– Nie chcę tam doktora – ucięła Aileen. – Zresztą wątpię, żeby przyszedł. Sullivan przestał go zapraszać na pokera – i to wcale nie po tym, jak doktor wygrał od niego dom, tylko po tym, jak nie chciał mu już przepisywać tabletek nasennych.

– Zatem zamierzacie wykonać testament?

– O to właśnie chcieliśmy zapytać, panie sierżancie. Czy z punktu widzenia prawa grożą nam jakieś konsekwencje?

– W tym rejonie to by zależało od tego, jak bardzo – sierżant przerzucił stronę i przeczytał na głos – „półnaga” byłaby rzeczona młoda dama.

– Topless – zażądał kuzyn John.

– Na Mull – powiedziałem – „półnaga” oznacza ubrana w bikini.

– Bikini nie narusza żadnego prawa. Topless może podchodzić pod nieobyczajne obnażenie się w miejscu publicznym. W tym klimacie każde obnażenie łamie obyczaje.

Aileen wyjęła kolejnego Dunhilla z paczki i zauważyła z nutą nostalgii:

– Na Mull spódniczka ponad kolano to już półnago. Czy mogę tu zapalić?

– Obawiam się, że nie – odparł policjant.

– Nie mógłby mnie pan zamknąć w jednej ze swoich cel, sierżancie? Mogłabym nawet zasunąć wizjer.

Przyjrzałem się Aileen. Miała na pewno ponad pięćdziesiąt lat na karku, ale dobrze się trzymała i była niereformowalną flirciarą. Sierżant puścił jej zaczepkę mimo uszu. Co można powiedzieć o Aileen? Jej życie było jak z piosenek Dolly Parton. A może tylko z jednej: *Down from Dover*.

– No to mamy jakiś tydzień – stwierdziłem.

Kuzyn John popadł w zadumę.

– Chyba, że poczekamy, aż pogoda się poprawi. Ze względu na piękną dziewczynę na koniu?

– Nie zgadzam się, żeby prochy Sullivana leżały w domu – nie wytrzymała Aileen. – Mogłyby wypełznąć z urny i włamać się do barku. Czemu u licha nie moglibyśmy ich rozsypać ze wzgórz South Downs w łagodnej angielskiej bryzie?

Sierżant wyglądał na zmartwionego. Wstał.

– Być może będę musiał skontaktować się w tej sprawie z Edynburgiem. Po chwili dodał już tylko do siebie:

– Ale z którym działem?

– I jeszcze jedno – kuzyn uniósł wyprostowany palec, a przecież był rolnikiem. – Na tej całej wyspie nie ma ani jednego białego konia.

– Na miłość boską – jęknęła Aileen. – Weźmy szkocką krowę.

– Krowa nie pójdzie galopem – odparł kuzyn tonem zdradzającym nazbyt duże doświadczenie w tej kwestii.

Aileen, kuzyn John i ja wróciliśmy krętą drogą z powrotem do nowoczesnego letniego domu Sullivana położonego wysoko nad zatoką. W nieużywanym garażu stał skandaliczny, amerykański stół bilardowy. Doktor Fraser wygrał bungalow od Sullivana podczas dwudniowego maratonu pokerowego wiele lat wcześniej i miał zostać jego prawnym właścicielem w dniu śmierci Sullivana. Zdążył już nawet wymierzyć podłogi pod nowe dywany.

Plumpton – gruby kot, który imię zawdzięczał torom wyścigów konnych w Sussex – usadowił się przy misce na kuchennej podłodze. Przeprowadził na posiłek kilku na wpółdzikich znajomych. Dokładanie mówiąc, czterech. Wszystkie koty rozsiadły się na posadce i z nadzieją uniosły przemądrzałe głowy. Aileen stuknęła obcasem, co doprowadziło do sporego zamieszania wokół klapki dla kota, gdy nagle cała piątka na raz usiłowała wydostać się na zewnątrz.

– Poczekajcie tylko, aż dobry pan doktor się z wami rozprawi – krzyknęła.

– Fred Pinder ma stadninę na stałym lądzie – oznajmił kuzyn John. – Dostarcza konie do tych wszystkich filmów, co tu je przyjeżdżają kręcić. Ten to wam może załatwić cały cholerny oddział kawalerii. Dałby radę przywieźć nawet jednorożca w przyczepie dla koni.

Sullivan nigdy nie przeszedł obojętnie obok monety leżącej na chodniku. Urodził się i wychował w Sussex. Miał taką płytę winylową zatytułowaną *Stare piosenki z Sussex: Ballady robotników rolnych mieszkających po obu stronach wzgórz*. Uwielbiałem to sformułowanie: „po obu stronach”. Chciałem zapytać doktora, czy mógłbym odziedziczyć ten album.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Sullivan zbił majątek na automatach do gier w Brighton i Eastbourne. Zapytałem go raz, jak się z tego żyło.

– Jak w połączeniu powieści Grahama Greene’a z parkometrem – odpowiedział zdawkowo.

Aileen opowiedziała mi raz, jak Sullivan każdego wieczoru w tygodniu zbierał monety w wiadra do mopa i ładował je do swojego volvo. W samochodzie zerwało się aż tylne zawieszenie. Podobno w garażu Sullivana w Brighton było sto pięćdziesiąt nieużywanych mopów.

W korytarzu stał automat ze striptizem. Za dziesięć pensów można było sprawdzić, co zobaczył kamerdyner. Bardzo chętnie odziedziczyłbym i ten automat, ale doktor w kolejnej grze w pokera wygrał również wyposażenie domu.

Sullivanowi wystarczyła jedna przejażdżka samochodem dookoła Mull, żeby zakochać się w wyspie. Najpewniej to właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczył zatokę Calgary. Nigdy potem nie słyszałem, żeby powtórzył wyprawę, więc pierwsze wrażenie musiało być silne.

Wydaje się, że przy okazji następnych wizyt – naszych wieczorów pokero- wych i tych kilku wystawnych kolacji w hotelu Western Isles – zadowalał się już tylko widokiem zatoki i cieśniny Mull rozciągającym się znad Tobermory.

Zagadnąłem go raz, czemu aż tak upodobał sobie to miejsce, na co on otworzył na oścież wszystkie okna w salonie.

– Słuchaj! – wrzasnął. – Słyszysz tę ciszę? To tu właśnie jest „gdzie indziej”. Każdy Anglik ma Anglię i ma swoje „gdzie indziej”. A za owo „gdzie indziej”, brachu, trzeba słono zapłacić.

Pierwszej zimy na Mull wiejące z zachodu zawieruchy sprawiły, że nie uświadczylimy za dużo owej ciszy. Grę w pokera trzeba było co rusz przerywać. Dachówki na domu Sullivana stukotały jak podłączona do mikrofonu marimba. Kopce kretów na naszych oczach przesuwały się po trawniku i w



górze zbocza, z którego następnie wpadały do oczka wodnego. Czaple wybrały ze stawu wszystkie złote rybki. Trzeciego dnia zawiei zdeorientowany młody drozd wpadł do domu przez komin i natychmiast złamał kark, uderzając o szybę osłaniającą palenisko. Sullivan zabrał go do kuchni, z trudem otworzył zassane tylne drzwi. Martwy ptak, podrzucony na szufelce, poleciał po raz ostatni na wschód, z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Klapka dla Plumptona szalała na wietrze niby paplająca szczeka jakiegoś olbrzyma. Trzeba ją było unieruchomić taśmą izolacyjną, która napuchła i nabrzmiała wilgocią. Sullivan nie odważył się ponownie spędzić tu zimy przez wiele kolejnych lat.

Kiedy tydzień po naszym spotkaniu na posterunku wracałem na wyspę, nie byłem jedynym gościem baru na promie. Fred Pinder, który wiele razy dzwonił ze stadniny, przytomnie zasugerował, by skorzystać z usług kaskaderki. Portrety zostały przesłane mailem kuzynowi Johnowi. Żadna z proponowanych kobiet nie spełniła jednak jego wysokich wymagań.

I tak znalazłem się na wczesnym promie w towarzystwie Freda Pindera, ubranego w wyświechtaną koszulkę z logo Szkockiej Partii Narodowej, oraz pani Zoë Murphy, studentki trzeciego roku wydziału aktorskiego na uniwersytecie w Coatbridge. Coatbridge, Sunnyside, jak podkreśliła.

Zoë powiedziała mi, że chce występować w musicalach, wobec którego to oświadczenia, jej obecne zlecenie wydawało się co najmniej kontrowersyjnym posunięciem. Zapłaciliśmy jej siedemset funtów gotówką z góry, a ona nalegała, że dorzuci w pakiecie jeszcze taniec na rurze, zważywszy, że zdobyła w tej dziedzinie spore doświadczenie, dorabiając sobie do stypendium.

Wszyscy pasażerowie promu wpatrywali się w Zoë odzianą w puszyste, niebieskie, sztuczne futerko – nawet kobiety nie mogły odwrócić od niej wzroku. Nabrałem przeświadczenia, że ktoś w końcu podejdzie i poprosi ją o autograf.

Kiedy wpłynęliśmy na wody zatoki Lorn, spieniona woda spływała po oknach baru niczym mydliny szamponu po kabinie prysznicowej i statek przechylił się z dziobu na rufę. Po dziesięciu minutach Zoë skierowała się do łazienki.

Fred Pinder, sączący whisky i Irn Bru, pochylił się nad stolikiem w moją stronę:

– Przejdę się i zobaczę – może pozwolą mi sprawdzić, czy Sztylet czasem nie kopie w drzwi przyczepy.

– Wydaje mi się, że ona nie umie jeździć. Może wsadzimy ją na konia w przyczepie na próbę? – zaproponowałem.

– Nie ma mowy – odpowiedział Fred. – Biorę kasę za konia. Nie chcę mieć nic do czynienia z jeźdźcem.

Jak tylko Fred zniknął, Zoë przytoczyła się na boso z powrotem do mojego stolika. Zdjęła szpilki i trzymała je za paski. Ani makijaż, ani wizyta w solarium na nic się zdały w konfrontacji ze wzburzonymi wodami zatoki Firth. Jej piękna, młoda twarz była szara jak popiół.

– Słuchaj, wiem, że zarzekałaś się, że potrafisz jeździć, ale nie wyglądasz mi na jedną z tych aktorek, co to uprawiają narciarstwo wodne i snowboard, znają języki obce i umieją jeździć zarówno na motorze, jak i konno...

– Umieję jeździć na nartach. Byłam w Chamonix.

– Ale konno? Na pewno dasz radę... cwałować na koniu, bez trzymanki, podczas wichury na dziesięć stopni? Lub przynajmniej przejechać lekkim kłusem?

– Mam ładne bikini. Jak byłam mała, ciągle brałam udział w pokazach jazdy konnej. W moim pokoju w Coatbridge mam na ścianach pełno medali. Coatbridge, Sunnyside.

– Nie pójdziemy na dno, prawda? Czy ten statek już kiedyś zatonął? – Spojrzała z przestrachem na krajobraz za oknami. – Spójrz na te wszystkie góry. W północnym Lanarkshire też są góry. Jak byłam mała, weszłam na jedną.

– Co ty powiesz? Na którą?

– Nasyp żuźłowy przy starej kopalni węgla.

Wkrótce powędrowała z powrotem do toalety z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Zostawiła swoje szpilki na stoliku. Przewróciły się na bok i rozlały mi kawę.

Na małej wyspie wiadomości szybko się rozchodzą. Pięć podrasowanych samochodów podjechało niespiesznie na przystań i ustawiło się w od dawna ustalonym porządku. Obserwowano, kto taki wysiada z promu. Zauważyłem, że wszystkie okna zaparkowanych obok siebie aut są opuszczone, a podekscytowani młodzi kierowcy „wyścigowi” i ich pasa-

żerowie wykrzykują coś przez nie, jakby stanowili część staroświeckiego systemu telegraficznego.

Te same pięć samochodów jechało za moim wynajętym autem i przyczepą konną Freda przez całą drogę do Tobermory. Siedząca obok mnie Zoë nałożyła okulary słoneczne.

– Czuję się, jakbym była sławna – powiedziała. – Podmaluję jeszcze trochę usta moją obciachową pomadką.

Opuściła szybę i wiatr porwał jej okulary.

W bungalowu Sullivana trwała impreza wokół jego prochów – wsypanych do wiaderka na szampana i zabezpieczonych folią spożywczą. Przybyło całe nasze pokerowe towarzystwo. Aileen była pijana i puszczała wciąż na gramofonie *No Tears (In The End)* w wykonaniu Roberta Flack. Co jednak niepokojące, Aileen tańczyła wyłącznie z doktorem Fraserem.

Zoë sceptycznie obserwowała obracającą się płytę i w końcu zapytała:

– To przecież nie jest CD. Jak to coś robi muzykę?

Na miejscu był też Cameron, niedoszły dziennikarz, który próbował przeprowadzić z Zoë wywiad, twierdząc że to dla lokalnego biuletynu kulturalnego. Potem zjawił się kuzyn John, przyodziany już w czarny krawat. Badał Zoë wzrokiem z oddali, w nieśmiały, ale jednak dość perwersyjny sposób, po czym podszedł do mnie i zawyrokował szeptem:

– Jest w porządku. Ma długie paznokcie – dobre do rozrywania folii spożywczej.

Zoë po raz kolejny wymknęła się do łazienki, następnie pojawiła się obok doktora Fräsera i zalanej łzami Aileen. Poklepała doktora po ramieniu. Johnny Cash śpiewał właśnie *Melva's Wine*, co nieodmiennie doprowadzało Aileen do płaczu. Zoë pokazała coś doktorowi, po czym para nagle przerwała taniec i cała trójka udała się razem do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Przestraszyłem się, że mamy do czynienia z fatalnymi konsekwencjami nadużycia narkotyków, które Zoë być może przemyciła w nasze pokerowe grono – albo dzieje się coś jeszcze gorszego, o czym nie godzi się nawet wspominać.

Wkrótce jednak doktor wynurzył się z łazienki i odciągnął mnie na obok.

– Nie ma mowy, żeby ta panienka, którą tu sprowadziliście, wsiadła jutro na jakiegokolwiek konia.

– Dlaczego nie?

– Jest w zaawansowanej ciąży. – Pokazał mi jeden z tych białych plastikowych testów z dwiema niebieskimi kreskami. – Przez cały dzień rzyga albo sika na aplikatory, a wynik się nie zmienia. Nawet jej nie zbadałem. A m ó g ł b y m – mrugnął.

– Na rany Chrystusa.

Fred Pinder usłyszał naszą rozmowę i wybuchnął śmiechem, ale kuzyn John nie przyjął tej wiadomości najlepiej. Wydarzenia przybrały przerażający obrót i nie obyło się bez łez. Aileen próbowała pocieszyć Zoë; zadzwoniono do nic nie podejrzewającego amanta w Coatbridge. Coatbridge, Sunnyside.

Część podrasowanych samochodów bezczelnie podjechała pod dom. Młodzi mężczyźni o wygolonych głowach nie byli w stanie dokonać wyboru pomiędzy stołem bilardowym a napastowaniem Zoë. Kiedy okazało się, że doktor zdążył już skonfiskować wszystkie kule, natychmiast przenieśli swoją uwagę na Zoë. Dowiedziawszy się o jej kondycji, czym prędzej zmienili obiekt zainteresowania i poczęli wrzucać monety do automatu ze striptizem.

– No cóż, Sullivan by się ucieszył, że biznes się kręci – zauważył kuzyn John i skinął głową w kierunku srebrnego wiaderka do szampana.

Nie minęła godzina, a Zoë puściła się w żałobny tan w objęciach jednego z młodzieńców. Wkrótce potem chłopaki namówili ją, żeby zeszła z nimi do lokalnego baru. Co mi do tego? Wszystko i tak było stracone.

W międzyczasie Aileen zniknęła w małżeńskiej sypialni z doktorem Fraserem, zanim jeszcze nawet reszta pokerowego towarzystwa rozeszła się do domów.

– Proszę, proszę – zauważył szeptem kuzyn John. – Wygląda na to, że Aileen nie będzie musiała szukać nowego domu.

Kiwnąłem głową, a mój wzrok padł na testy ciężowe Zoë, ustawione w pustych szklankach koktajlowych niczym dekoracje do drinków.

Leżąc zawinięty w śpiwór, usłyszałem, jak Zoë wraca o wpół do piątej nad ranem i idzie do pokoju gościnnego. Mimo że była sama, do moich uszu doszły wkrótce zza ściany jakieś tęskne pojękiwania. Przestraszyłem się, że Zoë jest z kuzynem Johnem, więc, po części powodowany zazdrością, poszedłem

szukać Johna i znalazłem go śpiącego – zresztą nie po raz pierwszy – w koszuli i pod krawatem, na stole bilardowym, gdzie nie dosięgał go przeciąg.

Zoë natomiast dzieliła łóżko z kotem Plumptonem.

– Pewnie chcecie, żebym oddała wam pieniądze... – powiedziała, głaszcząc starego myszołapa.

– Nie, skarbie, kup sobie porządny, szybki wózek.

Następnego poranka wiadomość o skandalu dotarła nawet do mnie. Zoë wprawdzie nie udało się znaleźć rury, ale zatańczyła na kiju od szczotki w barze Mishnish, zbierając w ten sposób datki na dziecko.

Zatoka Calgary to miejsce godne rozrzucenia prochów. Mogę je polecić. Wychodząca na bezkresny zachód, szczelnie odgradzona zębami skał plaża migocze piaskiem, błękitne morze zwykle pieni się i błyszczący od chloru, uderzając o kamienie, a grube na ramię liny obwieszane krasnorostami rozciągają się na dziesięć stóp pod powierzchnią krystalicznie czystej wody. Całe to podwodne królestwo jawi się jak inny, lepszy świat. Zazwyczaj błękit wody ma ten sam odcień co akwamarynowe kreski na teście ciężowym Zoë. Jednak tamtego poranka znad morza nadciągały niespokojne chmury skłębione w ogromną, gęstą masę.

Na drodze zebrał się spory tłum. Pozbawieni przyzwoitości gapie obserwowali rozwój sytuacji z zacisza swoich samochodów, wyposażeni w telefony komórkowe i kamery o wysokiej rozdzielczości.

Stary Shatters Stuart z *Gwiazdy Portu* czatował tylko, z długim teleobiektywem w gotowości, by zrobić zdjęcie do artykułu, który musiał nieuchronnie powstać. Gdyby Zoë dosiadła konia, prawdopodobnie próbowałby sprzedać fotkę szkockiemu *Sun*. W obecnej sytuacji czekało go jednak rozczarowanie.

Drużyna pokerowa schroniła się za przyczepą dla koni, w towarzystwie Sztyleta, pięknego ogara Pindera. Koń był osiodłany, jego uszy pokładały się na wietrze. Fred trzymał go za uzdę, a ja odetchnąłem z ulgą, że młodziotka Zoë nie mogła się na niego wdrapać. Był tak potężnym stworzeniem.

Sierżant, kuzyn John, Zoë (z termoforem pod sztucznym futerkiem), doktor Frazer – otaczający ramieniem Aileen – i ja z trwogą obserwowaliśmy niecierpliwe zwierzę.

– Co to dla mnie? – stwierdziła Aileen. – Nawet jeśli nie jeździłam konno od dwudziestu lat. Mam za to na sobie stanik z fiszbinami.

Kuzyn John zmarszczył nos.

– To narusza warunki umowy.

– Nie słuchaj go, kochana – pocieszał Aileen doktor Frazer. – Poradzisz sobie nie gorzej niż Charlton Heston galopujący przez piaski w filmie *Cyd*. A nawet jeśli się sturlasz? Żaden problem – przecież jestem lekarzem.

Potrząsnąłem głową, mrużąc oczy, spojrzałem na morze i podszedłem do brzegu. Sierżant i kuzyn John wkrótce do mnie dołączyli.

– Aileen złamie sobie kark – zawyrokował policjant. – Naprawdę nie mogę na to pozwolić.

– Tak, to straszne. Stanik na fiszbinach. To jest naruszenie umowy. Aileen jest atrakcyjną kobietą, ale nie jest piękna. Sullivan nie byłby zadowolony. A na dodatek, zalatuje Old Spice'em doktora.

– Proszę nam pomóc, panie sierżancie. – Wskazałem palcem daleko w morze, w zachodnim kierunku.

Przez dłuższy czas nie zwracali na nas uwagi, ale w końcu zauważyli mundur i niechętnie pozwolili się przywołać naszym machającym ramionom. Grupa złożona z dwóch młodych mężczyzn i dwóch młodych kobiet wyszła ze słonej wody z deskami surfingowymi pod pachami.

– Czy jest jakiś problem? Nie ma tu żadnego zakazu – krzyknął jeden z mężczyzn, wycierając usta. Poczul się urażony, kiedy oczy naszej trójki skierowały się wprost na stojącą obok niego młodą dziewczynę w kombinezonie.

Kuzyn John rozdziawił usta.

– Toż to Wenus wynurzająca się w muszli. Módlcie się, a będziecie wysłuchani.

– W imieniu prawa obowiązującego na tej wyspie, co ma pani na sobie pod tym kombinezonem? – zapytał sierżant.

– Chyba nie pyta pan poważnie. Myślałam, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku.

– Co pani ma pod kombinezonem?

Dziewczyna spojrzała na kompanów, a potem z powrotem na sierżanta.

– To nie pana sprawa, ale tak się składa, że bikini.

Kuzyn John natomiast wykrzyknął:

– Jeździła pani kiedyś konno?

Była Australijką, miała dwadzieścia dwa lata, opalone ciało i włosy rozjaśnione od słońca. Jeździła konno bez uprzęży od dziecka i pięćdziesiąt funtów wystarczyło, by dobić interesu.

Dosiadła Sztyleta na drugim końcu plaży i podjechała w naszą stronę wzdłuż brzegu. Chmury wody rozbryzgiwały się pod końskimi kopytami, gdy dziewczyna ciągnęła za strzemień. Rozrzucała prochy starego Sullivana po naszej pięknej plaży wprost z błyszczącego srebrnego wiaderka na szampana – każdy jej ruch niczym ostatnie szarpnięcie serca – w ten oto wspaniały sposób umożliwiając Sullivanowi przejście do jakiegoś nowego „gdzie indziej”.

*Punkt zbiegu* Louise Welsh to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Vanishing Point* by Louise Welsh is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Louise Welsh

# Punkt zbiegu

przełożyła Aleksandra Guzik

Z tej pozycji mogę obserwować powolną wędrówkę późno popołudniowego cienia po ścianie naprzeciwko mojego łóżka. Kiedy cień wypełźnie poza górny róg pokoju, a kolory zmieniają się z surowej bieli w blade odcienie niebieskawej szarości, ktoś przyjdzie i obróci mnie na drugi bok. Od tego momentu będę przyglądać się dolnej części drzwi, obdrapanym nogom krzesła dla odwiedzających, szarej winylowej podłodze, którą sporadycznie ożywi przypadkowy kot kurzu. Zdecydowanie lepszy jest górny róg, codzienny niepowstrzymany marsz cienia spacerującego po skrzyżowaniu, gdzie spotykają się ściany – mój punkt zbiegu.

Nad ranem, kiedy odwiedza mnie mama, neonowe rurki sprawiają, że pokój zalany jest oślepiającym blaskiem. Jestem czysta i świeżo przewinięta. Mama całuje mnie w policzek, odgarnia mi włosy z twarzy i opowiada o swoim świecie. Dawniej na każdą taką wzmiankę o ludziach, których zazwyczaj nawet nie kojarzę, wszystko we mnie chciało krzyżeć, ściany nauczyły mnie jednak cierpliwości. Fale słów tracą znaczenie, zredukowane do rytmu, który przypomina mi o odległym dzieciństwie.

Wpatruję się w róg. Jest równy i idealnie się odznacza. To miejsce, w którym spotykają się trzy linie, trzy granice. Zarówno ściany, jak i sufit zbiegają się pod kątem prostym, tworząc wspólnie coś na kształt trójkąta – tak jak załamane, gdzie łączą się nogi i podolek ponad kobiecymi udami.

Jestem już na bieżąco ze wszystkimi plotkami i mama wyciąga z torby książkę. Pomijając te chwile, gdy zamiast wpatrywać się w podłogę, mogę

badać wzrokiem wyraźnie zarysowane kąty, to najprzyjemniejsza część mojego dnia.

Kiedy zamknęli mnie po raz pierwszy, matka miała zwyczaj relacjonowania wszelkich nowych wydarzeń – zarówno z jej świata, jak i z zewnątrz. Gazeta była rozłożona i słyszałam szelest stron, kiedy szukała jakieś wartej powtórzenia historii. Czas odwiedzin robił się jednak tak krótki, że ostatecznie dawała radę czytać jedynie sekcję sportową.

Aż pewnego dnia pojawiła się książka. Trzymała mi ją przed twarzą, żebym mogła dokładnie przyjrzeć się okładce, zasłaniając w ten sposób widok na róg. Młde błękitne niebo zmieniło się w rozgwieżdżoną czerń, po której mknął statek kosmiczny. Przeszło mi przez myśl, że stres związany z siedzeniem ze mną codziennie w zamkniętym pokoju trochę namieszał jej w głowie. Wytłumaczyła jednak, że znalazła na chodniku przed swoim budynkiem trzy kartony wypełnione książkami w miękkich okładkach i zapłaciła wnukowi sąsiada z dołu jednego funta i wybraną przez niego książkę za wniesienie ich do jej mieszkania.

Grzbiety książek były połamane, a kartki nosiły liczne ślady odcisków palców, co oznaczało, że w przeszłości były często używane. Moja matka nigdy nie była zainteresowana science fiction, ale stwierdziła, że książce tak sumiennie przestudiowanej warto dać szansę. Nie wiem, czy pochodzenie tych książek intrygowało ją od samego początku, nie minęło jednak dużo czasu, a stały się dla niej czymś więcej niż tylko lekturą.

Czytając, szuka na kolejnych stronach wskazówek, gdzie P. B. Bridgestock (nazwisko nabazgrane jest na wewnętrznej stronie okładki każdego woluminu) czytał je przed nami.

– Zobacz – mówi. – Albo wrzucił ją przypadkowo do wanny, albo siedział z nią za długo w saunie. Widzisz, jak pogniecione są strony? Papier kiepsko znosi wilgoć, zwłaszcza tani papier jak ten. – Jest zafascynowana podróżami P. B. Bridgestocka zupełnie jakby to były jej własne. – Tę czytał gdzieś na plaży. Na początku myślałam, że ta plamka to tłuszcz z hamburgera, ale wiesz, trochę piasku dostało się aż do grzbietu. To musi być krem do opalania. – Po czym milknie na chwilę, jak gdyby rozmyślając o świecie, gdzie istnieją plaże i słońce, przed którym ludzie muszą się chronić i smarować kremem do opalania.

Książki były dla P. B. Bridgestocka kompaniami przy posiłkach (był fanem angielskiej musztardy), w podróżach autobusami, pociągami, a raz czy dwa nawet samolotem (P. B. miał w zwyczaju używanie biletów i kart pokładowych jako zakładek). Towarzyszyły swojemu pierwotnemu właścicielowi podczas leniwych popołudni na powietrzu, kiedy przez nieuwagę zamykał między stronami małe owady.

W odróżnieniu od mojej mamy, którą fascynują te wszystkie poszlaki mówiące o czytelnicznych nawykach P. B. Bridgestocka, ja jestem zirytowana. Kocham książki za tę moc, dzięki której unoszą mnie w przestrzeń – dalej nawet niż za róg pokoju. Głos mamy oddala się. Razem z załogą podróżuję poprzez wszechświat w statku kosmicznym, który zgubił się w czasie, a gdzieś tam czyha na nas wroga siła. Mama czyta; sprawia, że przeprawiam się przez kolejne rozgwieżdżone galaktyki, pośród których przeżycie może i nie jest pewne, ale przygody zagwarantowane.

Kiedy nadchodzi koniec wizyty, zaglądam jej prosto w oczy i mówię:

11	15	3	8	1	13	3	9	5
K	O	C	H	A	M	C	I	E

Czasem mówię:

21	23	2	1	3	24
W	Y	B	A	C	Z

Nikt więcej nie przychodzi z wizytą, za co jestem wdzięczna, choć czasem słyszę stare, słabe głosy – jak szepty na klatce schodowej: „żadnych zmian, bidula”.

Każdego popołudnia lekarze robią obchód, systematyczny proces przeglądania kart i cichej wymiany zdań z pielęgniarką. Zazwyczaj wychodzą, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem, ale raz na jakiś czas jeden czy drugi poświęci chwilę, by usiąść przy mnie i zapytać, jak się miewam. Odpowiadam wtedy:

16 17 15 18 24 5 24 1 2 9 10  
P R O S Z E Z A B I J

13 14 9 5  
M N I E

Lekarze wiedzą, jak wiele kosztuje mnie słowo „proszę” – dziewięćdziesiąt pięć mrugnięć.

Późne popołudnie zamienia się powoli w zmierzch, kiedy moja mama przesiada się z jednego autobusu do drugiego, a potem jeszcze do kolejnego. Jedna z książek P. B. Bridgestocka leży bezpiecznie schowana w jej torbie, a ona sama spogląda przez okno na stojących w korku kierowców. Niektórzy podśpiewują, palą papierosy albo – wbrew przepisom – rozmawiają przez telefon, ale większość siedzi samotnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Czasami jakiś nieznajomy dosiada się do niej i zaczyna rozmowę. Mama ożywia się, wiedząc, że w jej wieku grzeczność zależy od nastroju.

– Właśnie wracam z miasta, byłam na zakupach – mówi zazwyczaj, choć czasem jej pomysły zaskakują ją samą: wnuki, które wyrosły ze swoich butów w zastraszająco szybkim tempie; mąż domagający się steku kupionego u rzeźnika, którego sklep znajduje się daleko od domu; spotkanie jakiegoś komitetu, którego jest sekretarzem. Od czasu do czasu mówi: – Byłam w odwiedzinach u córki w szpitalu.

Mama otwiera drzwi swojego mieszkania. Zostawia siatki w kuchni, zsuwa buty i boso przechodzi do sypialni, żeby zmienić ubrania na domowe. Starannie pościelone łóżko jest kuszące, ale sen to wróg i nawet krótka drzemka teraz z całą pewnością oznaczałaby bezsenność. Wkłada kapcie i wraca do kuchni, gdzie wyjmuje zakupy z toreb, a potem siada przy kuchennym stole i zapala papierosa. Pali przy otwartym oknie, czuje świeże powietrze na skórze i spogląda na bloki mieszkalne, z których każdy jest lustrzanym odbiciem jej własnego.

Ja wpatruję się w niezawodny bezruch rogu pokoju i wyobrażam sobie, jak miniaturowa wersja mnie siedzi w kokpicie rakiety i mknie w jego stronę. Róg wiruje i otwiera się przede mną, zapraszając w jasność. Kładę rękę na sterze i wnikiem w ciemną przestrzeń, która roztacza się za rogiem.

Pomniejszone budynki szpitala migają blado w dole, „H” na lądowisku dla helikopterów jest teraz nie większe niż paznokieć u mojego małego palca. Rakieta przyspiesza i w sekundy pokonuje trasę, która mojej mamie zajmuje kilka godzin. W ciszy i jasności unoszę się w powietrzu zaraz przy jej kuchni. Mama wstaje i gasi papierosa, otwiera szerzej okno. Rakieta wpada w jasność pomieszczenia, widzę ten sam stół, tę samą wykładzinę, tę samą tapetę, które znałam jako dziecko. Przeszłość jest tak rzeczywista, że wszystko inne wydaje się tylko snem.

Obniżam drzwi rakiety i mama wspina się do środka. Uśmiecha się, zapinając pasy, a kiedy nasze spojrzenia się spotykają, nagle wybuchamy śmiechem. Odpalam silnik i wylatujemy przez okno w nieznane – wkrótce będziemy gdzie indziej.

*Opowieść o dwóch miastach* Yiyun Li to jeden z pięćdziesięciu tekstów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*A Tale of Two Cities* by Yiyun Li is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Yiyun Li

# Opowieść o dwóch miastach

przełożyła Anna Grodzicka

W barach pewnego miasta na Florydzie spotkać można młode kobiety, siedzące na wysokich stołkach. Jeżeli jedną z nich zainteresuje się jakiś starszy jegomość, wówczas przekazuje jej poprzez barmana cygaro. Przyjmując takie cygaro, kobieta zgadza się również na kilka drinków i parę godzin towarzystwa.

Bolun nie pamiętał, kto mu o tym opowiedział. On sam nigdy nie odwiedził Florydy. Niezależnie od tego, gdzie usłyszał tę opowieść, ludzie mieszkający tam zdawali się żyć w jakby staromodnej bajce, a ich figle i wybryki były niewinnej natury.

Czasami Bolun wyobrażał sobie, że jest jednym z mężczyzn w tej bajce, z wolna napawającym się widokiem wszystkich tych młodych pań. U schyłku nocy zdecydowałby, czy wykonać krok, czy też się powstrzymać – te kobiety miały przed sobą całe życie. Aby dorównać ich cierpliwości i pewności siebie, on również musiał dać sobie czas.

Ale ten czas mógł dać sobie jedynie w myślach. Kobiety w miejscach, które odwiedzał ze swoimi klientami i partnerami biznesowymi – damy do towarzystwa, jak je zwano – wszystkie były równie wyuczone i nie pozostawiały miejsca na bajki. Zawsze zdawały się wiedzieć, czego chce, a czasem ich oferty wręcz przewyższały jego pragnienia.

Swojej żony, którą poślubił dwadzieścia siedem lat temu, a znał całe życie – ich kołyski stały obok siebie od pierwszego dnia w żłobku Little Sunflower – już nie kochał. Ona jednak nie miała podstaw, by narzekać, bo nie dość, że to dzięki niemu prowadziła swój butik z drogimi artykułami biurowymi sprowadzanymi z Japonii, to jeszcze wykazała się wielkodusznością, odkrywszy jej romans z szoferem. Czasem napomknęła, że niezdrowo jest dla mężczyzny w jego wieku wychodzić pić co wieczór, skrywając niezadowolone z małżeństwa pod maską troskliwej żony. Odpowiadał wówczas, że nie ma wyboru, oszczędzając jej swego przekonania, że to właśnie dzięki jego trybowi życia, ich córka, której załatwił pracę recenzentki restauracji dla popularnego pekińskiego pisma, nie musi zarabiać w ten sam sposób co te młode damy, których był stałym klientem.

„Tylko człowiek, któremu miłość nie jest obca, mógł wymyślić coś tak genialnego”. Tak pomysł Boluna komplementowali jego podwładni, gdy w ramach reklamy nowo otwartego przez niego i jego partnera osiedla na południowym końcu prężnej metropolii zaproponował konkurs jazdy na karuzeli. Para szczęśliwców – musieli być młodzi i mieć trudności ze znalezieniem mieszkania w Pekinie – która najdłużej wytrzyma na karuzeli, zdomowi się w dwupokojowym apartamencie.

Bolun zdawał sobie sprawę, że wszelkie jego propozycje spotykają się z żywą aprobatą, jednak tym razem nawet jemu podobał się ten pomysł. Wkrótce później informację o konkursie i jego slogan: „Miłość cierpliwa jest” wydrukowano w najpopularniejszych gazetach. Wyobrażał sobie ten ograny scenariusz: klika muzyka z głośników, kolorowe światła nocą, wzloty i upadki młodych par dzielących drewnianego konika czy wielbłąda i grzebiących wszelkie konflikty, jakie mieli, na rzecz wymarzonego mieszkania. W ich wieku Bolunowi też zdarzało się pracować w niegodnych warunkach. Nie w każdej dynastii czy kraju człowiek poradziłby sobie tak jak on, jednak zdawał sobie sprawę, że nie ma się czym chwalić, gdyż nie zrobił nic specjalnego. Urodził się w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i odpowiedział na niewyraźny zew pieniądza, niezauważalny dla większości ludzi. Czasem, gdy był pijany, wracał myślami do mężczyzn z Florydy – i co, czyją bajkę lepiej napisano?



Konkurs rozpoczął się siódmego dnia, siódmego miesiąca kalendarza księżycowego – dnia kojarzonego z opowieścią miłosną z folkloru, od niedawna komercyjnie wskrzeszoną pod nazwą Chińskich Walentynek. Zanim nawet karuzele zaczęły się kręcić, zebrał się tłum. Park rozrywki, w którym odbywał się konkurs, zainstalował nowe karuzele w dodatku do pięciu, które już mieli, setki młodych ludzi stawiały się do rejestracji, a gazety opisywały kłótnie i łyzy wśród tych, którzy nie zmieścili się w parku. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Wśród tego chaosu i emocji uwagę Boluna zwróciła jedna dziewczyna. Niedawno ukończyła naukę na uniwersytecie, przeprowadziła się do miasta i zerwała z chłopakiem, z którym była trzy lata, po tym jak – według cytujących go gazet – odmówił zrobienia z siebie „błazna do zabawiania jakichś bogaczy”. Na swoim blogu umieściła ogłoszenie o poszukiwaniu nowego chłopaka, odpowiednio wytrzymałego, by wygrać wraz z nią mieszkanie i nawet to stało się konkursem – jej pierwsze randki z kandydatami były dobrze udokumentowane i napędzały tylko reklamę konkursu.

Bolun chciał, by dziewczyna wygrała. Nie była najpiękniejsza, chłopak, którego wybrała, nie należał do najprzystojniejszych, ale Bolun pokochał jej twarz, jeszcze bez oznak życiowego cierpienia, które za młoda była, by zrozumieć, za to noszącą ślady umarłych przedwcześnie snów. Mógł jej dać małą sumkę pieniędzy na ubrania, poprzez firmę PR-ową, żeby lepiej prezentowała się przed ekipami telewizyjnymi i fotografami, ale miał wrażenie, że to byłby zbyt pochopny krok.

Koniec końców konkurs był jedną z tych baśni, w której nie wszystko dobrze się skończyło. Przez tydzień karuzele kręciły się od rana do północy, z trzema dziesięciominutowymi przerwami na odpoczynek dla uczestników. Codziennie coraz więcej par odpadało, ale byli też ci wytrwali, których od drewnianych zwierzątek odrywała tylko gwarancja kontynuacji następnego dnia. Siódmego dnia stało się oczywistym, że osiem pozostałych par od konkursu odciągnie jedynie śmierć. Firma postanowiła odwołać konkurs ze względów zdrowotnych i humanitarnych. Kampania reklamowa odniosła wystarczający sukces, a każda z par w ramach nagrody miała otrzymać czek na dwadzieścia tysięcy juanów – przyzwoite posunięcie ze strony firmy, jako że suma nagród była równa wartości mieszkania.

Bolun często myślał o dziewczynie, która nie wygrała mieszkania – czasem jako ojciec, choć ojciec pewnie cierpiałby bardziej z tego powodu, a czasem tak jak starszy jegomość myślałby o młodych kobietach na wysokich stołkach. Gdyby żyli w jednej z tych staromodnych bajek, zadbałby, aby cygaro i drink, te drobne dary, dotarły do niej. Ale nie byli na Florydzie, gdzie drzewa palmowe szeleściły swoimi długimi, palczastymi liśćmi – byli w mieście zwanym Pekin, gdzie jako młody mężczyzna sadził drzewka, które później, już jako deweloper, nakazał wykarczować.

# O autorach

DAVID ALMOND to pochodzący z Newcastle autor książek dla dzieci i młodzieży. Jest laureatem wielu nagród literackich, w tym międzynarodowej nagrody im. Hansa Christiana Andersena, medalu Carnegiego (za powieść *Skellig*), dwóch nagród Whitbread w kategorii książki dla dzieci oraz nagrody przyznanej przez czasopismo „The Guardian” (za książkę dla młodych czytelników *A Song for Ella Grey*).

AMY BLOOM to amerykańska autorka powieści, opowiadań i artykułów publikowanych w takich czasopismach jak „The New Yorker”, „The Times Magazine” czy „Vogue”. Jej książki zostały nominowane do kilku nagród literackich. Amy Bloom jest również psychoterapeutką i wykładowniczą *creative writing*.

FRANK COTTRELL BOYCE urodził się w Liverpoolu. Jest cenionym autorem scenariuszy filmowych (między innymi do *Alei Snajperów*, *Hilary i Jackie*, *24 Hour Party People* czy *Żegnaj Christopher Robin*) oraz popularnych książek dla dzieci.

JASON DONALD urodził się w Dundee, dzieciństwo spędził w RPA, skończył filozofię na uniwersytecie St Andrews w Szkocji i *creative writing* na uniwersytecie w Glasgow. Jest autorem dwóch powieści: osadzonej w RPA *Choke Chain* (2009) oraz *Dalila* (2017), a także krótkometrażowego filmu *Passion Gap*.

JULIA DONALDSON urodziła się i dorastała w Londynie, studia ukończyła na uniwersytecie w Bristolu. Obecnie jest związana z Glasgow. Jest autorką

ponad stu ilustrowanych książek dla najmłodszych, a także piosenek, musicali i podręczników. Otrzymała wiele nagród, między innymi za rymowane opowiadania: *The Gruffalo*, *Room on the Broom*, *The Snail and the Whale* oraz *Zog*, które trafiły na listę bestsellerów w Wielkiej Brytanii.

ANNE DONOVAN jest kilkakrotnie nagrodzoną autorką trzech powieści (*Buddha Da*, *Being Emily*, *Gone Are the Leaves*). Opublikowała również zbiór opowiadań, a kilka jej utworów znaleźć można w antologiach. Akcja jej powieści i opowiadań często toczy się w Glasgow.

RODDY DOYLE to irlandzki pisarz pochodzący z Dublina. Jest autorem opowiadań, powieści, scenariuszy telewizyjnych i filmowych oraz książek dla dzieci, w tym popularnej serii książek, w której skład wchodzi: *The Commitments*, *The Snapper*, *The Van* i *The Guts*. Seria opowiada o irlandzkiej rodzinie Rabbitte, a jej trzy pierwsze części zostały przeniesione na ekran. Za powieść *Paddy Clarke Ha Ha Ha* otrzymał nagrodę Bookera.

MICHEL FABER urodził się w Holandii, przez długi czas mieszkał w Australii, a w 1992 roku przeniósł się do Szkocji. Jest wielokrotnie nagradzonym autorem powieści i opowiadań, a od niedawna również poetą. Faber odnajduje się zarówno w krótkich formach literackich, jak i opasłych dziełach, jego książki obejmują różne gatunki i nie poddają się łatwej klasyfikacji. Do jego najbardziej znanych utworów należą *The Crimson Petal and the White* (*Szkarłatny płatek i biały*) oraz *Under the Skin* (*Pod skórą*). Obie powieści zostały zekranizowane.

ANNE FINE to wielokrotnie nagradzana autorka ponad pięćdziesięciu powieści dla dzieci i kilku książek dla dorosłych. Urodziła się w Leicester, ukończyła nauki polityczne na uniwersytecie w Warwick. Na podstawie jednej z jej powieści powstał kultowy film *Pani Doubtfire* w reżyserii Chrisa Columbusa i z Robinem Williamsem w roli głównej.

VIVIAN FRENCH jest autorką książek ilustrowanych, powieści i literatury niefabularnej dla dzieci i młodzieży, a także kilku sztuk teatralnych. W su-

mie napisała ponad 270 książek, w tym niezwykle popularne książeczki z obrazkami *Oliver's Vegetables*, *The Tiara Club*, *Tales from the Five Kingdoms* i *The Most Wonderful Thing in the World*. Jako ilustrator prowadzi też zajęcia w Akademii Sztuk Pięknych w Edynburgu.

ALASDAIR GRAY to wybitny szkocki artysta, dramaturg i pisarz. Urodził się w Glasgow, gdzie później studiował w Akademii Sztuk Pięknych. Jego debiutancka powieść *Lanark* zdobyła uznanie krytyki. Za książkę *Poor Things* otrzymał nagrodę literacką Whitbread oraz nagrodę czasopisma „The Guardian”. Jest również autorem opowiadań i scenariuszy telewizyjnych, redaktorem, a także profesorem na uniwersytecie Strathclyde w Glasgow. W 2014 roku ukazała się jego autobiografia, zatytułowana *Of Me & Others*.

JEN HADFIELD jest poetką i artystką. Urodziła się w Cheshire w Anglii. Skończyła studia w Edynburgu i Glasgow. Jest autorką kilku tomów poezji: *Almanacs*, *Nigh-No-Place*, *Byssus*, a także najmłodszą laureatką nagrody im. *T.S. Eliota* oraz kilku innych nagród literackich. Obecnie mieszka na Szetlandach, których kultura i język stanowią często tematykę jej wierszy.

JAMES HOPKIN jest autorem powieści i opowiadań. Mieszkał w Berlinie, Dalmacji i Krakowie. Jego pierwsza powieść *Winter Under Water*, osadzona w Krakowie, została pozytywnie przyjęta przez krytyków. Jego artykuły, między innymi o życiu kulturalnym w Polsce, ukazały się na łamach gazety „The Guardian”.

KIRSTIN INNES to pochodząca ze Szkocji performerka, dziennikarka i autorka opowiadań. Jej pierwsza powieść *Fishnet* otrzymała nagrodę Not The Booker gazety „The Guardian”, jak również wiele innych nagród i nominacji.

JACKIE KAY urodziła się w Szkocji, gdzie została adoptowana przez rodzinę Kayów mieszkającą w Glasgow. Jest cenioną poetką, dramatopisarką oraz autorką dwóch powieści. Nominowana do wielu nagród, laureatka Saltire Award i Scottish Arts Council Book Award, w 2006 roku została odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego za zasługi dla literatury. Jej twórczość

często zawiera elementy autobiograficzne, związane z nigeryjskim pochodzeniem autorki, adopcją i jej orientacją seksualną. Jackie Kay jest również profesorem *creative writing* na uniwersytecie w Newcastle, a od 2016 roku piastuje funkcję Narodowego Poety Szkocji.

ELIZABETH LAIRD urodziła się w Nowej Zelandii, w szkockiej rodzinie, a dorastała w Londynie. Jest podróżniczką, wielokrotnie nagradzaną autorką książek dla dzieci i młodzieży, często inspirowanych kulturą i folklorem krajów, które odwiedza. Napisała też powieść historyczną dla dorosłych czytelników (*Arcadia Macmillan*).

YIYUN LI to chińsko-amerykańska autorka książek niefabularnych, opowiadań, powieści i esejów, laureatka kilku nagród literackich. Jej proza pojawiła się na łamach takich czasopism jak „The New Yorker” czy „Paris Review”.

JOAN LINGARD urodziła się i obecnie mieszka w Edynburgu. Jest kilkakrotnie nagradzaną autorką książek dla młodzieży i dorosłych, których akcja często rozgrywa się w różnych miastach Szkocji albo Irlandii. Jej tytuły skierowane do dorosłych to między innymi *After Colette*, *Dreams of Love and Modest Glory*, *The Kiss*, *Encarnita's Journey* czy *After You've Gone*. Wśród wielu książek dla młodszych czytelników znajduje się kilka serii, jak chociażby osadzona w Belfaście seria o Kevinie i Sadie oraz szkocka seria poświęcona perypetiom bohaterki o imieniu Maggie.

DENISE MINA to pochodząca z Glasgow wybitna przedstawicielka nurtu *tartan noir*. Swoją pierwszą powieść, *Garnethill*, napisała w czasie studiów doktoranckich na wydziale prawa uniwersytetu Strathclyde w Glasgow. Dziś jest autorką dwunastu powieści, opowiadań, sztuk teatralnych i komiksów, jak również laureatką wielu nagród, częstym gościem festiwali literackich i wykładowczynią *creative wrting*.

MICHAEL MORPURGO to pisarz, poeta, autor ponad 130 książek dla dzieci i młodzieży, dramaturg, librecista, laureat wielu nagród literackich. Urodził się w St Albans w Hertfordshire. Po studiach na King's College w Londynie

pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej. Jest też założycielem organizacji charytatywnej Farms for City Children.

GARTH NIX to australijski autor powieści fantastycznych dla młodzieży, w tym wielokrotnie nagradzanej serii *Old Kingdom*. Jest też autorem scenariuszy gier fabularnych, redaktorem literackim i przedsiębiorcą. Jedną z jego pasji jest podróżowanie.

GILLIAN PHILIP urodziła się w Glasgow. Ukończyła politologię i stosunki międzynarodowe. Jest autorką opowiadań i powieści dla młodzieży, głównie w obrębie literatury kryminalnej, fantasy i horroru. Jej książka *Firebrand* została wybrana na książkę roku dziennika „The Times”. Publikuje również pod pseudonimami (Gabriella Poole i Erin Hunter).

ALLAN RADCLIFFE urodził się i mieszka w Szkocji. Jest nauczycielem, dziennikarzem, krytykiem teatralnym, poetą i autorem opowiadań. Jako dziennikarz pisze do takich gazet i czasopism jak „The Times”, „Scotsman”, „Sunday Herald”, „Big Issue”, „The List”. Z kolei jego opowiadania można znaleźć między innymi w antologiach *Out There, Elsewhere, ImagiNation, Gutter, Markings, New Writing Scotland* i *Celtic View*.

JAMES ROBERTSON to nominowany do nagrody Bookera szkocki poeta, autor opowiadań i sześciu powieści. Debiutował jako tłumacz książek dla dzieci i młodzieży na język szkocki, a jego pisarstwo jest mocno osadzone w szkockiej tradycji literackiej.

ANDY STANTON urodził się i mieszka w Londynie. Jest ilustratorem, komikiem i autorem książek dla dzieci, w tym popularnej, kilkakrotnie nagradzanej serii *Mr Gum*.

JENNY VALENTINE ukończyła literaturę angielską na Goldsmith College w Londynie. Debiutowała powieścią dla młodzieży *Finding Violet Park*, za którą otrzymała prestiżową nagrodę dziennika „The Guardian”. Jest autorką kilku powieści i opowiadań.

DAVID VANN urodził się na Wyspach Aleuckich, dorastał na Alasce. Zanim został pisarzem, był kapitanem łodzi. Jest autorem międzynarodowego bestsellera *Legend of a Suicide i ośmiu innych, wielokrotnie nagradzanych książek, a także wykładowcą na uniwersytecie Warwick*.

ALAN WARNER to uznany, wielokrotnie nagradzany autor sześciu powieści, w większości osadzonych na zachodnim wybrzeżu Szkocji. Do jego najbardziej znanych i popularnych książek należą *Morvern Callar* (przeniesiona na ekran przez szkocką reżyserkę Lynne Ramsay), *These Demented Lands* i *The Sopranos*.

LOUISE WELSH to zamieszkała w Glasgow autorka opowiadań i powieści kryminalnych. Za swoją debiutancką książkę *The Cutting Room* otrzymała nagrodę Orange oraz nagrodę Stowarzyszenia Pisarzy Literatury Kryminalnej (Crime Writer's Association Award).

#### O redaktorce

MARTA CRICKMAR skończyła anglistykę na Uniwersytecie Łódzkim, a doktorat z zakresu *translation studies* obroniła w Gdańsku. Jest tłumaczką, wykładowczynią Studiów Podyplomowych Translatoryka na Uniwersytecie Gdańskim oraz lektorką języka angielskiego. Obecnie mieszka i pracuje w Szkocji, której scena literacka jest dla niej ciągłym źródłem inspiracji.



# Spis treści

- Słowo wstępu | 5
- David Almond *Papierowa łódka, papierowy ptak* | 9
- Amy Bloom *Drogą numer sześć w stronę oceanu* | 19
- Frank Cottrell Boyce *Shenandoah* | 25
- Jason Donald *Puerto Galera* | 35
- Anne Donovan *Nie Szkocja* | 45
- Roddy Doyle *Los San Patricios* | 53
- Michel Faber *Niebieski błysk* | 59
- Anne Fine *Jak mówi przysłowie* | 65
- Vivian French *Billie D* | 71
- Julia Donaldson *Ballada o Jemmym Guziku* | 77
- Alasdair Gray *Kolejna „Nie Szkocja”* | 81
- Jen Hadfield *Z mojego ślubowania. Meksykańska sztuka ex-voto oraz poezja sekularno-sakralna* | 89
- James Hopkin *Ze wszystkich twarzy świata – twoja twarz* | 99
- Kirstin Innes *Straszna historia* | 109
- Jackie Kay *Bliźni* | 119
- Elizabeth Laird *Wilki we mgle* | 127
- Joan Lingard *Inne czasy, inne miejsca* | 134
- Denise Mina *Wszyscy czekamy* | 139
- Michael Morpurgo *Saga Ragnara Eriksona* | 147

Garth Nix	<i>Ważne pytanie</i>		157
Gillian Philip	<i>Południe</i>		167
Allan Radcliffe	<i>Chicago</i>		175
James Robertson	<i>Przyszłość według Luke'a</i>		185
Andy Stanton	<i>Witaj w Lenogrodzie!</i>		195
Jenny Valentine	<i>Rzeczy, które wzięłam ze sobą, wiedząc, że opuszczamy dom na zawsze</i>		203
David Vann	<i>Bain de Soleil</i>		211
Alan Warner	<i>Prochy Sullivana</i>		217
Louise Welsh	<i>Punkt zbiegu</i>		229
Yiyun Li	<i>Opowieść o dwóch miastach</i>		235
O autorach			239

Projekt przygotowany w ramach programu „Kultura przekładu”, prowadzonego przez Centrum Translatoryczne Uniwersytetu Gdańskiego oraz Katedrę Translatoryki Instytutu Anglistyki i Amerykanistyki Uniwersytetu Gdańskiego.



CENTRE FOR TRANSLATION STUDIES  
CENTRUM TRANSLATORYCZNE



Dziękujemy Edinburgh International Book Festival oraz autorom oryginalnych tekstów za udzielenie zgody na dokonanie przekładów i umieszczenie ich w niniejszym e-booku.

Projekt, skład i łamanie: Maciej Goldfarth

Zdjęcia na okładce i wewnątrz książki: #części\_proste

Redakcja, korekta: Barbara Topolska i Klaudia Golon (w ramach studenckich praktyk zawodowych)

Koordinacja wydania: #części\_proste

Publikacja jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 3.0 Polska (CC BY-NC-ND 3.0 PL)



Wydawca:

#części\_proste

ul. Ludwika Waryńskiego 45B/3

80-433 Gdańsk

czesciproste.pl

wydawnictwo@czesciproste.pl

ISBN 978-83-951535-1-8